Maj. — 1858.

[illegible] wysłanych do odkwaszania
[illegible]/10/81

	sygnatura	tom	rok	kod
8	A 6878 I		1969	00101[illegible]
9	A 6878 I		1969	001019[illegible]
10	A 68[illegible] I		1969	0010195227
11	A [illegible] I		1969	0010195228
12	A [illegible] I		[illegible]	0010195229
[illegible]	A [illegible] I		[illegible]	0010195230
[illegible]	A [illegible]		[illegible]	0010195231
[illegible]	[illegible]	[illegible]	[illegible]	[illegible]195232
[illegible]	A [illegible] I		1969	[illegible]
17	A [illegible] I		1969	[illegible]
[illegible]	A [illegible] I		1970	[illegible]
[illegible]	A 6885 I	1	1970	[illegible]
[illegible]	A 6888 I	10	1970	[illegible]
[illegible]	A 6888 I	[illegible]	1970	0010195243
[illegible]	A [illegible] I	[illegible]	1970	0010195242
[illegible]	A 6888 I	13	1970	0010195241
[illegible]	A 6888 I	14	1970	0010195240
[illegible]	A 6888 I	15	1970	0010195239
[illegible]	A 6888 I	16	1970	0010195238
37	A 6888 I	17	1970	0010195237
[illegible]	A 6888 I	[illegible]	[illegible]	[illegible]
[illegible]	A 6888 I	[illegible]	[illegible]	[illegible]
00	A 6888 I	4	1970	[illegible]
01	A 6888 I	5	1970	[illegible]
02	A 6888 I	6	1970	[illegible]
03	A 6888 I	7	1970	[illegible]195247
04	A 6888 I	8	1970	[illegible]195246
05	A 6888 I	9	1970	00101952[illegible]

[illegible]

PIERWSZE LATA
PANOWANIA STANISŁAWA AUGUSTA.

Epizod historyczny.

(Dokończenie).

40 tysięcy wojska rosyjskiego wszedłszy do Polski opanowały wszystkie miejsca krajowi najpotrzebniejsze, i swoje tam pozakładały magazyny. Z wojska tego dwa tysiące posłano na pomoc Dyssydentom spisek robić zamyślającym do Torunia, a drugie dwa tysiące do Słucka do Litwy, które weszły r. 1767 d. 20 Marca do tych miast. Że zaś mała liczba była Dyssydentów w Polszcze i Litwie, więc dla jéj powiększenia, a przez to zrobienia potrzebnéj okazałości, nie tylko powzywali

Patrz zeszyt kwietniowy.

swoich krewnych w Prusach Brandeburgskich mieszkających, ale latając po wszystkich Województwach w Polszcze, dzieci nawet przy piersiach u matek zostające zapisywali w regestr. Tak dalece, że to, co Carowa oszukana od Dyssydentów nazywała wielką częścią narodu, skończyło się na liczbie piąciuset sześćdziesiąt osób szlachetnych lutrów i kalwinów razem wziąwszy. Była wprawdzie w Polszcze znaczna liczba Greków Schizmatyków, ale ci nienależeli do pretensyj Dyssydenckich, gdyż to byli kupcy albo rzemieślnicy szlachectwem niezaszczyceni. Jeden szczególnie biskup syzmatycki poddany Rosyi uczepił się sam konfederacyi Litewskiéj w imieniu wszystkich Greków. Biskup ten mianowany od Cara, którego posłaniec Grek w prowincyach polskich od lat 18 był tolerowany, chciał teraz wkręcić się do rządu Rzeczypospolitéj. Miasta pruskie chociaż używane do téj konfederacyi, nie chciały do niéj przystępować, mówiąc: *że one nie wchodziły nigdy pomiędzy skarżących się na Polskę Dyssydentów.* Z trzech miast pruskich Toruń przyjął 2000 Moskiewskiego wojska, Elbląg przyjął rejment Goltza, Gdańsk sam pomimo zapowiedzianych sobie gróźb zemsty, oparł się, i nie przyjął wojska. Cztery dni do namyślenia się pozwolono Gdańskowi w zamiarze przystąpienia do téj konfederacyi. Te dwie konfederacye tak uformowane, jedna koronna w Toruniu pod Marszałkiem Goltzem, druga Litewska w Słucku pod Marszałkiem Grabowskim posłały zaraz Deputatów do króla. Ale król nieuznawając, aby Szlachta Dyssydentów miała moc i prawo konfederowania się, odmówił im audyencyę. Repnin zaczął grozić: *że skoro on trwać będzie w swojem przedsięwzięciu, rozpocznie nieprzyjacielstwa po Królestwie.* Król użył wybiegu ogłaszając: *że da im audyencyą jako deputowanym od Dyssydentów, ale nie jako deputowanym od konfederatów Dyssydenckich.* Deputowani ci wpro-

wadzeni do króla, śmiało rzekli: *iż dziwić się nie trzeba, że oni udali się do obcych dworów, kiedy świeży w Polszcze mają przykład.* Obróciwszy się potem do panów tron otaczających, oświadczyli się, *że są wszyscy bracia, dzieci jednéj Ojczyzny, i kończyli na żądaniu zwołania Sejmu extraordynaryjnego, któryby mógł utwierdzić prawa ich urodzenia.* Obydwa kanclerze im odpowiedzieli z szlachetną surowością. Król zaś przyrzekł zwołać wszystkich Senatorów dla naradzenia się w téj mierze.

Wszakże nadaremnie i Dyssydenci konfederowali się, i Senat upoważniał króla do zwołania narodu dla roztrząśnienia ich skarg. Ponieważ konfederacye te w całem Królestwie uważane były jako buntownicze spiski, i więcéj wzbudzały w narodzie przeciw nim gniewu niż bojaźni od postrachów Moskiewskich. Do tego stopnia posuwał się naród w swoich niechęciach ku Dyssydentom, że chociażby król zwołał zgromadzenie do finalnego naradzenia się w interesie Dyssydentów, cały naród stanąłby w oppozycyi. Zaczęto też i powątpiewać o obietnicach Carowy Polakom niektórym częścią przez Repnina samego, częścią przez jego zausznika Podoskiego czynionych. Figlarny Repnin wydał deklaracyę swojéj Monarchini, gdzie ona używa stylu matki dla pogodzenia swoich dzieci. *Mówiła ona, że niczego bardziéj nie pragnie, jako żeby jedna partya nie porywała się na drugą, a obywatel nie rozlewał krwi obywatelskiéj. Co do Dyssydentów żąda tylko, aby im naznaczony był jakiś udział w administracyi, i żeby katolicy cóżkolwiek im udzielili swoich prerogatyw.*

Król pruski przez swego ministra oświadczył, *iż żąda zwołania sejmu extraordynaryjnego dla ugodzenia powszechnego.* Wysłańce rossyjscy rozlecieli się po prowincyach roznosząc deklaracyę Carowy, i list hrabiego Pannina drukowane w językach: łacińskim, niemieckim,

francuzkim i polskim. Dwóch pułkowników rossyjskich Igielstrom i Karo asystujących Ambassadzie od zamku do zamku, udawali się mówiąc otwarcie *o detronizacyi króla i lżąc go słowy najuszczypliwszemi.* Chociaż detronizowanie króla nie było wyrażone ani w deklaracyi Carowy, ani w liście Pannina, Podoski go jednak obiecywał w imieniu Repnina. Znajdowało się wprawdzie wielu obywatelów roztropnych, którzy tym powieściom i obietnicom niewierzyli, atoli większa część była łatwowiernych. Ci wszyscy łatwowierni i oszukani zbiegli się do Warszawy, a najszczególniéj Sołtyk Biskup Krakowski, Krasiński, biskup Kamieniecki, Salezy Potocki, Wojewoda Kijowski, Mniszech Marszałek nadworny koronny, Wessel Podskarbi W. Kor. Pociej strażnik W. Lit. i Wielohorski kuchmistrz Litewski. Ci wszyscy udali się do Repnina oczekując zapowiedzianéj detronizacyi króla. Nikt się z znaczniejszych nie pokazał u dworu, a mówiąc o królu, dawne mu tylko Stolnika Litewskiego dawali nazwisko. Tak tedy król obmierziony w narodzie bez alliansu w Europie, bez siły zbrojnéj, bez pieniędzy, bo te, które dostał po swoim wyniesieniu, rozmarnotrawił na głupie rozrzutności, nie miał ani dworu ani świty, lecz z dwoma bracią w zamku jak pustelnik był.

W tem chwycono się do ustanowienia konfederacyi generalnéj, w któréj niektórzy magnaci, posunięci do najwyższego stopnia nienawiści ku królowi, na wszystko najgorsze dla kraju gotowi byli pozwolić, byle króla Poniatowskiego nie widzieli na tronie. *Odbierz nam,* mówił Wojewoda Kijowski do Repnina, *tego robaka solitera,* króla rozumiejąc, *a wszystko uskutecznić, czego żądać będziesz, w imieniu narodu skonfederowanego ci przyrzekamy.* Wydał się tu widocznie ten Pan ambitny, że wiele rzeczy czynił, *non ex zelo legis sed ex odio re-*

gis. Przyjmować zdawał się mile Repnin te oświadczenia i głęboko je umieścił w swojéj pamięci.

Gdy zajęte były umysły rozważaniem, kogoby wybrać na marszałka téj konfederacyi, rozkaz przyszedł z Petersburga, aby nie kto inny tylko Radziwiłł był nim ogłoszony. Co większa część z ukontentowaniem i oklaskiem przyjęła, a widząc że Radziwiłł, który nieuznał Poniatowskiego za króla, wybrany jest na Marszałka; utwierdzali się w mniemaniu, że Poniatowski będzie detronizowany. Natychmiast panowie nieukontentowani czynili przygotowania do wyjazdu dla formowania konfederacyj po prowincyach partykularnych, których złączenie się robi konfederacyę generalną. Zdecydowano przeto że wszystko objawi się dnia 24 maja w mieście Radomiu 15 mil od Warszawy położonem, gdzie ta liga powszechna Rzeczypospolitéj miała się skonkludować.

Król acz zagrożony utratą korony, więcéj pokazał stałości, niż się spodziewać można było po jego umyśle trwożliwym i charakterze, bądź że spuszczał się zupełnie na przeznaczenie, bądź że gotów był przystać na wszystko, co rozkaże Carowa. Jakoż był on sekretnie zapewniony o intencyach téj monarchini przez korrespondencye dobrze płatne otaczających jéj tron. Przedsięwziął król sejm zwołać, ale senatorów bardzo mało na niego zjechało się, ile wątpiących o jego losie z tych rozsianych pogłosek. Zgromadzili się atoli ci senatorowie, a po długich deliberacyach całe ministerium udało się do księcia Repnina dla doniesienia mu, że idąc za żądaniem Carowy i króła pruskiego, a stósownie do rady Senatu król zwoła sejm extraordynaryjny, i temu naznacza dzień 5 października, *że król imieniem swoim i senatu zapewnia przystanie na wszystko, czego żądają Dyssydenci, i że powróci księcia Radziwiłła, prosząc tylko Repnina, aby uspokoił naród powieściami rozmaitemi wzburzony.* Tym czasem w przeciągu ośmiu dni więcéj

jak sześćdziesiąt tysięcy Szlachty podpisało się nieukontentowanych. Repnin zaniósł do króla całą listę podpisanych, i rzekł mu: *„Wiedz królu, żem twoim rządcą. Niesprzeciwiaj się więc niczemu, co ci imieniem mojéj Monarchini zaproponuję“*.

Radziwiłł odebrawszy w Dreznie listy, i rozkazy najusilniejsze Imperatorowy do siebie adresowane, wyjechał natychmiast, a niechcąc, przejeżdzać przez Prowincye polskie, gdzie był bannitowany, udał się do Gdańska. Tam był oczekiwany od Kozaków przeznaczonych mu na eskortę, a będących pod rządem Półkownika rosyjskiego Karr zwanego, który był mu dodany zrazu niby dla honoru, ale jak się potem pokazało, dla straży, i pilnowania jego kroków. Ruszył Radziwiłł z Gdańska do Litwy, i dnia 3 Junii wjechał do Wilna w assystencyi 2000 Szlachty. Wypowiedzieć nie można z jaką radością przyjęty od wszystkich Obywatelów téj Prowincyi; uderzono we wszystkie dzwony w mieście a armaty Rosyjskie go salutowały. Dziwna rzecz wydawała się, iż Radziwiłł przez tęż samą Monarchinię powrócony został, która go wprzód nękała do ostatniego. Wszyscy przyjaciele Radziwiłła porobieni Marszałkami konfederacyów Prowincyonalnych, które nazajutrz złączone uczyniły Konfederacyę Generalną pod Marszałkiem Brzostowskim. Posłano potym do Generała rosyjskiego Nummers zwanego, mającego w Wilnie kommendę zapytując się czyli ta konfederacya z wolą, i zgodą jest Najjaśniejszej Carowy? Nummers sam do Zgromadzenia tego przyszedłszy zaręczył, *iż może się ta konfederacya spuszczać na opiekę Carowy.* Po elekcyi Marszałka Konfederacya użyła swego przywileju kassując wszelkie wyroki przeciw Radziwiłłowi wydane, i przywracając go do wszelkich praw, dóbr i dostojności.

We dwadzieścia cztery godzin po przybyciu swoim do Wilna, Radziwiłł udał się do Białegostoku, gdzie

był przyjęty jak Monarcha od drugiego Monarchy. Płakali z radości wszyscy zjeżdżający się widząc dwóch obrońców wolności witających się z sobą. Po czym dwa tysiące Szlachty na około Białegostoku mieszkającéj zrobili konfederacyę, i marszałkiem jéj Radziwiłła okrzyknęli. Namawiano Branickiego, aby uczynił akces do téj Konfederacyi, ale ten poczciwy, i wiele doświadczenia mający starzec zastanowił się. Atoli wyjechał z Białegostoku z Radziwiłłem. Radziwił pojechał do Radomia, a Branicki zatrzymał się w Zamku jednym niedaleko Warszawy otoczony eskortą, liczną odważną i wierną swoich przyjacioł, woląc raczéj czekać, co dalej będzie, niż zczernić ośmdziesiątoletni swój wiek jakim porywczym w Warszawie przedsięwzięciem. Tem więcéj zaś od jechania do Warszawy wstrzymywał się, że go Repnin najusilniéj i najnatarczywiéj do tego przyjazdu skłaniał.

Tak wielka liczba Senatorów i Obywatelów zebrało się do Radomia dość szczupłego miasteczka, że miasto całe otoczone namiotami, pawilonami, i szałasami zdawało się wystawiać obóz największego Europy wojska. Skoro ta liczba Obywatelów zbierać się przestała, wojska Rosyjskie podstąpiwszy otoczyły w koło to Zgromadzenie, a kilka kompanii grenadyerów weszło do miasta. Na pierwsze zaraz zgromadzenie wszedł Półkownik rosyjski Karr pilnujący Radziwiłła z ordynansem sobie danym, aby na wszystkich deliberacyach znajdował się, i aby prezentował skonfederowanym manifest Carowy ręką podpisany w tych punktach: *1mo, aby pretensye Dyssydentów były przyjęte. 2do, aby oświadczenia wierności Królowi zupełnie były odnowione.. 3cio, aby Gwarancya, czyli Zwierzchność nad krajem Polskim Carowy była przyznana.* Wszyscy zgromadzeni to usłyszawszy chcieli zrzec się konfederacyi, i rozjechać się, ale Półkownik Karr uwiadomiony od sześciu

przekupionych Marszałków Prowincyonalnych o tym, oświadczył: *że ponieważ tak wielka liczba podpisała tę Konfederacyę, sprzeciwiający się teraz uznani będą za mieszających spokojność publiczną.* Niektórzy Skonfederowani Marszałkowie wymknąwszy się z Radomia do Warszawy udali się do Księcia Repnina, i domagali się podług przyrzeczeń z Petersburga wyszłych, detronizacyi Króla, ale im Repnin odpowiedział: *że żądanie to, i projekt jest kryminalny, ponieważ wyraźnie od Carowy napisany do niego jest rozkaz, aby szanować Króla, a tych dobra, którzyby mu odmawiali powinnego posłuszeństwa ogniem i mieczem pustoszyć.*

W Radomiu Pułkownik Karr zamknąć kazał miasto nowe kompanie Grenadyerów do miasta wprowadził, i rozlokował je po kwaterach przedniejszych Panów. Park Artyleryi z armatami, i lątami zapalonemi obrócony ku Ratuszowi, gdzie cała Konfederacya była zgromadzona, i dopominał się natychmiast podpisu Manifestu. W tym tu najbardziej miejscu pokazał się Referendarz Potocki Intrygantem, i ze wszelkiéj poczciwości ogołoconym człowiekiem, a najbardziéj szpiegiem poczciwych. Skoro się dowiedział o śmierci Łubieńskiego Prymasa, Podoski poleciał czem prędzéj do Warszawy starać się o tę pierwszą po Królu godność w kraju. Repnin, który odebrał Królowi wszystkie nominacye, niewiedząc, kogo miał wybrać na ten najwyższy Duchowieństwa Polskiego stopień, chciał wybrać pomiędzy świeckiemi jednego z najpodlejszych szpiegów, bufonów, i pasibrzuchów, to jest: Gurowskiego. Chciał mu tegoż dnia wyjednać tonsurę, nazajutrz poświęcenie na Xiędza, a na trzeci dzień poświęcenie na Prymasa. Ale gdy postrzegl przybyłego do Warszawy Podoskiego, który mu co dzień swemi intrygami i podchlebstwy nowe robił przysługi przedsięwziął jego zrobić Prymasem.

W tem, gdy zawiązywała się w Radomiu Konfederacya pod laską Radziwiłła, ze stu sześćdziesiąt ośmiu Marszałków Konfederacyów prywatnych sześciu tylko było zaprzedanych Moskwie, którzy bez żadnéj klauzuli podpisali akt, reszta zaś podpisała warując prawa Religii, Rządu i wolności.

Lubo gwałtowny Repnin odebrał był, jakośmy wyżéj powiedzieli nominacye do urzędów Królowi, nieśmiał jednak nominować Prymasa, pewny będąc, że nominowanemu przez niego Prymasowi Papież sakry nieprzysłałby. Więc na natarczywe Repnina naleganie musiał Król nominować do Prymasostwa Podoskiego, którego i z powodu charakteru jego najniepoczciwszego, i z powodu własnych niechęci cierpieć nie mógł. Pisał nawet Król do Papieża, *aby Podoskiemu Sakrę odmówił*, ale on podpadł pod Biskupów dobrze w Rzymie położonych osobliwie Biskupa krakowskiego, obiecując mu, *że zostawszy Prymasem wszystkiemi siłami bronić będzie Religii.* Zaufawszy Biskup krakowski tym obłudnym Podoskiego przyrzeczeniom, pisał list za nim do Rzymu, i wyjednał mu Sakrę na Prymasostwo. Ale zdradliwy Podoski zostawszy Prymasem i obiecanéj obrony Religii niedotrzymał, i porwanie w czasie do niewoli Biskupa krakowskiego Repninowi doradzał.

Pierwszem staraniem Konfederacyi Generalnéj Radomskiéj było posłać do Króla Deputowanych z doniesieniem co za gwałty dzieją się w Radomiu, i *prosić Króla o zwołanie Sejmu extraordynaryjnego.* Umyśliła równie taż Konfederacya wysłać Deputowanych do Carowy, którzyby ją zupełnie objaśnili o obłudach, i nieszczerem postępowaniu Króla z Narodem. Deputowani ci mieli to sobie zlecone w prywatnych instrukcyach gdyż głośne instrukcye były im przez Repnina podyktowane.

Król bojąc się o utratę prerogatyw swojéj korony tak poddał się we wszystkim Repninowi, że całego szafunku łask jemu odstąpił, niezostawiwszy sobie, jak tylko rekomendacye.

Branicki Hetman W. Kor. widząc, jak są oszukani i zdradzeni Konfederaci Radomscy, wyjechał z miejsca, gdzie się dotąd bawił, do Białegostoku. Repnin lękając się, by ten jego wyjazd niezrobił jakiego w Narodzie poruszenia, posłał za nim w pogoń, oświadczając mu wielkie groźby, jeźli się nie wróci, ale acz nie mając na swoją obronę, jak swoją niewinność, i 300 determinowanych gotowych do upadłéj bronić się żołnierzy, wszystkie groźby Repnina lekceważył, i do Białegostoku powrócił się.

Biskup krakowski Sołtyk zawsze uważany jak Naczelnik Rzeczypospolity bo Prymasowi Sakra z Rzymu jeszcze nienadeszła, osądził, że stan jego wymagał mocnych i stałych przedsięwzięć. A przeto przystępując do Konfederacyi następujące wyrazić oświadczenie: *niechcę zostać w nagannéj nieczynności, w czasie, gdy cały Naród trudni się interesem najważniejszym. Jednak akcessem moim autentycznym oświadczam najuroczyściéj, że niełączę się ani daję podpisu mej ręki tylko na to, co się ściąga do obrony praw i niepodległości Ojczyzny, a następnie nie przyjmuję pretensyi daleko posuniętych Dyssydenckich. Gdyż tego nic nie pozwala mój charakter i powinność najistotniejsza bronić prerogatyw Religii katolickiéj. Lecz jeżeli Dyssydentów żądanie zasadzone jest na słuszności, przyrzekam je utrzymywać nietylko jak Senator, ale jako Pasterz i Biskup. Spodziewam się, że moi Współobywatele skonfederowani nie będą odemnie wymagać innego akcessu.* Takowy model był wzorem dla innych Biskupów czynienia akcessów.

Tymczasem podobało się Repninowi przenieść tę Konfederacyę, z Radomia do Warszawy, aby bliższą

miał sposobność wykonywania swych gwałtów. Przybyły Xiąże Radziwiłł do Warszawy wprowadzony był na audyencyę do króla, i tak do niego mówił: *Taż sama ręka, która cię ukoronowała, a mnie ogłosiła za nieprzyjaciela Ojczyzny, mnie tu dzisiaj sprowadza. Spodziewam się, że ten sposób powrotu mego powinien być przyjemnym W. K. Mości.* Król mu odpowiedział: *Twoja Familia była zawsze wierna swoim Królom, i Ciebie nawet widziałem, jakoś był przychylny mojemu Poprzednikowi. Spodziewałbym się od Ciebie tych samych dla mnie sentymentów.* Radziwiłł odpowiedział: *Poprzednik W. K. Mci nie prześladował mię.* Król rzekł: *Gdyśmy byli oba równemi Obywatelami, kochaliśmy się wzajemnie pragnąłbym, aby taż przyjaźń kontynuowała się między nami.* Radziwiłł odpowiedział: *A czyż mogę dyskurs ten poczytać za szczery?* Król nic już nierzekłszy uściskał go, i po krótkiem milczeniu wyszedł Radziwiłł niepocałowawszy króla w rękę. Odtąd gdzie się tylko obrócił Radziwiłł więcéj go otaczało ludzi najsłuszniejszych, niż Króla samego; zwłaszcza, że wszystkie ciała prawodawcze, i juryzdykcye, wszystkie reymenta, Kommissya Skarbowa i wojenna wykonały przed nim przysięgę. Wszakże wszystkie te honory i okazałości niekontentowały Radziwiłła lękającego się co moment o swoją zgubę i Ojczyzny. Przeto chociaż był zapewniony o protekcyi dla siebie Carowy, chciał jednéj nocy cicho umknąć z Warszawy, ale pilne oko Półkownika Karra dostrzegło tego, i przeszkodziło.

Król na każdy moment lękał się widząc najgłówniejszych swoich nieprzyjaciół powracających się do swych dostojeństw, i słysząc, jak wielu marszałków partykularnych konfederacyi nieustanne podawało do Carowy prożby obiecując wszystkie jéj przyjmować ozkazy bodajby najuciążliwsze, byleby króla detronizować.

W czasie tym po wszystkich województwach z ambon zachęcano obywatelów do opierania się pretensyom dyssydenckim, i intencyi rosyjskiéj narzucania nam gwarancyi.

Że sejm extraordynaryjny miał nadchodzić, i posłowie na sejmikach być obrani, konfederacya jeneralna rozpisała po województwach listy, jakie mają być dane instrukcye tym posłom, ale Repnin z krolem umówiwszy się inne porozsyłał instrukcye. Branicki hetman W. kor. pisał z swojéj strony do obywatelów przestrzegając ich, że na przyszłym sejmie prawa mają być stanowione pod gwarancyą rosyjską, przeto radził, *aby wybierać posłów światłych, a determinowanych patryotów.* Biskup także krakowski w podobnym stylu rozpisał listy; ale wojsko rosyjskie rozsypane po kraju, gruntownie myślących obywateli niepuściło na sejmiki, niektórych z nich trzymając po kilka dni w areszcie o głodzie, a w czasie sejmików otaczało armatami kościoły, gdzie posłów obierano. Dał się ten przypadek widzieć w Chełmie w pijarskim kościele. Oficer moskiewski przybyły z wojskiem na forsowanie sejmików, postawił dwie armat naprzeciw drzwiom kościoła, a sam wszedł wewnątrz. Obywatele zebrani na sejmik zamknąwszy drzwi kościelne oświadczyli mu, że życie straci, jeźli nie da ordynansu do cofnięcia się armatom z przed kościoła. Opierał się on z razu, ale proszony w pysk, za łeb, i oberwaniem szlif, musiał to uczynić Obrawszy obywatele jak najśpieszniéj posłów, rozjechali się wszyscy z Chełma do domów. Co oficer oberwał, to przepadło, bo to na drobną szlachtę zwalono. W Drohiczynie na Podlasiu, gdy moskiewskie wojska forsowały sejmiki, Kuczyński Drohicki podkomorzy zagajający sejmik wyperswadował ciemnemu oficerowi rosyjskiemu, że sam przyjął poselstwo. Za co potem od Repnina w Warszawie poprostu nagrodzony. Większa część

województw zanosiła na ten gwałt manifesta, o których Repnin dowiedziawszy się, kazał je z aktów wydzierać. Do Kamieńca Podolskiego, do którego podług traktatu wojsko rosyjskie zbliżać się niemogło o mil 15, dwóch tylko oficerów rosyjskich posłano na sejmiki z listem do imperatorowéj, ale ci oficerowie nieprzyjęci, wypchnięci z kościoła, a list, z którym przyjechali podeptano. Urażony takowym postępkiem Repnin wszystkich opierających się jego zamiarom prześladował, wsie ich pustoszył, a pałace obdzierał, czego doświadczył i biskup krakowski za swój list patryotyczny do obywatelów pisany; gdyż kazał go Repnin rabować, i rabunki te do Warszawy zwiezione publicznie przedawać; najpiękniejsze konie, sprzęty i pojazdy tego biskupa sobie zabierając.

W takowych zamieszaniach i gwałtach biskup krakowski chcąc najprzód pokój zrobić z dyssydentami, przedsięwziął sam na sam z niemi rozmawiać się, i zaprosił ich na obiad; ale Repnin nie pozwolił na to, przestrzegając dyssydentów, *że ich biskup chce potruć.* Takie postępki Repnina skłoniły biskupa krakowskiego i kijowskiego nazwiskiem Załuskiego, iż nakazali w dyecezyach swoich publiczne nabożeństwa na odwrócenie nieszczęść od kraju. Repnin o to rozgniewany zapowiedział im *że gdy nieprzestaną tych burzliwości, przeniesieni będą oba na Syberyą*; biskup krakowski pewnym będąc o najcnotliwszym charakterze Krasińskiego biskupa kamienieckiego *wzywał go do Warszawy dla wspólnéj pomocy*; ale Krasiński pomiarkowawszy wszystkie zamiary rosyjskie dążące do obalenia wolności Polskiéj, i gwałty do ostatniego stopnia posunięte, nie przystał na jego rady, i nietylko sam niepojechał do Warszawy ale *nieradził Sołtykowi w Warszawie zostawać i exponować się na nieszczęście na wzór cnotliwych owych senatórów rzymskich, którzy poubierani w swoje suknie senatorskie, i od barbarzyńców pomordowani, ani*

siebie ani Ojczyzny nieocalili. Chwycił się zatym Krasiński innego sposobu. Miał pomiędzy kanonikami swemi jednego nazwiskiem Ankwieza Ormianina dobrze umiejącego język turecki. Tego tedy wysłał do Konstantynopola z doniesieniem jakie gwałty w Polsce robi Rosya, i w jak niezawodnych zostaje układach wzbudzić wszystkich Greków przeciwko Porcie.

W tem przyszła sakra z Rzymu dla Podoskiego na prymasostwo, który konsekrowany w pałacu Saskim ulokował się.

Na kilka dni przed otworzeniem sejmu Repnin zprosił do siebie wszystkich biskupów i rzekł do nich: *Pomimo sprzeciwienia się waćpanów potrzeba, aby interes dyssydentów utrzymał się, gdyż na to wszystkie dwory europejskie zgadzają się, i w tym jest honor Carowéj. Grzeczność moja skłania mię, iż z Waćpanami jeszcze raz nie jako z biskupami, lecz jako senatorami mówię. Radzę niesprzeciwiać się, żeby potem swego uporu nieżałować.*

Wszyscy biskupi byli zgromadzeni u prymasa, i każdy z nich w szczególności rezolwowany był iść na Syberyę, jak niektórym grożono. Ale prymas, gdy go proszono o zdanie, figlarnie się wykręcił. Tu dopiero biskup krakowski postrzegł zawód swojéj rekomendacyi za Podoskim do Rzymu wniesionéj.

W dzień tego fatalnego sejmu wszyscy posłowie zgromadzili się do księcia Radziwiłła. Posełkowie czyli zausznicy rosyjscy rozmaite posłom czynili przedstawienia. Sejm miał się zaraz zacząć, bez arbitrów, gdy tymczasem wszedł nuncyusz papiezki niedawno do Polski przybyły, człowiek obrotny i determinowany. Prezentował Radziwiłłowi breve Ojca ś. miał mowę bystrą, zachęcał wiernych przeciw dyssydentom, i z taką gorliwością popierał interes katolicki, *że wszyscy przysięgli podnosząc rękę w górę umrzeć za obronę religii. Wszyscy się wza-*

jemnie zachęcali poświęcać swój majątek i swoje życie Udał się potem nuncyusz do prymasa, i innych biskupów zagrzewając ich do obrony wiary. Repnin o tem dowiedziawszy się pojechał zaraz do Radziwiłła pomimo przestróg przyjacielskich, aby niejechał pomiędzy zgromadzenie napełnione gorliwością. Wszedł do Radziwiłła, i zaczął go i przytomnych nakłaniać do przychylności ku carowéj.

Około południa król poprzedzany przez senatorów, ministrów i posłów udał się do kościoła, a ztamtąd do Izby Sejmowéj. Na wszystkich twarzach widno było smutek, niespokojność i rozpacz. Król oświadczył, *że się łączy z Konfederacyą*, gdyż inaczéj nienależałby do Sejmu. Podług dawnych zwyczajów powinienby wprzód roztrząsnąć interesa konfederacyi, nimby były decydowane na Sejmie przez Stany zjednoczone. Ale podano pod imieniem księcia Radziwiłła formę nową, a zupełnie krajowi szkodliwą. Wystawiono, że jedyne żądanie carowéj, *by dyssydentom oddana była sprawiedliwość w ich pretensyach.* Na co wiele poczciwych odezwało się przypominając królowi jego przysięgę, iż do wylania krwi miał bronić religii i przodkować w téj mierze narodowi.

Wacław Rzewuski wojewoda krakowski hetman polny koronny wspiérał najsilniéj to królowi przypomnienie. Niezawadzi tu opisać nieco tego szanownego senatora i wodza. Był to mąż prostą drogą od najmłodszych lat idący, kochający swoją ojczyznę stały w swoich przedsięwzięciach, najbieglejszy w naukach pomiędzy wszystkiemi senatorami, przystępny, ludzki, uczynny, zgoła: cnoty wszystkie posiadający w najwyższym stopniu bez najmniejszéj okazałości i chluby. Co było w owym czasie już rzadką rzeczą w Polakach wojażami popsutych. Utrzymywał on, że projekt tak wielkiéj wagi, od którego niewola wieczna lub wolność zależała

narodu, nie mógł być podpisany bez scisłego roztrząśnienia, przywodził na pamięć prawo nakazujące aby każdy projekt był na trzy dni kommunikowany, nim nastąpi nań decyzya; oświadczał: *jakie podziwienie przodkowie nasi zmartwychpowstali czyniliby, gdyby postrzegli religię zagrożoną, prawa powywracane, a wolność konającą.* Po mowie wojewody krakowskiego milczenie wielkie nastąpiło, a król solwował sessyę. Repnin urażony posłał wojska rosyjskie na rabowanie dóbr tego wojewody i zabranie reszty majątku biskupa krakowskiego, który składał się z sreber, mebli, stad i rozmaitego rodzaju bydła.

Nazajutrz za otwarciem sessyi Załuski biskup kijowski czytał dwa breve papiezkie, jedno do senatu, drugie do stanu rycerskiego zachęcając Polaków do obrony religii. Biskup ten był zalecony szczególniéj z przywiązania do literatury. Zebrał on wielką usilnością i kosztem najszacowniejsze manuskrypta, najdroższy skarb w swoim kraju, i kazał przedrukować drukiem najwyborniejszym wszystkich dawnych autorów. Poczciwy charakter jego w niczem niebył poszlakowany. Religia miała w nim stałego obrońcę, a gorliwość jego postrach Moskwie czyniła. Wszakże najwięcéj na téj sessyi dystyngował się Seweryn Rzewuski starosta podówczas doliński, a poseł podolski, syn Wacława Rzewuskiego wojewody krakowskiego hetmana polnego koronnego. Opłakując on nieszczęścia swojéj Ojczyzny dziwił się *jak te nie mogą dojść do uszów króla. Oświadczał się, że on sam będąc posłem z tego województwa, które bądź przez swych obywatelów determinacyę, bądź przez bliskość z granicami Tureckiemi mogło sobie wolnie obrać posłów czuje się być w obowiązku szczególniéj bronić wolności Ojczyzny. Zachęcał drugich posłów do stałości w obronie, sam gotów ponieść nietylko niewolę, lecz na śmierć exponować się.* W zaocznych zaś dyskursach głośno mó-

wił wraz z innemi dobrze myślącemi, że król był przyczyną wszystkich nieszczęść, pod któremi jęczała Rzplta. W pośród tych oppozycyj odezwał się brat królewski podkomorzy koronny Kazimierz Poniatowski, który żądał, aby projekt był drukowany, i kommunikowany Stanom. Przystano na to, i sessya do dni sześciu solwowana.

W tem niecierpliwy Repnin, że się rzeczy z takim oporem ciągną, ułożył projekt pobrać wszystkich sprzeciwiających się w ścisły areszt, oczekiwał tylko aż przybędzie do Warszawy Krasiński, biskup Kamieniecki. — Jakoż jechał on już, ale wstrzymał go nieco od dalszéj podróży respons z Konstantynopola przez Ankwicza kanonika przywieziony. Wyczytał on w tym responsie, *że Porta z nieukontentowaniem patrzy na te gwałty, które Moskwa w Polszcze czyni, że natychmiast wysyła extraordynaryjnego posła do Carowy z żądaniem swojem, aby wojska rossyjskie z Polski ustąpiły, że gotowa bronią dopominać się tego żądania. Nakoniec, że jeźliby Polacy chcieli sami porwać się do broni, obiecuje im dać sto tysięcy dukatów na wsparcie tymczasowe.* Po takiéj odpowiedzi odebranéj Biskup Kamieniecki lubo kazał umyślnie pałac swój codzień w Warszawie reparować i uprzątać, a pokoje wypalać, niezaraz pojechał do Warszawy, zwłaszcza gdy dowiedział się, ze przekupieni Ministrowie Tureccy od Moskwy, nietylko listy Biskupa Kamienieckiego do Porty pisane, lecz i odpowiedzi Sułtana Carowy przysyłali. Niezostawało żadnéj już nadziei jak tylko w deputowanych do Carowy od konfederacyi. Ci przybyli do Petersburga skoro w ogóle o nieszczęściach gadali jako tako słuchani byli, ale skoro w szczegółach skargi swoje rozpościerali, odpowiedziano im, że *interesa wszystkie Polskie zdane są na księcia Repnina. Carowa zaś zatrudniona nową i wielką expedycyą, niechce aby ją więcéj swemi skargami trudnili*, a Pannin

będąc wujem Repnina, gdy na niego skarżyli się, radził, *aby zamilkli i wracali się do kraju, inaczéj doznają niepomyślnego losu dla swych osób.*

Repnin posuwając co raz bardziéj swoje gwałtowne postępowanie, zwołał do pałacu królewskiego wszystkich Senatorów, oświadczając im, *że na krok nieodstąpi od układów proponowanych, bodajby do uskutecznienia tego użyć ostatnich sposobów.* Chciał nawet użyć reszty kredytu Czartoryskich, rozkazawszy wziąść w areszt Xcia Kanclerza W. Litt. za interesa Xcia Radziwiłła, który kontent był, że przez ten areszt uwolniony był od bytności na sejmie i innych radach. Atoli wkrótce Repnin na wspaniałe i niepamiętne krzywd sobie przez Czartoryskich poczynionych wstawienie się Radziwiłła, uwolnił Xcia Kanclerza z aresztu, i na sessyach być mu pozwolił.

Na następującéj sessyi im więcéj rozwag czyniono nad projektem gwarancyi, tem bardziéj poznawano, że Rossya całkiem do tego zmierzała, aby zrobiła Polaków swemi wazalami. Nad czem zastanawiając się Biskup Krakowski, przezornie mówił: *Mości panowie uważajcie aby czas teraźniejszy nie był ostatnim dla nas do używania naszych prerogatyw.* Król biorąc na świadectwo Niebo szczerych swoich starań o dobro Ojczyzny, zapewniał, *że w projekcie toczącym się, zgadza się z aktem Konfederacyi, i z prośbami deputowanych do Carowy.* — Potem kazał czytać instrukcye dane tym deputowanym, które gdy usłyszał Biskup Krakowski, zaświadczył się Senatem i posłami, *że wszystko jest grubym fałszem i potwarzą, żądał imion tych, którzy je podpisali!* A gdy odpowiedziano tym, którzy najbardziéj wyjawienia imion żądali, że oni sami z tych liczby byli, którzy to podpisywali, *protestowali się najsolenniéj o to szalbierstwo.* Biskup Krakowski odezwał się: *Na co nam się zda mieć Sejm, roztrząsać sposoby do uszczęśliwienia Ojczyzny słu-*

żące, gdy nam absolutnie zapowiedzą: tak czynić macie, bo taka jest wola Dworu Rossyjskiego. Ale ponieważ wszystko dzieje się na tym sejmie przeciw wyraźnym przyrzeczeniom Imperatorowy, radzę wysłać deputacyę do Xciu Repnina, niech nam pokaże swoje instrukcye i listy kredencyonalne, abyśmy się przekonali, czy ma zupełną władzę sobie powierzoną, więzić i rabować obywateli, pustoszyć ich dobra, i dyktować nam prawa. Wszyscy posłowie chwycili się tego projektu, ale król dla niedopuszczenia jego skutku, zerwał natychmiast Zgromadzenie porwawszy się z tronu.

Układ Repnina z królem wzięcia w areszt Biskupa Krakowskiego plantowany od dawnego czasu, rozgłosił się po całem publikum. Groźby które mu czyniono, przestrzegały całą Polskę o niebezpieczeństwie, w którém on zostawał. Ale pomimo gróźb i gwałtów nieustannych Rosyi, nie można było wierzyć, aby poseł obcy na to odważył się, czego własny król bez przekonania czynić nie mogłby. A że postępek ten Repnina był gwałcącym prawa narodów, powinien-by wzajemnego na swojéj osobie spodziewać się gwałtu. Ale król pełen ku Biskupowi zemsty, że się oświadczał z pragnieniem jego detronizacyi, szczerze dopomagał Repninowi do uwięzienia tego patryotycznego Biskupa, co i Podoski Prymas, niewdzięcznik nieustannie doradzał.— W tym zamiarze zaprosił król Biskupa Krakowskiego do siebie na komedyę, w czasie któréj miał być Biskup porwany. Biskup Krakowski zawsze szczerą i poczciwą drogą idący, ufny przytem swojéj niewinności, a pewny bezpieczeństwa przy królu, miał jechać do króla na to wezwanie. Lecz wstrzymany od przezornych i wiernych sobie przyjaciół, postrzegających niezwyczajne wojska Rosyjskiego poruszenie, uszedł tą razą zasadzek na siebie uczynionych. Wszakże Benoit minister Pruski, a Sołtyka cnoty i patryotyzmu szczególny wielbiciel, przewidując je-

go uwięzienie, przyszedł do niego, i padł mu do nóg, *aby poprzestał opierać się Moskwie*, ale Biskup podziękowawszy mu za te przestrogi, nie przyjął ich.

Postanowił już finalnie u siebie Repnin, uwieźć z Warszawy tych wszystkich, którzy mu byli przeciwni, jako to: *Sołtyka* Biskupa Krakowskiego, *Załuskiego*, Biskupa Kijowskiego, *Rzewuskiego* Wojewodę Krakowskiego, i syna jego posła Podolskiego. Życzył on sobie i Krasińskiego Biskupa Kamienieckiego uchwycić, i na ten zamiar porozstawiał po traktach żołnierzy, ale Krasiński uwiadomiony o wszystkiém, mając przy tem układ innéj roboty, posłał do Biskupa Krakowskiego, *aby się na próżno nie eksponując na niebezpieczeństwo, wymknął się raczéj z Warszawy*, posłał mu przytem cały plan nowéj konfederacyi mającéj wiary i wolności bronić pod utratą majątków i życia, a to przy pomocy przez Turków obiecanéj byleby Cesarz Niemiecki nań w tym czasie nie porwał się; sam zaś ekwipaż swój w Warszawie zostawiwszy posztą nieznajomym Moskwie traktem ujechał, mając się udać do Wiednia, i tam robić, aby Austrya nieprzeszkadzała Turkom ratować Polaków. — Biskup Krakowski niewyjechał z Warszawy, jak mu radził Biskup Kamieniecki, chociaż co raz bardziéj rozgłaszano po Warszawie, że będzie wzięty do Moskwy, lecz dopomagając do interesu Biskupowi Kamienieckiemu, i do uskutecznienia jego projektu, odesłał mu przez ręce posła dobrze myślącego swoję protestacyę przeciwko aktom tego gwałtownego sejmu.

W tem król wsparty na jakichści płonnych wieściach, że Biskup krakowski znowu coś nowego knuje, doniósł o tem Repninowi, i skłonił go ociągającego się, że nie miał na to z Petersburga rozkazu, do niezwłóczenia daléj ułożonéj planty wzięcia Krakowskiego Biskupa. Wydany więc rozkaz od Repnina, aby razem trzech senatorów, to jest: Biskupa Krakowskiego, Biskupa Kijow-

skiego, tudzież Wojewodę Krakowskiego z synem jego Posłem Podolskim wziąść w niewolę. Rozstawiono po całem mieście warty silne dla bezpieczeństwa i nieuchronnego uskutecznienia roboty. Sołtyk Biskup Krakowski był na kolacyi u swego dawnego przyjaciela Jerzego hrabi Mniszcha, Marszałka Nadwornego Koronnego. Tu śmieszna a zasłużona przez zdrajcę Podoskiego Prymasa, stała się pomyłka, że komenderujący oddziałem wojska Rosyjskiego oficer, nieznający ani Sołtyka, ani Podoskiego, na hasło same aby wziąść Biskupa na téj ulicy gdzie pałac był Mniszchowski, przypadkiem przejeżdżającego Podoskiego jako Biskupa wyciągnął z karety, a opierającego się kolbami silnie poczęstował. Po odkrytéj téj pomyłce, pałac Mniszcha żołnierzami tak otoczony został, że we drzwiach nawet i w oknach warty stanęły. Po czem weszło wojsko trojgiem drzwi razem do pokoju, gdzie był Biskup. Co on postrzegłszy wstał z krzesła, zbliżył się do kominka, i wrzucił weń ważne papiery, które zawsze nosił przy sobie, a obracając się do oficera rzekł mu: *Czy znasz mię Wacpan? czy wiesz, żem Senator? i Xiądz?* Oficer mu odpowiedział: *że podług danego sobie ordynansu musi go aresztować.* Biskup tonem słodkim rzekł do niego: *że spodziewając się iż ten areszt nastąpi w jego własnym domu, nagotował był szkatułkę ze złotem dla tego, który miał wykonać to zlecenie.* Więc uściskawszy Hrabiego Mniszcha tem niespodziewanem i gwałtownem zdarzeniem zadziwionego, udał się za oficerem rossyjskim. Józef Załuski Biskup Kijowski przebudzony ze snu hałasem padł na kolana kruficyx w ręku trzymając, a prosząc gorąco Boga aby przyjął ofiarę jego życia, dał z płaczem płaczącym po nim sługom błogosławieństwo, oświadczył się *że odpuszcza swoim nieprzyjaciołom,* i wyszedł boso, jak się w ten czas znajdował, ale oficer kazał mu koniecznie ubrać się. Wacław Rzewuski Wo-

jewoda Krakowski i Hetman W. Kor. rzekł do weszłych do swoich pokojów, Moskali: *„Chlubną jest dla mnie rzeczą utracić życie przez ręce zbójców za to, żem bronił religii i wolności, lecz że jestem Senatorem i generałem, areszt ten krzywdę czyni memu narodowi.* Seweryn Rzewuski Poseł Podolski mniemając, że ten areszt jest tylko dla niego samego zamierzony, najusilniejsze na to łożył staranie, aby nieprzebudzić ojca słabego; gdy tym czasem ojciec temuż wprzód popadł nieszczęściu. Wszyscy ci patryotyczni aresztanci poprowadżeni każdy z osobna, i bez służących do obozu Rosyjskiego na drugiéj stronie Wisły konsystującego. A nazajutrz poprowadzono ich do Rossyi pod eskortą dwóchset ludzi niepozwalając im żadnéj między sobą ani ustnéj, ani na piśmie kommunikacyi. Toż samo nieszczęście wzięcia w areszt spotkało w dobrach własnych na Wołyniu Poryck zwanych JW. Czackiego Podczaszego Koronnego Posła Wołyńskiego, męża wiarę i wolność gorliwie kochającego.

Po téj haniebnéj wykonanéj w Warszawie akcyi, do któréj wykonania król i Prymas najszczególniéj należeli, wyszły dwa pisma, jedno pod tytułem *Despota*, tragedya, drugie *Perekińczyk*, komedya, jedno Króla, drugie Prymasa wyrażało.

Co zaś powiększało okrucieństwo, tyranię i najnieznośniejszy gwałt Repnina, było to, że ci najszlachetniejsi i najcnotliwsi mężowie pomimo wieku swojego latami obciążonego, nietylko odmówione mieli wygody stanowi swemu przyzwoite, lecz kryminalistom nawet udzielane.

Generał Nummers kommendant Rosyjski w Wilnie, do którego tych aresztantów posłano by ich do Rosyi konwojował, wypraszał się od tego, posławszy umyślnego do Carowy. Carowa za odpowiedź przysłała swoje oświadczenie, *że każe uwolnić tych aresztantów jeżeli na*

piśmie złożą przyrzeczenie, że się nie będą sprzeciwiać jéj woli, i czynnościom na sejmie posła swojego. To oświadczenie Carowy osobno każdemu z aresztantów oddano do rąk, lecz od wszystkich było odrzucone. Przeniesieni przeto do Smoleńska, a ztamtąd na Syberyę.

Senat i posłowie wraz licznie złączeni udali się do króla żaląc się na to zgwałcenie prawa narodów, i publicznego bezpieczeństwa. W czasie gdy całe miasto było w żałobie, i przelęknieniu, wchodzący do gabinetu królewskiego, deputowani od Senatu i Posłów, znaleźli go spokojnie siedzącego przy biórze z malarzem, otoczonego karminem, gumą i atramentem chińskim, tudzież układającego kształt liberyi na anniwersarz swojéj koronacyi. A gdy cały sejm jeszcze powtórzył swoje uskarżania się na ten gwałt, musiał rad nierad król wysłać trzech Senatorów do Repnina, i pytać się go o *przyczynę tego przedsięwzięcia.* Repnin odpowiedział: *że z swoich czynów nikomu nie winien tłómaczyć się, jak jednéj swojéj Monarchini, i że aresztowani póty uwolnionemi niezostaną, póki niepodpiszą tego wszystkiego, czego ta Pani domaga się,* zwłaszcza, *że on wprzód zanosił już do konfederacyi skargi na tych burzycielów spokojności.* Gdy senatorowie wysłani od króla takową przynieśli odpowiedź, Kanclerz W. Kor. Jędrzej Zamojski rzekł: *Ponieważ bezpieczeństwo publiczne zgwałcone, ani nie masz wolności w naradzeniach się, niemoże dłużéj dopełniać swojego urzędu, przeto go składa w ręce króla.* Tu wypada nam powinność opisać nieco tego wielkiego męża. Pochodził on z domu i familii największych ludzi, których cnót ślady są niezatarte, a którzy radą w Senacie, męztwem na wojnie zaszczycali ten naród, jego zaś samego życie podług wyrazu powszechnego współczesnych zatrzymywało wiszące nad krajem nieszczęście. Jakoż był to mąż, który wszystkie cnoty przodków swoich w sobie umieścił.

W tém też Nuncyusz papiezki prosił o audyencyę Stanów skonfederowanych, i rzekł: *że niechce robić więcéj Męczenników, mówiąc do Sejmu gwałtownego, i będąc sam w niewoli, gdyż między aresztowanemi a nim ta tylko była różnica, że oni siedzieli w pokoju, a on w mieście otoczonym bronią.* Wszystkie kreatury królewskie chciały interes tych najcnotliwszych Mężów uwięzionych podciągnąć pod karę obrażonego Majestatu, i na tego niegodziwego zamiaru uskutecznienie przetrząsali papiery Biskupa krakowskiego, azali co w nich podobnego nieznajdą. Repnin dopełniając swojéj gwałtowności i wściekłości groził: *że miasto całe poda na rabunek, a Królestwo na ostatnie zrujnowanie, jeżliby widział opór w przyjęciu projektu Kommissyi,* nadto dodał: *że ktokolwiek sprzeciwiać się będzie woli Imperatorowy utraci głowę na rusztowaniu katowskiem.*

Na następującéj Sessyi ustanowiono gwałtownie kommissyę prawodawczą, którą absolutnie rządził Repnin, cień tylko jéj przy Marszałku Radziwille zostawując. Lubo ta komissya składała się z osób 60 to jest: z Senatorów mianowanych przez króla, i Posłów przez Radziwiłła, jednak 14 osób z pomiędzy nich zgromadzonych dostateczną było liczbą dla ustanowienia większością głosów prawa. A tak jak z początku brano za fundament Rządu, jedność odrzucając większość głosów, tak tu znowu większość głosów uchwalono.

W pośród powszechnéj w Warszawie trwogi w najspokojniejszym Król pokazywał się humorze. Jedna najmilsza z jego rozrywek była zabawa chodzić przypatrować się mustrze Moskiewskiéj. Od najmniejszych do największych urzędów wszystkie były rozdawane na samą nie już rekomendacyę, lecz skinienie Repnina. Sekretarze Ambasady jego przedawali publicznie dyplomata wszystkich urzędów polskich. A z królem tak sobie Repnin absolutnie postępował, że go nieprzyjacie-

le nawet jego żałowali. Lecz Król, nieczułym to przyjmując umysłem, mówił: *że się to wszystko odmieni, i potem będzie lepiéj.* Przez co tak daleko zaczęto pogardzać Królem, że go nazywano, alludując do ostatniego Cesarza Rzymskiego przy upadku tej tak wielkiéj Monarchii panującego Stanislaus Augustulus.

W tym czasie utworzyły się Konferencye z alternatą raz u Posła rosyjskiego, drugi raz u Prymasa. Po prawéj ich ręce siedziało 60. komisarzów, po lewéj 8 Deputowanych Dyssydenckich, i Biskup Mohylowski siedzący na wyższem krześle. Naprzeciw Repnina, lub Prymasa byli Ministrowie: Angielski, Pruski, Szwedzki i Duński, których Dwory jako same Dyssydentskie protegowali Dyssydentów. W trakcie téj Sessyi, gdy który z komisarzów tych niby prawodawczych chciał coś mówić o deklaracyach Imperatorowy, Repnin z największą furyą odzywał się: *Milcz, do mnie jednego należy wiedzieć prawdziwe znaczenie deklaracyów mojéj Monarchini. Ja nieprzyjmuję ani uwag, ani rezonowania, tylko samą podległość.* Arbitrowie widząc takie tyrańskie z Narodem Repnina postępowanie, powynosili się z Izby; każdy na ostatni Posła gwałt powstawał, jednemu Prymasowi to się wszystko podobało.

Po takiem zagajeniu interesu wszystka Szlachta Dyssydentska przypuszczona do wszystkich prerogatyw, urzędów i magistratur zarówno z Szlachtą katolicką wyjąwszy szczególnie posiadanie Tronu Polskiego, od którego Szlachta tak była tym świeżym wyrokiem odsunięta, iż ktobykolwiek ważył się rekomendować do Tronu Dyssydenta, powinien być uznany za nieprzyjaciela Ojczyzny i nawet śmiercią karany. Toż ponieważ Religię katolicką przyznano za panującą w tym kraju przeto ustanowiono prawo, aby odstępujący jéj, był na zawsze z kraju wygnany.

Biskup Mohylowski nic prawie nie otrzymał z pretendowanych przywilejów, gdyż to był Rusin ciemny z gruntu na rozumie, bez żadnéj edukacyi, i zawsze pijany, przeto sam Repnin znienawidziwszy go sobie uznał go za niezdolnego do Senatu Polskiego. Pozwolono mu jednak, aby taką miał w Polszcze juryzdykcyę nad swojemi Grekami, jaką mieli Biskupi rzymscy nad katolikami. Przyznano także niektóre prerogatywy Duchowieństwu Dyssydentskiemu, których przedtem mądra polityka Rzymska im odmawiała, jako to nabywanie nowych funduszów, i zwoływanie Synodów bez dołożenia się Rządu. Ten akt był podpisany w pałacu Posła w sali, gdzie portret Imperatorowy był na tronie wystawiony. Jakoż zawsze przy nogach tego portretu wszystkie akta były podpisywane. W wieczór tego dnia dla oświadczenia radości z udania się tego dzieła Repnin dał bal.

Chociaż dokazał swego Repnin, i miał się już za spokojnego zupełnie, usłyszał bardzo niesmaczny przysmaczek, który mu rzekł Marcyan Potocki: *Wiele dokazujesz tu Wacpan, a nie wiesz Polskiego przysłowia: odejm Polakowi kontusz, ogołoć go z żupana, lecz skoro posiągniesz po koszulę obruszy się, i wszystko odbierze.* A któż na to odważy się teraz rzekł Repnin: *Ja, odpowiedział Potocki, przed 15 dniami będę na czele konfederacyi przeciw temu wszystkiemu co tu Wacpan robisz. Masz mię Wacpan w swojéj mocy, możesz mię kazać aresztować. Lecz nic na tem nie zyskasz. Bo 50 tysięcy Polaków tak myśli jak ja.* Czyli ta groźba ustraszyła Rusina, czyli, że mniemał, iż już wszystko uspokojone, wstrzymał się od dalszych gwałtowności; Potocki został wolny, i dotrzymał słowa.

Nieuhamowany w swoich zapędach i swoich dzikich układach Repnin jak nieustannie przedsiębrał upokarzanie możniejszych w Polszcze familij, tak powziął śmier-

telną niechęć ku Xięciu Michałowi Czartoryskiemu Kanclerzowi W. Lit. i chciał, aby ten starzec po strawionych do zgrzybiałéj starości swojéj latach na usługach kraju ,bez żadnego powodu składał Kanclerstwo. Exkuzował się on grzecznie, i z powolnością, że byłoby to z hańbą jego porzucać usługę dla Ojczyzny, gdy może ją jeszcze czynić. Repnin groził mu gdy tego nie uczyni Syberyą. Wszakże pomimo tylu nieprzyjaciół, których miał Xiąże Kanclerz, wszyscy niemal nad nim, i nad jego niewinnem prześladowaniem ubolewali. Sam nawet Radziwiłł zapomniawszy krzywd sobie od niego w czasie Bezkrólewia poczynionych, zadeklarował, że wprzód życie straci, niżby podpisał ordynans jego aresztowania. Pomimo tego wszystkiego popadłby nieochybnie nieszczęściu Xiąże ten latami obciążony, gdyby dwie młode wnuczki tego Xięcia nieułagodziły zawziętości Repnina.

Kiedy tak Repnin coraz bardziéj władzę swoją i gwałty rozpościera w Polszcze, przybiegł od Carowy extraordynaryjny kuryer kończenia jak najprędzéj interesów w Polszcze, gdyż Turcy Polaków nieszczęściami wzruszeni wojska swoje ku granicom moskiewskim ściągają, do któréj obrony Polaków i Francya zabierała się; ponieważ minister francuzki Xiąże de Choiseul podał wyraźne i dokładne Porcie opisanie, co Moskwa na Sejmie z Polakami dokazywała, jakie gwałty im czyniła chcąc ją właśnie podbić swemu panowaniu; *zachęcał przeto Turków do wojny przeciw Rosyi, zapewniając najuroczyściej, że Austrya neutralność w téj wojnie zachowa.*

Chociaż Sułtan do żywego był tknięty temi wiadomościami, ministrowie jednak tureccy, jako niewieściuchy bojąc się wojny, a pragnąc raczéj pokoju przeklinali równie Polaków jak Moskali. Rozumieli, że dosyć Polakom dadzą pomocy, gdy wymogą na Carowy

ustąpienie wojsk rosyjskich z Polski. Jakoż wymagała tego Porta, aby wszystko wojsko rosyjskie ustąpiło z kraju Polskiego, aby wolność była przywrócona Senatorom uwięzionym, i aby napotem Moskwa podobnych gwałtów w Polszcze nieczyniła. Przynaglał Repnin, aby jak najprędzéj traktat z Polską był ukończony, mocą którego na każdym Sejmie trzy pierwsze niedziele w interesach ekonomicznych większością głosów stanowione być miały, trzy zaś drugie niedziele na interesa Stanu zostawione od jedności głosów swoją miały mieć decyzyę. Postanowiono, *że Królowie nie mogli być obierani tylko jednością głosów, a że żaden Szlachcic nie mógł mieć głosu w swym Dystrykcie nie mając w nim possessyi, przypuszczono do Indygenatu wielu Moskalów. Karr i Ingielstrom posługacze do gwałtów Repninowskich, Bułhaków Sekretarz ambassady, i inni burzyciele fortun Szlachty Polskiéj byli uznani za Polaków.* Ministrowie cudzoziemscy wezwani od Repnina w interesie Dyssydentów, gdy potem proszeni byli od tegóż, aby podpisali gwarancyę Rosyjską nad Polakami, wymówili się od tego jednostajnie, *że nato nie mają zlecenia swoich dworów.* Zaproponował potem Repnin Kommissarzom prawodawczym, aby po skończonym Sejmie wysłali posłów swoich do przedniejszych Dworów Europy z doniesieniem odmiany rządu w Polszcze, i wychwalenia mądrości Imperatorowy. *Ta propozycya wzbudziła powszechny gniew przeciwko Repninowi* domagającemu się, aby naród uciemiężony wychwalał swoich tyranów.

Skoro na Sessyę Sejm zjechał się dla potwierdzenia swoją władzą nowego Prawodawstwa, podany w Izbie przeciwko całéj tej robocie Manifest autentyczny przez Chreptowicza skłonionego do téj czynności od Biskupa krakowskiego przed swem uwięzieniem, męża wysokiego urodzenia w Litwie, który przedawszy swoje dobra, i Manifest swój w akta grodzieńskie wciągnąwszy

sam wyjechał z kraju, i akta Grodzińskie z sobą uwiózł. Potem ten czyn swój patryotyczny posłał do wszystkich Dworów Europy, i Posłów Sejmowych w Warszawie.

W tymże samym czasie Nuncyusz papiezki przysłał do Króla *protestacyę*, która pozwolenie Dyssydentom niesłusznie przez nich pretendowanych prerogatyw *nazywała dziełem niezbożności, niesprawiedliwości i płochości.* Odebrawszy Król tę protestacyę westchnął, i rzuciwszy się rzekł: *Czemuś mię Wacpan nieuprzedził?* Ta protestacya w Warszawie nie mniéj żywą uczyniła impresyę, jak Manifest Chreptowicza.

Następująca Sessya była nieliczna. Wielu na niéj nie było Senatorów, a z Posłów Litewskich żaden. Gdy na niektóre artykuły niedano Posłom głosu, Wybicki Poseł pruski protestował się przeciwko temu, i nawet przeciw całemu Sejmowi zaniosłszy Manifest w Grodzie Warszawskim. Potem wsiadł na konia, i przerznął się przez gleyty rosyjskie na próżno potem od nich ścigany. To gdy się dzieje, aliżci osobne Król, osobne Repnin odbiera listy o powstaniu narodu na Podolu. Chowali to oni w sekrecie kontentując się daniem ordynansu dwom kompaniom Polskim, i Reymentowi niemieckiemu będącemu w służbie polskiéj, aby rozproszyli tę zbieraninę, a tymczasem jak najprędzej Sejm kończyli. Repnin chciał sobie przed Imperatorową zrobić chwałę, że tak wielkiéj wagi skończył interes, i spodziewał się wielkiéj za to nadgrody, to jest: *Podkanclerstwa Państwa*, ale powstanie Podola te jego nadzieje zniszczyło.

Sejm był skończony 5 marca, i konfederacya Radomska rozwiązana. Stany przed rozjechaniem się supplikowały Królowi, *aby wniósł do Imperatorowy wstawienie się za uwolnieniem Senatorów.* Prymas dał się słyszeć w swoim dyskursie, *że ci więźniowie byli winnemi*, ale dodał: że Imperatorowa równie umie przebaczać, jak

panować. Wszyscy zaś inni o nich mówili, jako o niewinnych ofiarach gorliwości patryotycznéj, którzy wieczne nabyli prawo do miłości, szacunku i wdzięczności Współobywatelów.

W tym coraz bardziéj zaczęły się po Warszawie rozchodzić nieomylne wiadomości o nowéj Konfederacyi pod nazwiskiem Barskiéj formującéj się w Prowincyach południowych. Wyszczególniano Autorów jéj, na których czele był Biskup Kamieniecki Krasiński wsparty na opiece i pomocy Turków. Dyssydenci najwięcéj tem trwożyć się poczęli, ponieważ rozumieli, że za utrzymaniem się téj Konfederacyi, oni najpierwszemi będą zemsty Polskiéj ofiarami.

Biskup Kamieniecki ścigany wszędzie przez wojska moskiewskie uszedł ich rąk, przebrany za doktora. Puścił się manowcami ku Kamieńcowi odwiedzając chorych od domu do domu, uczyniwszy nawet pod tym ubiorem przysługę swoją jednemu Officerowi rosyjskiemu choremu. Lękał się on z początku, czyli plan przez niego kommunikowany Biskupowi krakowskiemu Konfederacyi umówionéj nie dostał się w ręce moskiewskie przy braniu Biskupa w Warszawie, ale dowiedział się, że Biskup krakowski w samym braniu swoim u Mniszcha, wrzucił go w kominek. Posławszy więc on do Konstantynopola z dokładnem opisaniem świeżych gwałtów, które Moskwa w Polszcze czyniła, przejechał powtórnie Polskę, ale z wielkiem życia swego niebezpieczeństwem. Gdyż razu jednego niemogąc inaczéj wojsku rosyjskiemu wyśliznąć się, które go wszędzie, i najtroskliwiéj szpiegowało, ukryty w starym kufrze, na którym chłop saniami jadący siedział, dostał się do przyjaciół. Będąc w miejscu bezpiecznym, gdzie go przyjaciele czekali, przebrał się, za officera Pruskiego, poprzebierał w takież mundury swoich ludzi służących, i prowadząc z sobą remontę koni ukraińskich przeje-

chał szczęśliwie aż do Warszawy przez wiele oddziałów wojska nieprzyjacielskiego. Porozpisywał listy z tego miasta, i sam udał się do Szląska w zamiarze objechania Dworów cudzoziemskich Polszcze przychylnych prosząc ich o wyjednanie w Wiedniu neutralności w wojnie między Portą i Rosyą; ale gdy był bliski już granic obcych krajów, ledwie nieumarł z smutku, dowiedziawszy się że rozgłoszenie nadto wczesne roboty, popsuło ją i że wszystkie jego układy zaczęły się płocho exekwować. Początek ułożonéj przez Biskupa Kamienieckiego roboty był takowy: Szlachcic jeden nazwiskiem Puł..ski, który z początku dla zadłużonéj swojéj fortuny chwycił się prawnictwa, woląc raczéj prawem niż protekcyą bardzo omylającą Magnatów dochodzić swego, pełen rozumu, Religii, a najszczególniéj przywiązania do Ojczyzny, wezwany był do Dworu Xiążąt Czartoryskich. Ale skoro poznał, że ten Dwór chciał się wynosić nad prawa, usunął się od niego. Tak człowiek światły obrany został Konsyliarzem Konfederacyi Radomskiéj. Repnin z początku mało co nań zważał, lecz gdy postrzegł, że Biskup krakowski zaczyna mieć w nim ufność, i do swego go przeniósł pałacu, zaczął nań krzywem patrzyć okiem. A nawet, gdy razu jednego Repnin rozmawiając z Pułaskim nakrył głowę, a Pułaski toż samo natychmiast uczynił, w taką wpadł złość Repnin, *że go chciał uderzyć*. Pułaski, który dotąd zdawał się być nieczuły na wszystkie krzywdy, które odbierał od współobywatelów, ten postępek z sobą Repnina głęboko w swojéj umieścił pamięci, a rozważając wszystkie dyskursa między Biskupami krakowskim i kamienieckim przywiązał się całkowicie do sentymentów tych cnotliwych obywateli (i przez niego to Biskup kamieniecki posłał był Biskupowi krakowskiemu plan przyszłej Konfederacyi). Wszakże oddalenie się Biskupa kamienieckiego z kraju, i błąkanie się po różnych

krajach wprawiło Pułaskiego w porozumienie, że ten Biskup acz najlepiéj myślący, przez bojaźń oczekuje do tego dzieła pomyślniejszéj pory, która może nienastąpi, a tymczasem nadchodzący Sejm potwierdzić może gwałty Repninowskie, przedsięwziął więc natychmiast porwać się do broni przeciw tyranii moskiewskiéj. Kommunikował swego zamiaru niektórym znacznym Panom w Warszawie. Niektórzy z nich zadrżeli na to kommunikowane sobie a wiele niebezpieczeństw obiecujące przedsięwzięcie, przeto niechcieli się w tę czynność mieszać, atoli przyrzekli niezawodny sekret. Drudzy przystawszy na układ Pułaskiego, ofiarowali mu na utrzymanie téj roboty znaczne summy, assygnacye do swoich dóbr kommissarzy, i ordynanse do milicyi nadwornych. Niektórzy oświadczyli się podpisać te bilety, które odebrał Biskup Kamieniecki od Turków obiecujących pożyczyć Rzeczypospolitéj sto tysięcy dukatów. Pierwsza jego intencya była usprawiedliwić niejakim sposobem Naród polski z nieszczęść, których konfederacya Radomska była przyczyną odnowiając tęż Konfederacyę pod temiż samemi Marszałkami i Deputowanemi w miejscu wolnem, i dalekiem od wojsk obcych; a gdyby się to nieudało dla baczności Moskwy nad Marszałkami téj Konfederacyi, rezolwował się formować natychmiast inną Konfederacyę bodajby największe niebezpieczeństwo krajowi zapowiadającą.

Trzeba było wybrać męża bardzo zdatnego i roztropnego, któryby mógł być na czele téj roboty; męża nietylko majątki swoje, lecz i życie chętnie ofiarującego dla obrony kraju, z warunkiem atoli, aby jeżliby potrzeba konfederacyi wymagała, ustąpił naczelnictwa Radziwiłłowi. W tym brat biskupa kamienieckiego hrabia Krasiński podkomorzy różański odważny i poczciwy, lecz pomiernego majątku obywatel przyszedł do Pułaskiego. Niebył on wprawdzie całkiem sposobny do kie-

rowania tak wielkim zamiarem, ale takiego był charakteru, że go zdradzić, lub opuścić nigdyby niechciał. Bo nie myśląc, ni o czem bardziéj, jak o Ojczyznie, gotów jéj był poświęcić nietylko swoją opinię, lecz majątek i siebie samego. Podczas ostatniego bezkrólewia zebrał 50 ludzi, co majątek jego nadrujnowało, i do schyłku samego z ludźmi temi hetmana Branickiego szczupłemu wojsku dopomagał. Wybrawszy go tedy Pułaski na marszałka, pojechali obydwa, lecz osobno do Warszawy.

Pułaski przyprowadził z sobą trzech synów Franciszka, Kazimierza i Antoniego, i czwartego synowca. Zaprowadził ich do swéj majętności niedaleko Warszawy leżącéj, i pomimo ich młodego bardzo wieku odkrył im swój układ. *Wystawił im, jak wielka czeka chwała obrońców i wybawicielów swojéj Ojczyzny, ale też im oświadczył, jakim nieszczęściom i hańbom podpadać muszą ci, którzy źle się sprawować będą w przedsięwziętéj robocie.* Pożegnał się z żoną, która mężnie uczyniła ofiarę z całéj swojéj familii na usługę Ojczyzny. Wysłał potem dwóch starszych synów na robienie interesu. Na pierwszego włożył obowiązek poznania obywatelów kraju owego, i ich sposobu myślenia. Na drugiego zebranie 150 kozaków, i na pierwszą schadzkę naznaczono Lwów, dokąd też Pułaski z hrabią Krasińskim na początku lutego przybyli. Ale gdy postrzegli, że jenerał polski Korytowski do króla duszą i sercem przywiązany, a w Lwowie z rejmentem swoim stojący począł ściśle szperać przyczyny ich przyjazdu, wynieśli się z Lwowa, w którym znaleźli byli wielu swoim intencyom sprzyjających. Naprzód bowiem listy Sierakowskiego arcybiskupa lwowskiego wiele im kredytu zrobiły. Potem najdystyngowańsze damy klejnoty swoje i droższe sprzęty u żydów zastawiały, aby pieniądzmi zebranemi zasilić choć cokolwiek to najświętsze przedsię-

wzięcie. Udali się więc ci Republikanie z Lwowa do Baru małego miasteczka podolskiego, o pięć mil od Kamieńca, a o siedm od granic tureckich leżącego. Pierwsi konfederaci byli w liczbie ośmiu tylko osób, ale więcéj nad 300 szlachty już mieli podpisanych. Udało się im to zrobić w tenczas, gdy wojska rosyjskie sejmu pilnując, około Warszawy kręciły się. Hrabia więc Krasiński, piąciu Pułaskich i trzech innych szlachty podpisali pierwsi akt, przez który odnowili konfederacyę radomską pod laską Radziwiłła, zrobiwszy mu zastępcą hrabiego Krasińskiego, co było jeszcze w sekrecie. Ale drugim aktem już do wiadomości publicznéj podanym, hrabia Krasiński ogłoszony marszałkiem konfederacyi Barskiéj, a Pułaski marszałkiem wojska. Manifest téj konfederacyi pełen wymowy zasadzał się na tem, *że imperatorowa gwarantując nowe prawa, na zawsze odbierała Polakom moc prawodawstwa, a narzucała na nich gwarancyę, jako na naród sobie podległy.*

Ośmiu konfederatów zebrało w krótce 300 żołnierzy, i poszło z niemi zabierać nadworne milicye u panów, i garnizony po ordynacyach, będące, z czego w niedługim przeciągu czasu zebrała się pomierna armia. Nadto kupili acz za znaczną summę u hana tatarskiego pozwolenie werbowania do swego wojska Tatarów. Za zbliżeniem się tych konfederatow pod miasto i fortecę Berdyczów cudami obrazu Matki Boskiéj w kościele Karmelickim słynące, zakonnicy ci dobrze myślący nietylko im bramy otworzyli, ale z największą ludzkością i hojnością ich przyjęli, wszystkiego im do żywności dostarczając. A jeden z tego Zgromadzenia zakonnik Marek imieniem pełen cnoty i pobożności człowiek, włożywszy na siebie krzyż wyszedł z klasztoru, biegając od domu do domu, i zachęcając wszystkich do konfederacyi nakształt krucyaty, dawał im imieniem boskiem błogosławieństwa. Gdyby była ta robota trochę

później zaczęła się, pewnieby i forteca Kamieńca podolskiego dostała się w ręce konfederatów, któréj niepoddawania konfederatom komendant jéj Witt zwany odebrał od króla ordynans, oraz ścigania konfederatów. Zbierano wprawdzie zewsząd korpusy na rozproszenie patryotów, ale te korpusy zamiast ścigania konfederatów, łączyły się z niemi. Rachując konfederacya ośm tysięcy ludzi zaczęła przemawiać z powagą. Wydała uniwersały *na zbieranie się szlachty, wzywała wojska narodowe i milicye nadworne, wyznaczała na województwa pewną kwotę żołnierzy, nakazywała pospolite ruszenie powszechne, na ściganie dyssydentów, uwolnienie się od uciemiężenia rosyjskiego, a powrócenie praw Narodowych. Wyznaczyła posła do Turcyi, do Saksonii i hana Tatarskiego, a powysyłała emissaryuszów swoich do wszystkich baszów w pobliskości będących.*

Wiadomość o tym związku z niewypowiedzianą szybkością po całym rozeszła się królestwie. Zamojski Jędrzéj exkanclerz wsparty reputacyą swojéj cnoty, całą objechał Polskę deklarując się sekretnie szefem téj roboty. To pewna że gdyby układ ten był zaczęty po ustąpieniu moskwy z kraju, całaby Polska skonfederowała się, i tron za wakujący byłby ogłoszony. Lecz że większa część kraju była wojskami rosyjskiemi napełniona, a szlachta prawie wszystka była bez broni, wielką trudność miała konfederacya do rozszerzenia się.

Biskup Kamieniecki Krasiński dowiedziawszy się o tym skorym nadto do broni porwaniu się, chciał odstąpić téj roboty, i nawet manifest przeciw niéj zanieść; ale że brat jego był na czele, zdeterminował się nieopuszczać acz płocho nieco i nagle zaczętego dzieła. Pobiegł jak najrychléj do Drezna, Wiednia i Wersalu wystawując tym dworom, że zguba Polaków jest nadzwyczajnym wzmocnieniem się Rosyi z czasem strasznéj dla wszystkich sąsiadów.

Repnin prawie wściekający się od złości przeciw konfederatom, rzekł: *że ich wszędzie ścigać będzie, bodajby w granicach Turcyi, i że bez pardonu największe swoje na nich wywierać będzie okrucieństwa, jednak nieodważył się na uskutecznienie tego, co obiecywał.* A w tem mu nowy przybył powód do strasznéj zgryzoty i trwogi, gdy odebrał list od posłańca z Mołdawii, który imieniem Porty na fundamencie tylu przyrzeczeń jéj danych, nakazywał mu, aby z Polski wojska rosyjskie niezwłocznie wyprowadzał. Wyprawił on kuryera do Konstantynopola z oświadczeniem, że zabiera się całkowicie do marszu z Polski, ale ten kuryer na drodze zabity sprawił, że Repnin jeszcze w Polsce gospodarował.

Acz mała liczba była pod ów czas senatorów w Warszawie, i to po większéj części z kreatur królewskich złożona w liczbie 20, król jednak ich zwołał na radę, jak sobie w tych nowych zamieszkach ma postąpić. Repnin zaraz chciał wymódz na nich, *aby prosili imperatorowéj o sukurs przeciw tym buntownikom.* Gdy różne dawali zdania senatorowie, prymas Podoski hańba i zakała duchowieństwa polskiego, a najgłówniejszy Ojczyzny nieprzyjaciel, Moskwie zaś całkiem zaprzedany, odezwał się: *iż trzebaby posłać do konfederatów dla wysłuchania ich skarg, i spróbowania, czy ich nie można ułagodzić. A jeżliby ta powolność żadnego na umysłach ich niezrobiła wrażenia do złożenia broni, aby posłać innych posłów do imperatorowéj z prożbą, by wojska jéj z kraju nieustępowały.* Na tę propozycyę prymasa wszyscy obruszyli się. Ale przystali, aby posłać do konfederatów, czyby nie można z niemi w jaki sposób ugodzić się, a w przypadku nieudania się tego poselstwa, aby zwołać na radę wszystkich senatorów. Król niechciał podpisać tego rezultatum, i nazajutrz sessyę, odwołał. Bojąc się król być zostawiony narodowi bez wsparcia Moskwy, radził Repninowi, *aby wycięczał siłę i moc turecką, a*

groził jak najwięcéj Polakom. Jakoż Repnin na dwóch następnych sessyach ogłosił, *że ogniem i mieczém pustoszyć będzie tych dobra, którzy najmniéj do związku tego należącemi być się pokażą.* Gdy wielu senatorów bojąc się Syberyi na wszystko przystawało, książęta Lubomirscy i Sanguszkowie oparli się Repnina rezolucyi, i złożyli swoje opinie przeciwko opiniom innych senatorów w aktach publicznych Królestwa.

Wojska rosyjskie bez attakowania konfederatów posuwały się coraz bardziéj, aby ich scieśniać, i przerzynać im kommunikacyę z pobliższemi województwami. Jakoż nie mieli już wolnego miejsca, jak tylko od granic Tureckich. Widząc tedy Pułaski nieodbitą potrzebę spotkania się z Moskalami, do zebranych swoich tak mówił: *Czas przyszedł dla nas do pomszczenia się za wszystkie krzywdy nam od Rosyi wyrządzone. Oto Rzeczpospolita napadniona, znieważona Religia, sprawiedliwość i prawo Narodów podeptane, senatorowie kajdanami obciążeni, i całe Państwo w jarzmo niewoli zaprzężone. Powinnością naszą jest najświętszą, bronić wiary wolności i Ojczyzny. Nie lękajmy się tych, którzy przed nami nie raz drżeli, a którym my prawa i carów nadawali. Przypomnijmy sobie Termopile Greckie, gdzie 300 Lacedemończyków milion Persów wstrzymało.* Zachęceni tą mową konfederaci zdeterminowali się iść na Moskalów, i chociaż ci w obronie się tylko trzymali, konfederaci w kilku miejscach przedarłszy się do województw przez Moskwę zajętych, uderzyli na nich z korzyścią swoją. Wieść tych odniesionych korzyści zachęciła umysły konfederatów do ścigania Moskwy, prześladowania dyssydentów i detronizowania króla.

To pierwsze konfederatom udanie się zasmuciła zdrada Dzieduszyckiego rejmentarza podolskiego przywiązanego do króla, który obiecywał konfederatom złączyć się z niemi mając w swoim rządzie 3000 ludzi, w no-

cy napadł na konfederatów niespodziewanych, i wyciął ich znacznie będących pod namiotami. Wszakże większa część jego komendy zbrzydziwszy sobie zdrajcę, złączyła się z konfederatami. Wszyscy zatem przywiązani do Dieduszyckiego w pień wycięci, a pozostałemi wiernemi konfederacya wzmocniła się. Wielu też z znacznéj szlachty bojąc się o majątki, żony i dzieci, w nocy przyjeżdżali do konfederatów, i podpisawszy sekretnie akt konfederacyi, do domów w nocy wracali się, oczekując pomyślniejszéj pory. Ale chłopi w owym kraju ruską religię wyznający namówieni od swoich popów donosili panów do Moskwy, która ich imiona u siebie zapisywała.

Na fundamencie rezolucyi senatu posłania kogoś do konfederatów, czyliby nie można skłonić ich umysłów do zgody, i poprzestania przedsięwzięcia, wysłany mąż wiele kredytu w narodzie mający dla swojéj cnoty, rzetelnego charakteru, i przywiązania do Ojczyzny jenerał Mokronowski, do którego wyjeżdżającego na tę posługę mówił obłudnie król: *że sam nieapprobuje tych gwałtowności, które robi Repnin, i radby wybić się z tego jarzma.* Nieapprobował Mokronowski u siebie zupełnie konfederatów czynności, jako za nadto śmiałéj, i prawie niepodobnéj do uskutecznienia, przeto chętnie podjął się tego poselstwa, zwłaszcza chcąc zbliska przypatrzyć się temu patryotycznemu dziełu. W drodze będąc o mały włos nie został zabity od jednego konfederata; ale skoro powiedział mu swoje nazwisko, ten który go nigdy nie widział, na samo wspomnienie jego imienia ocalony przy życiu. Gdy za przybyciem swoim do konfederatów Mokronowski opowiedział zamiar swego poselstwa, Pułaski mu odpowiedział: *że traktowanie to z niemi jest podejrzane, że zdradziecki naród moskiewski nie każe żadnéj mieć ufności w jego słowach i przyrzeczeniach;* dodał: *że konfederaci wszyscy pełni są*

szacunku dla jego osoby, lecz przełożeń jego nie przyjmują.

W przeciągu tym Repnin odebrał list od imperatorowéj. Na pierwsze wiadomości o wszczętéj konfederacyi Barskiéj wpadła imperatorowa była w wściekłą złość. Lecz nieco ochłonąwszy rzekła: *Chciałam Polaków do dobrego przywieść porządku, ale kiedy uparci, zostawię ich samym sobie.* Wszakże przewrotny Repnin zapewniał imperatorowę, *że cały Naród przyjmuje z wdzięcznością jéj opiekę, garstka tylko zuchwalców zrobiła w kraju zaburzenie.* Temi Repnina zapewnieniami uwiedziona imperatorowa ogłosiła konfederatów *za nieprzyjaciół swego państwa, a za buntowników przeciw swéj Ojczyźnie.* Rozkazała, aby król połączywszy swoje wojska z rosyjskiemi ścigał ich, oraz ogniem i mieczem majątki ich niszczył.

Gwałtowny Repnin niecierpiąc zwłoki, wykomenderował siedm pułków regularnego wojska, i pięć tysięcy kozaków do Baru, do Winnicy, do Konstantynowa i Chmielnika, aby ci ogniem i mieczem wszystko niszczyli, i wycinali. Palili oni wsie i dwory szlacheckie, a uciekających z domów dla schronienia się gdzie bezpiecznego okrutnie po drogach zabijali. Jeden z tych barbarzyńskich oddziałów wpadł do maleńkiego miasteczka Terespol zwanego, gdzie niezastawszy tylko kobiety i dzieci, w pień ich wyciął. Dowiedziawszy się o tych okrucieństwach konfederaci, zaczęli się silnie gotować do obrony, i odpierać natarczywości Moskiewskie z największą determinacyą. W pośród tych utarczak walecznych rozeszła się wieść fałszywa, że wszyscy trzej synowie Pułaskiego zginęli. Co usłyszawszy stary Pułaski rzekł z westchnieniem: uczynili oni swoją powinność, i daléj wydawaniem ordynansów zatrudniał się. Aż tu owa wieść pokazała się z gruntu być nieprawdziwą. Bo Kazimierz Pułaski średni syn Marszałka woj-

skowego Pułaskiego dwadzieścia lat dopiero wieku liczący przywiązany będąc dawniéj do Xięcia Karola Kurlandzkiego, a tém samem mający porę przypatrzenia się ile wiek mu pozwalał sztuce wojennéj, gdy wraz z tym Xięciem oblężony był w Mitawie od 15,000 Moskalów, naprzód przeciw 1200 Moskalów od których był attakowany przez siedm dni, potem przeciw liczbie w dwójnasób powiększonéj, a nakoniec przeciw sześciu tysiącom nieustraszenie bronił się, i chociaż to dużo krwi Konfederatów kosztowało, odpędził ich od miejsca arcypotrzebnego naszym wojskom.

Pułaski stary rzekł do bawiącego się jeszcze przy konfederacyi Mokronowskiego na swoim poselstwie: *Widzisz Wacpan czyli takowe okrucieństwa, rabunki, pożogi przez wojska Moskiewskie nam wyrządzone mogą nas skłonić do umów jakowych z niemi? Naród ten nie idzie podług reguł wojskowych, lecz rozbójniczych:* Powrócił się zatem Mokronowski do Senatu. Przybywszy do króla powiedział: *Albo W. K. Mość zwodzą, albo W. K. Mość mnie zwiódłeś. Nie przystoi mi w podobnych przypadkach służyć W. K. Mości.* Poczem porzucił dwór i pojechał do Francyi ratować tę nieszczęśliwą Rzeczpospolitę.

Imperatorowa na nieustanne Repnina na konfederatów potwarze przesyłane do niéj, wydała drugą deklaracyę nazywając konfederatów buntownikami, zdrajcami, i rozbójnikami. Król zastanawiał się długo nad złączeniem podług rozkazu Imperatorowy wojsk narodowych z Moskiewskiemi, ale Ksawery Branecki pierwszy konfident Imperatorowy i króla, szałaput z natury, charakteru zuchwałego i bezczelnie ofiarujący się na wszelkie usługi, chciał coś znaczyć w tych zamieszkach kraju, komissya wojskowa podpisała ordynans Rejmentom Gwardyów i Ułanów, aby szły przelewać krew współbraci. Moszyński kasztelan Lubelski jeden był tylko

z komisarzów wojskowych, który gdy nie mógł perswazyami swemi odwieść od niepodpisywania tych ordynansów, złożył swój urząd.

Dyssydenci trwożąc się o siebie, acz w szczupłéj byli liczbie, zbierali co mogli milicyi, i z Moskalami łączyli się.

Tym czasem Biskup Kamieniecki i Generał Mokronowski szukali po dworach obcych protekcyi dla konfederacyi, a Branicki Hetman W. Kor. rozpisał listy do dworach Europy donosząc o gwałtach Moskwy.

Dwór Drezdeński zawiadomiony o częstych niechęciach Imperatorowy ku Poniatowskiemu, powziął nadzieję nowéj elekcyi, i na ten zamiar posłał znaczne prezenta Prymasowi i Repninowi, a niepozwolił ani Biskupowi Kamienieckiemu, ani deputowanym konfederackim przybycia do Drezna.

Nareszcie gdy różne Dwory Europy namyślają się jak się determinować względem Polski, zrobiła się druga konfederacya pod laską Potockiego Podczaszego Litewskiego mającego za sobą siostrzenicę Branickiego Hetmana W. Kor. któremu aby wszystkie rejmenta koronne były posłuszne, Branicki wydał ordynans. Żądał ten Potocki od konfederacyi Barskiéj tytułu rejmentarstwa, którego mu Pułaski nie odmówił. Przestrzeżono go, że Reyment Wojewody Krakowskiego, Hetmana oraz polnego kor. Rzewuskiego, wziętego przez Moskwę w niewolę, miał blisko jego dóbr przechodzić, aby się złączywszy z wojskami królewskiemi, uderzył na konfederatów. Prezentował się temu Reimentowi Potocki z Reimentem swego imienia. Na hasło sławne Potockiego, na domaganie się zemsty nad temi, którzy ich wodza porwali, na ordynans Hetmana W. Kor. Reiment ten złożył broń i przysiągł konfederacyi. Potocki znajdując się na czele tysiąca piąciuset ludzi, udał się do domu, wyprawił żonę z dziećmi na miejsce bezpieczniejsze w intencyi niewra-

cania się do domu, aż po oswobodzeniu Ojczyzny. — Ztamtąd pojechał do małego miasteczka Podhajca zwanego i tam ulokowawszy się z swoją milicyą uformował konfederacyę Halicką.

W tym samym czasie Michał Rojewski, urzędnik i dobrze osiadły obywatel Lubelski zrobiwszy w Lubelskiem d. 23 kwietnia konfederacyę, i przybrawszy do niéj konsyliarzy między nimi Ksawerego Stoińskiego Sędzica Lubelskiego wszedł do Lublina dla odebrania przysięgi na wierność od Magistratur. Dowiedziawszy się o tem pułkownik rossyjski niedaleko od Lublina z wojskiem konsystujący, wszedł na przedmieście Lublina w 500 ludzi, bombami miasto zapalił i przymusił Rojewskiego do poddania się. Zebrana garstka tych Rojewskiego konfederatów, dawała ognia do Moskalów, i ledwo na prożbę mieszczan lękających się zburzenia całego miasta poprzestali, i spiesznie ku Chełmowi miastu udali się dla połączenia się z konfederatami Ziemi Chełmińskiéj, gdzie Marszałkiem obrany Józef Wereszczyński urzędnik i obywatel Chełmski, a konsyliarzami Wojciech Suchodolski Podczaszyc Chełmski i Antoni Łopuski Miecznikowicz Chełmski.

Wszystkich tedy łączących się z konfederatami dobra rabowano i palono, Starostwa zaś rozdawano Generałom Rossyjskim. Ledwie upłynęło dwa miesiące od początku tych rabunków, przejęli konfederaci ekwipaże jednego Generała Moskiewskiego, uchodzące z zdobyczą do Rosyi. Znaleziono tam naczynia poświęcone Biskupstwa Krakowskiego, kredensa wielkich familij, 40,000 dukatów, dyamenty, bogate kobierce i meble.

Województwo Podlaskie dowiedziawszy się że Moskale rabują dobra Potockiego, zebrało się w znacznéj liczbie Szlachty, uderzyło na Moskiewskie wojsko, niedopuściło rabunków, i całe skonfederowało się. Już o nic nie szło, jako aby czynić generalną konfederacyę,

ale wojska Rossyjskie z największą szybkością czyniąc swoje marsze, niepozwalały im miejsca wolnego gdzieby się łączyli. Na najmniejsze podejrzenie Panowie brani z domów swoich i do obozu prowadzeni. Kozacy przyprowadzali do pałacu Posła pobranych na prowincyach Panów poprzywiązywawszy ich do ogonów końskich. Im bardziéj prześladowano konfederatów, tem ich liczba bardziéj zwiększała się. Król chciał przez swoje kreatury zrobić rekonfederacyą, na obalenie gwarancyi, ale nikt z Szlachty nie chciał się na nią podpisać, bo nikt królowi nie ufał. A że i Moskale nie bardzo jemu ufali, kazał Repnin zabierać prochy, kartacze, kule i armaty, będące w Warszawie, fortece także brać w swoją moc. Atoli konfederaci nie mający żadnéj prawie broni palnéj, z szablą tylko i lancą w ręku cuda waleczności dokazywali, rozpędzając niemal wszędzie regularne rossyjskie oddziały.

Znajdujący się w téj konfederacyi niejaki hrabia Beniowski rodem Węgrzyn, raniony od kuli armatniéj został, i wzięty w niewolę od Moskalów. Chcąc się on z téj niewoli wydobyć obiecał, jeźli mu pozwolą wrócić się do konfederacyi, zabić Pułaskiego. Wypuszczony na wolność niedopełnił swojéj obietnicy danéj Moskalom, lecz udał się przez Kamczatkę na wojaż romansowy.

Pomiędzy szambelanami króla Polskiego znajdował się jeden, który puściwszy życie swoje na hazard, objechał prawie świat cały. Nazywał się on Dzierżanowski który porzuciwszy swoją Ojczyznę, udał się do Francyi w tenczas, gdy sławny Lövendall formował Reiment Polski. Fregata, na którą Dzierżanowski wsiadł w Gdańsku z wielką liczbą współobywateli, pochwycona była przez Anglików. Zaprowadzony do Londynu otrzymał wolność i pojechał do Flandyi, gdzie w wojsku Francuzkiem służąc, dwie kampanie odbył. Po zawartym po-

koju powrócił się do Polski, gdzie rozporządziwszy szczupłym majątkiem swoim, bo 15,000 złp. tylko wynoszącym, na rzecz sióstr swoich, sam w pielgrzymskim stroju poszedł do Rzymu. Powracając się w tymże stroju przez Francyą; gdzie nie wolno było podobnych czynić wojażów, wzięty w areszt i zamkniony jak człowiek, bez celu. Ale niektórzy współobywatele we Francyi znajdujący się, nietylko go wydobyli z więzienia, lecz wyjednali mu urząd w Indyach Wschodnich. Przybył on tam z wielkiem podziwieniem i uszanowaniem obywatelów *Cypajów* zwanych, których na sposób Europejski uczył sztuki wojennéj i manewrów im nieznanych. Wyuczywszy ich tego, kilka wygrał batalij z nieprzyjaciołmi, i rządził się w tym kraju po królewsku. Ale pokłóciwszy się z komendantem, wrócił się do Francyi dla robienia procesu komendantowi. Gdy okręt na którym on płynął, dotknął się Wysp Amerykańskich, wysiadł tam jak oficer Francuzki i porobił obywatelom różne plany i przysługi, za co obrany był królem. Ale gdy surowo i gwałtownie rządzić począł, ustąpić musiał. Wrócił się tedy do Francyi, gdzie nieznalazłszy takiéj jakiéj się spodziewał z owym komendantem sprawiedliwości, pojechał do Anglii opowiadać ministrowi Pittowi swoje pamiętniki względem Martyniki. W tem jeden sławny Portugalczyk będący podówczas w Londynie skłonił go by wszedł w służbę wojskową Potugalską, i szedł do Paragway. Lecz skoro przybył do Lizbony, dla wolnych dyskursów wzięty do inkwizyi na explikacyę. Taka surowość skłoniła go że przeszedł do Hiszpanów. Tam będącego Dzierżanowskiego Rezydent Saski mówiący przeciw Polakom tak rozgniewał, że mu Dzierżanowski policzek wyciął. Uszło to jednak płazem Dzierżanowskiemu, który otrzymawszy od Dworu Hiszpańskiego, patent pułkownikowski, powrócił się do Polski dla formowania Reimentu Polskiego. Mąż ten tyle wiadomości

posiadający i bardzo zabawny, podobał się naszemu królowi, który mu dał tytuł Szambelana. Szacowna miłość jego do Ojczyzny, mieszała się z wielkiemi zdrożnościami życia. Śmiałość rozmów, które on miewał z tym monarchą, zastanawiała wszystkich. Jednego dnia między innemi dyskursami rzekł: *iż chciałby być obrany w Ameryce królem przez dzikich ludzi.* I jakże odezwał się król: *albożeś stracił tę koronę.* Odpowiedział bez zająknienia Dzierżanowski: *Najjaśniejszy Panie, obrany byłem przez Naród wolny, który gdy postrzegł, że go chcę sobie podbić, wygnał mię z Państwa, jak wszyscy tyrani być powinni.* Wielkie łaski które odbierał od króla, nie były mu na przeszkodzie, aby niemiał porozumiewać się z poczciwemi obywatelami. Jakoż podczas ostatniego sejmu on to był, który przestrzegł biskupa Krakowskiego aby nie jechał na komedyę, na którą go król zdradziecko zapraszał, gdyż miał być na niéj wzięty z rozkazu Repnina. Król dorozumiewał się, kto tę zrobił przestrogę, przeto od tego czasu pokazywał Dzierżanowskiemu twarz zimną. Dzierżanowski ośmielił się pytać króla o przyczynę tego, a ta Dzierżanowskiego szczerość przywiązała tem bardziéj króla do niego. —

Król w jednym poufałym dyskursie pytał się Dzierżanowskiego *co też publiczność o nim myśli?* Dzierżanowski nic nieukrywając przed nim odpowiedział: *Że naród jemu przypisuje wszystkie upokorzenie, którego doznaje pod jego panowaniem, że jego ścisła przyjaźń z Repninem, ogłasza go uczestnikiem wszystkich gwałtów tego Posła; że on nim został Królem inną miał o sobie w Narodzie opinię, że przed jego wstąpieniem na Tron najwięksi nieprzyjaciele jego niemogli nieprzyznać jego talentów, jego wiadomości, i sentymentów najwyższych; gdy tymczasem teraz stronnicy nawet jego dziwią się, że te tak wysokie przymioty zaćmione, a że on wstąpił na Tron, aby stał się instrumentem, którego tyrania używa przeciw Naro-*

dowi; że tylko mała liczba Obywatelów utrzymuje to, że on dla utrzymania się na Tronie menażuje Moskalów; że on w tak krytycznych okolicznościach położony ledwie nielepiéjby zrobił porzucić rząd i ustąpić, że tak rzekę burzy, *gdy niemożna dojrzeć żadnéj ścieszki do ocalenia.* Król rozpłakawszy się, pytał się *co czynić?* Dzierżanowski odpowiedział: *chociaż Naród powstał przeciw Moskwie, daruje W. K. Mości wszystko, gdy się z nim złączysz. Ułagodzić psrswazyami tego Narodu już nie można, który chce być albo całkiem wolny, albo całkiem zginąć. Do panowania W. K. Mości z honorem, nie zostaje, tylko trzeba być Wybawicielem swego Królestwa.* Król exkuzował się: *że go Repnin jak w niewoli trzyma.* Dzierżanowski wystawiał Królowi, *że prawo Narodów takiego człowieka, jak Repnin, zasłaniać nie może, i niepowinno. Radził przeto wziąść go cicho w areszt, do którego przedsięwzięcia sam ofiarował się.* Król żądał, *aby mu Dzierżanowski na piśmie ten podał projekt.* Na tę propozycyę Dzierżanowski z natężeniem patrzył w oczy Królowi. Domyślił się Król, co znaczyło owo natężone Dzierżanowskiego przypatrywanie się. *Więc zapewnił go, przez przysięgi najświętsze,* a zatem projekt napisany i powierzony Królowi. Oczekiwano już tylko jego wykonania. Wciągniony nawet w wspólkę tej roboty Reyment Gwardyi konnéj, acz z samych Dyssydentów złożony. Umowa tedy stanęła, aby porwać Repnina, gdy się powracać będzie w nocy podług swego zwyczaju, z domu publicznéj rozpusty, gdzie miał i teraźniejszy wieczór przepędzić. W tem, kiedy Dzierżanowski przyszedł na obiad otwarty dla wszystkiéj Szlachty, z uczciwych Obywatelów jeden, wpadł nagle z wiadomością rozchodzącą się po całem mieście, *że umowa zrobiona na porwanie Repnina, jest już odkryta, i ordynans dany na aresztowanie Autora jéj.* Za usłyszeniem téj wiadomości Dzierżanowski widząc oczywiste

swoje niebezpieczeństwo, kazał sobie dać butelkę wina szampańskiego, duszkiem ją wypił, potem kawy napiwszy się wyszedł na spacer. Będąc na publicznéj promenadzie, napotkał jednego z swoich przyjaciół, który przechadzał się z Generałem rosyjskim przeznaczonym do aresztowania Dzierżanowskiego zaraz z wieczora. Dzierżanowski zbliżył się do nich mówiąc: *że ma projekt pożyteczny i nagły, dla którego uskutecznienia potrzebuje paszportu.* Był znajomym Faworytem królewskim, jego przyjaciel nazywał go tylko Szambelanem, więc łatwo otrzymał paszport od tegoż samego officera, który go miał aresztować, i zaraz z Warszawy wyjechał.

Dowiedziawszy się Repnin, że mu się wyśliznął z rąk Dzierżanowski, obiecał pięć tysięcy dukatów temu, któryby Dzierżanowskiego bądź żywego, bądź zabitego przystawił. Wyjeżdżając Dzierżanowski wziął z sobą z Warszawy siedmiu ludzi determinowanych, do których wkrótce do 30 przybyło. Przejeżdżając przez maleńkie jedno miasteczko, gdzie Szlachta sąsiedzka zebrała się na jakąś funkcyę Sądowniczą, wszedł z dobytym pałaszem, i wziąwszy w ręce z przed Sędziów Krucifix przynaglił ich do obrania Marszałka, i wykonania przysięgi formą Konfederacyi Barskiej. Dostawszy tym sposobem tytułu w Konfederacyi, i powagi w Rzeczypospolitéj, rozkazał niektórej Szlachcie na koń wsiadać i z sobą jechać. Scigany od wojska Moskiewskiego, gdy mu przyszło przechodzić przez most jeden, zlecił siedmiu owym najodważniejszym Mężom bronić mostu, pókiby się cała jego dywizya nieprzeprawiła. Bronili oni mostu z odwagą heroiczną i oraz wszyscy uratowali się. Tym czasem zaczęły z różnych stron przychodzić do Repnina listy; jedne donosiły, że Dzierżanowski złapany, drugie że zabity, trzecie że wkrótce złapany będzie, atoli to wszystko było bajką, bo Dzierżanowski przebrawszy się za mnicha przedarł się szczęśliwie do głównéj Kon-

federacyi, niewątpiąc, że od Króla był zdradzony, przeto powziął ku niemu nienawiść nieubłaganą, i chęć zemszczenia się. Zaniósł także manifest, gdzie wyraził: *że Jan Kazimierz widząc jak jego panowanie było nieszczęśliwe, wolał złożyć koronę, niż być daléj królem na nieszczęście publiczne.*

Repnin przestraszony niebezpieczeństwem, którego ledwie uszedł, wprowadził więcéj wojska do Warszawy, i powiększył u siebie straże. Uznał fałszywą owę maxymę często sobie powtarzaną od króla, *że niemogąc być kochanym, trzeba przynajmniej starać się, aby się nas bano.* Takie to było zprzyjaźnienie się tych dwóch ludzi, i takie wzajemne umowy. Prymas także w strachu zostając miał się na wielkiéj i pilnej ostrożności. Wszyscy zdrajcy Ojczyzny pouciekali z domów swoich do Warszawy, dla zabezpieczenia się. Prymas, który swojemi intrygami wiele złego w kraju narobił, a do domu Saskiego zawsze był przywiązany, pisał do Imperatorowy: *że tej burzy w Polszcze, ani interes Dyssydentów, ani gwarancya nie jest okazyą, ale że ona niedotrzymała Szlachcie polskiéj przyrzeczenia detronizować Króla. Zapewniał, że sakryfikowawszy Poniatowskiego woli narodu, można wszystko uspokoić w Polszcze.* Imperatorowa ten list posłała Królowi w originale.

Król widząc się w ustawicznych zgryzotach, i trwogach radził się przyjaciół, *czyby nie lepiéj dla niego było abdykować koronę, uczynić Manifest i samemu przenieść się do Anglii.* Imperatorowa, która mu dała królestwo, możeby mu niepozwoliła u siebie schronienia. Gdy tedy zupełnie nie miał miejsca do prowadzenia daléj spokojnego życia, zrezolwował się zostać w Warszawie na jakie bądź wypadki i spuszczając się na dyskrecyę Konfederatów.

Około tego czasu przyszła wiadomość, że wojska moskiewskie odniosły znaczną korzyść, ale ta stała się dla

nich okazyą nowych postrachów, gdy dywizya hrabiego Potockiego była przez nich zniesiona. Tak się zaś rzecz ma: Czterysta moskalów upatrzywszy czas, kiedy Potocki zatrudniał się w odległości od Podhajec miasteczka zabieraniem kompanij polskich, opanowali miasto to, gdzie był skład wszystkich jego wojennych potrzeb. Nadbiegłszy on z swojemi jak najprędzéj, chciał tych 400 Moskalów attakować, ale zdradliwi Rusini oświadczywszy się że chcą kapitulować wyszli cicho w nocy ciemnéj, i na niespodziewanych uderzywszy Polaków całkiem ich rozproszyli. Chciał ich wstrzymać Potocki, ale nie mógł, gdyż niektórzy uchodząc oświadczali się, *że ich zwiódł Potocki fałszywemi ordynansami.* Więc musiał się z małą garstką swoich za Dniestr przeprawić, spodziewając się, że Moskale goniąc go nadwerężą granic tureckich. Co się w części i stało. Pułkownik moskiewski oszukany przez gazety, gdzie Repnin kazał publikować, *że Portę nic nie obchodzą interesa Polskie, i że przykazała ona wszystkim Gubernatorom Prowincyi swoich pogranicznych, aby żadnego schronienia Polakom niedawali,* pisał do Baszy Chocimskiego, i Xięcia Mołdawii, aby kazał dezarmować wojsko Potockiego, i odesłać mu jego broń. Nim odebrał respons ten Pułkownik, posłał sekretnie do Baszy Chocimskiego, i Hospodara Mołdawii podarunki, aby mu wydali Potockiego z jego dywizyą. Basza dał się łatwo przekupić ale Hospodar spodziewając się

(tu przerwany rękopism).

WSPOMNIENIE

o

FRANCISZKU RENÉ CHATEAUBRIAND

jako

O PISARZU—MĘŻU STANU I CZŁOWIEKU.

Szczęśliwość ziemska rzadko kiedy jest udziałem cnoty. Chwała za życia nie zawsze jest towarzyszką prawdziwéj zasługi. Wśród wielkiéj gry rzeczy ludzkich często nie ten wygrywa, kto na wygraną zasługuje.— Są ludzie, są i pisarze których słynność głośna i szeroko rozpostarta w czasie, w którym żyją, przebrzmi jak dźwięk w przestrzeni podług wyrażenia jednego z Zygmuntowskich pisarzy. Są inni, którzy dopiero od potomnych wymiaru sprawiedliwości oczekiwać muszą. Często chwała opóźniona rośnie z wiekami, kiedy ta, która nagle i łatwo zdobytą została, z biegiem czasu

maleje. Do tych, którzy za żywota swego są wielbieni i wynoszeni, dają się często zastósować te ewangeliczne słowa: *„zaprawdę powiadam wam odbierają zapłatę swoją"*.

Jednym ze znakomitych mężów i pisarzy naszego stulecia, którzy w znacznéj części taką odebrali zapłatę, był bezwątpienia autor Ducha Chrystyanizmu i Męczenników. Przeszedłszy przez czas, w którym wszystko co było dawniéj władzą, powagą, świętością na proch startem zostało, i w którym tylko jeszcze chwała zbrodni na umysłach ludzkich zostawiała wrażenie, ujrzawszy epokę w któréj gieniusz wojenny wznosić się, wsławiać i panować zaczął, pan Chateaubriand po tym potopie świata duchowego, był pierwszą nową umysłową potęgą, która się wśród tylu gruzów we Francyi wzniosła, był pierwszym, który zasłynął chwałą nie na sile materyalnéj opartą. W brew idąc duchowi wieku, lecz jak gdyby potrzebę jego odgadł, będąc jeszcze nieznanym, bez majątku, będąc tułaczem, uchwyciwszy za pióro, stał się od razu znanym, wsławionym, nie tylko w ojczystym kraju, ale i w całym ucywilizowanym świecie, i zaraz rosnąca jego chwała otworzyła mu bramy ojczyzny i stawiła go w obec największego gieniuszu świata i już władcy Francyi i ułatwiła mu drogę do znaczenia i zaszczytów, z któréj sam chwalebnie lecz dobrowolnie zeszedł, i władając daléj piórem wśród nowych okoliczności stał się potęgą, na którą nowo wzniesiona władza obzierać się i pomocy jéj wzywać musiała, i zasługą pióra doszedł do najwyższych dostojeństw, do udziału w naczelnym zarządzie swego kraju, co więcéj, dostąpił powszechnego poszanowania i wziętości, które tak często sterników państwa odstępują, i ta słynność i chwała towarzyszyły mu aż do grobu, a więc powtórzyć możem, że zaprawdę odebrał zapłatę swoją.

Lecz ta chwała wielkiego pisarza i znakomitego męża byłaby go przeżyła czysta i jasna i na czas dłuższy gdyby on nie był nas sam przypuścił do wszystkich tajników swego serca i umysłu, gdyby nie był z dziwną szczerością a raczéj z zaślepieniem obnażył przed nami swéj duszy i nie zostawił po sobie swoich zwierzeń, swoich pamiętników zagrobowych, z skwapliwością nieprzychylną jego sławie wkrótce po jego zgonie drukiem ogłoszonych. Z tego pośmiertnego dzieła każde badawcze oko mogło poznać dokładnie cały organizm, całą że tak powiem anatomię jego duszy; każdy czytelnik mógł sobie o nim sąd wyrobić, nie czekając na dalszy czas i dalsze badania. Z temi pamiętnikami w ręku osądził go doskonale w parę lat po jego śmierci p. Albert de Broglie w artykule wybornym w *Revue des deux mondes* w roku 1850 umieszczonym, na nich oparł swoje zdanie pan Villemain w świeżo wydaném dziele *la Tribune moderne*, w którém mając przedstawić wizerunki mężów, którzy nowożytną trybunę wsławili, poczet ich od obrazu p. Chateaubriand rozpoczął Wspomnienie zaszczytnych i przyjaznych związków jakie pana Villemain z autorem Atali łączyły nie zdołało zachwiać jego prawości i bezstronności sędziego. Dowody, których całe życie p. Chateaubriand rozświecone jego pamiętnikami dostarczało, były zbyt przekonywające, aby nie miał wypaść sąd surowy z pod pióra nawet przychylnością wiedzionego. Za tymi dwoma postępując przewodnikami, i ja się ośmielę na zwierzenie się czytelnikom z wrażeń jakie uniosłem, z przekonania jakie powziąłem po dokładném rozpatrzeniu się w dziełach, w czynach, w całym żywocie znakomitego pisarza Francyi. Do téj pracy kilka zachęca mnie powodów. Najprzód wyjawię osobiste.

Nie tajno jest nikomu że zaraza błędnych nauk ośmnastego wieku wyszła z Francyi i w naszym kraju sze-

okie w umysłach rozniosła spustoszenie. To co tam było jako mądrość głoszone, było za mądrość i w naszéj katolickiej Polsce uważane. My synowie początku 19go wieku wychowaliśmy się wśród tego morowego powietrza, i każdy z nas jeden mniéj, drugi więcéj wpływu jego doznał. Duch ten, z boleścią wyznać należy, ożywiał przez czas długi naczelników oświaty i wychowania publicznego w naszym kraju, nim przejęci byli kierownicy, przewodnicy nasi w szkołach wyższych i niższych. Oznaki religijnego wykształcenia ograniczały się na zachowywaniu form zewnętrznych, które młodym uczniom przez resztę wstydu zalecane były. Dziwić się nie można, że duch takowy wsiąkał łatwo w młodociane umysły dogadzając i budzącym się namiętnościom i zarozumiałości właściwéj młodemu wiekowi, a która niebacznie coraz więcéj ośmielana i podniecana była Wśród uczącéj się i dorastającéj młodzieży byli przecież i tacy, którzy wykształcenia własnego i za szkołą dopełniać starali się, którzy ożywieni chęcią dojścia do prawdy, w zastanawianiu się i w czytaniu dzieł to zastanawianie się ułatwiających, oświecać się usiłowali.— Uważałem więc iż w owym czasie wśród ówczesnego usposobienia poznanie dzieł p. Chateaubriand najzbawienniejszy wpływ wywierało i praktycznéj było użyteczności zwracając umysły ku rozpoznaniu i zami owaniu Chrystianizmu. Dziwném się to dzisiaj wydawać może zważywszy jaka jest dogmatyczna wartość tych dzieł i powaga pod względem religijnym; lecz przypomnieć sobie należy, że lekarstwa zastósowane być zawsze powinny nie tylko do choroby ale i do natury chorego. Lekarz ostrożny używa w pewnych razach łagodnych i słabszych leków przyspasabiających do stanowczéj kuracyi, nim się ucieka do silniejszych i złe w zupełności wykorzenić mających. Dziś dzieła tego rodzaju i charakter jaki oznacza utwory p. Chateaubriand słabe tyl-

ko wywołałyby wrażenie religijne a żadnéj nie przyniosłyby duchowéj korzyści. W owym czasie, dziwnie stósowne były do sił i stanu ogólnego dotkniętych chorobą; wielu więc młodzieńców, a czemużbym nie miał wyznać że byłem w ich liczbie, dzieła p. Chateaubriand Duch Chrystianizmu, Męczennicy, Pielgrzymka do Jerozolimy była pierwsze, ktore dopomogły do zwrotu myśli ku wierze Chrystusowéj wykazując jéj piękność i wzniosłość ujmując jéj poetycznością. Obrazy, nauki, tajemnice, na które z obojętnością a niekiedy z szyderstwem niedojrzała o skrzywionych wyobrażeniach młodzież spoglądała, zaczęły ją zajmować i obudzać pewne poszanowanie. Skierowane na tę drogę umysły daléj zagłębiały się w badaniach i powoli wyrabiały w sobie przekonania, które późniéj do potęgi wiary wzniosły się. Zawsze jednak niejeden z nas początkową zmianę wyobrażeń zawdzięczał pisarzowi francuzkiemu i niósł mu to uczucie, jakiego się doznaje dla przyjaciela, który dobrą wsparł radą, lub jeszcze więcéj dla lekarza, który pierwszy w dokuczliwéj chorobie skuteczną przyniósł ulgę. Z tego powodu zajęcie się żywotem pana Chateaubriand nie może dla mnie być osobiście bez pewnego powabu. Drugim do niego powodem jest wspomnienie moje znajomości z nim zabranéj i chwili wśród któréj w roku 1830 miałem sposobność skłonienia przed nim mojéj głowy. Wspomnieniem tych odwiedzin pozwolą się czytelnicy podzielić z sobą.

W roku 1829 gdy ministerium księcia Polignaca zostało utworzone, które mieszcząc w sobie i pana Labourdonnaye i p. Bourmont wyobrażało jak się silnie dziennik sporów wyraził „i Koblentz i Waterloo i całą ochydę i wszystkie nieszczęścia Francyi“ p. Chateaubriand zażądał uwolnienia od swego poselstwa w Rzymie i usunąwszy się od władzy, osiadł w własnym domu przy rogatce *d'Enfer* położonym. Tam ograniczył się na to-

warzystwie małéj liczby poufałych przyjaciół, przebywał najczęściéj w salonie najwierniejszéj swojéj przyjaciołki pani Récamier, odwiedzał niekiedy panią Montcalm siostrę księcia Richelieu, lecz mało się udzielał i przystęp do niego łatwy nie był. Oddaliwszy się od rządu ówczesnego, i przewidując nieszczęścia jakie zarozumiałość i nieudolność nowego ministerium ściągnie na dynastyą i na Francyę, napominał, przestrzegał. przepowiadał w artykułach bezimiennych, które dziennikowi sporów! udzielał, a które z wielkiem zajęciem czytywane były, gdyż ich pisarza łatwo czytelnicy odgadywali.

W tym czasie przybywszy do Paryża przejęty młodzieńczą czcią dla każdéj chwały, ze wszystkich znakomitych ludzi ówczesnych najgoręcéj pragnąłem ujrzeć p. Chateaubriand. Wiodło mnie ku niemu i uwielbienie dla jego poetycznego ducha i może pewne uczucie wdzięczności. Za wstawieniem się jednego z poufałych przyjaciół śpiewaka Atali, z którym ściślejszą zabrałem znajomość, otrzymałem w miesiącu Marcu r. 1830 dozwolenie odwiedzenia go w jego skromnem mieszkaniu przy rogatce d'Enfer. Przybywszy tam w dniu i godzinie naznaczonéj, przypuszczony do niego, zastałem go w dość obszernym pokoju, który mu za pracownią służył siedzącego w krześle. Głowę miał związaną chustką fularową, bawił się z wiewiórką, która się zdawała ułaskawioną i dyktował sekretarzowi swemu, który za mojem przybyciem powstawszy od stołu na którym pisał, oddalił się, a tak sam pozostałem z śpiewakiem Męczenników. Przyjęty uprzejmie zacząłem od złożenia mu dzięków, że mi dozwolił nabyć najszacowniejszego wspomnienia w mojéj podróży, wspomnienia widoku największego poety tegowiecznéj Francyi. Tytuł ten największego poety może mu był milszym od wszystkich innych i skłonił go do rozmowy, którą zdawał się chę-

tnie prowadzić. Wiedział on że dopiero co wróciłem z Anglii gdziem się był udał, aby być przytomnym otwarciu parlamentu, gdy więc mu rzekłem, że znajdując się na sesyi królewskiéj otwierającéj izby francuskie, uważałem różnicę charakteru obydwóch reprezentacyj: „Tak jest“ odezwał się do mnie pan Chateaubriand. „Musiałeś być pan uderzony różnicą zachodzącą między niewymuszoną prostotą a etykietalną wystawą. U „nas Francuzów trzeba zawsze bawić oczy, przemawiać „do wyobraźni, Anglicy zdają się lękać i podzierać to, „co za bardzo wyraziste i w oczy bijące. Oni poszukują „rzeczywistości, my często na świetnych pozorach po„przestajem.“ I daléj to porównanie rozwijając, zdawał się w życiu politycznem i w zdolnościach do niego wyższość Anglikom przyznawać. Zwróciwszy następnie rozmowę na mój kraj rodzinny rzekł, iż miał dawniéj zamiar zwiedzenia Polski, a nawet posunięcia się w swéj wędrówce i daléj na północ aż do Szwecyi, do Norwegii, do Laponii „aby poznać całą naturę dodał, trzeba „znać nietylko wschód i południe, ale i północ; wie„dzieć nie możem jakięgośmy zdolni natchnienia, jeże„liśmy się z całą niezaznajomili naturą. Byłbym więc „chętnie zwiedził smutne lasy północy i smutniejsze jéj „śniegi i lody; i kończąc tę rozmowę dorzucił: *Enfin „après avoir vu le soleil du tropique, j' aurais voulu voir „l' étoile polaire.*“

Te ostatnie wyrazy przypomniały mi styl właściwy panu Chateaubriand świetny, obrazowy ale często od pięknéj prostoty zbyt odległy. Po półgodzinnéj rozmowie nie chcąc być długo natrętnym, pożegnałem znakomitego pisarza unosząc miłe wspomnienie i jego uprzejmego przyjęcia i jego świetnej rozmowy i jego odznaczającéj się postaci. Wzrost jego był mniéj jak średni, lecz rysy szlachetne, głowa do góry wzniesiona, wiele ożywienia w twarzy a z oczów iskry elektryczne

niekiedy pryskające. W całem jego obejściu się znać było człowieka równie urodzenia jak umysłu wyższego szlachetnego.

Lecz dla tych dwóch osobistych powodów, z których się zwierzyłem nie byłbym czytelników trudnił rozbiorem życia, dzieł i czynów sławnego pisarza. Wziąwszy bowiem do ręki nowe dzieło pana Villemain z większą by się mogli przyjemnością z tym właśnie oswoić przedmiotem. Lecz mniemając, że w tym żywocie wyczerpać można nauki i przestrogi wielce dla dzisiejszych ludzi właściwe, a któremi i w naszym kraju pogardzić nie należy, te drobną przedsięwziąłem pracę. Pan Broglie w wybornym wyż wspomnianym artykule sprawiedliwie uważa, że nikt lepiéj od p. Chateaubriand nie zdołał wyrazić ducha całego pokolenia, aby potem wpłynąć na nie. Wszystkie dzieła jego noszą cechę wieku- lecz ten wiek oznaczony jest dotknięciém jego ręki. Był on człowiekiem swojego czasu, lecz i ten czas doznał wpływu jego działania.

Wśród przejścia z jednéj epoki do drugiéj, wśród przeobrażenia się społeczeństwa, zawsze prawie umysły dotknięte są chorobą, która u jednych objawia się jakby przesyt i niesmak życia, w drugich jakby jakaś tęsknota i żądza czegoś nadzwyczajnego i nieskreślonego, we wszystkich zaś jest owem *taedium vitae* tak upowszechnionem i znaném Rzymie w chwili chylenia się jego do upadku. Pan Chateaubriand urodzony, wychowany i do lat młodzieńczych doszły wśród wielkiego przeobrażenia towarzyskiego i wśród kraju, który pierwszy tego przeobrażenia miał dokonać, szczerą i silniéjszą od innych piersią wciągnął w siebie powietrze swego wieku. Ztąd od pierwszych lat młodości spostrzegamy w nim tę jakąś chorobliwą niespokojność umysłu, niezgodę z tem co go otacza, i z samym sobą, i obudzone pożądanie tego co jest niepodobném do osią-

gnięcia. Z pierwszych rozdziałów jego pamiętników domyśleć się możem, iż nie znalazłszy szczęścia w kole domowem przy ojcu surowym i twardym, przy matce miernego umysłu, pierwszego ocknienia się serca doznał domyśliwszy się zbytecznego przywiązania siostry swojéj Lucilly. Zdaje się więc że uczucia chorobliwe, jakie w swéj powieści o René i Amelii z takim urokiem odmalował, były tylko przypomnieniem jego pierwszych lat młodzieńczych. Lecz obraz tych uczuć był niejako symbolem, uosobistnieniem całéj jego duszy. Nie tylko miłość zakazana była jéj chorobą, każda jéj żądza w téj się niejako saméj przedstawiała postaci. Takiemi żądzami zakazanemi, niepodobnemi do zaspokojenia zupełnego, a w różnym rodzaju miotany był wiek ówczesny, takich i nasz pisarz doznawał, takie w niewyraźnych, w wątpliwych lecz szerzących zarazę obrazach malował.

Nie przyniósł więc ówczesnym umysłom ulgi i zdrowia, lecz je ujmował, czarował, bo złożony niemocą lubi słuchać opowiadania tych, którzy jak on chorzy, i o tych samych cierpieniach, których on doznaje. Spróbowawszy zawodu wojskowego, życia towarzyskiego w Paryżu, i odetchnąwszy powietrzem dworskiem, a nie znalazłszy zaspokojenia ducha, szukał on nowych wrażeń i ulgi w swojéj smętnéj tęsknocie pod niebem drugiéj połowy kuli ziemskiéj, wśród silnéj i dziewiczéj natury. Wrócił z swéj podróży, jak się sam wyraził otoczony całym światem poezyi, lecz z tym samym zawsze niepokojem i niesmakiem. Bo natura z całą swoją wspaniałością, czy też z wdzięcznym urokiem, tylko dla młodzieńczéj, dla obdarzonej czystością i prostotą duszy, szczęściu dodaje wdzięku, w nieszczęściu ulgę przynosi. Wkrótce potem najboleśniejsze wypadki, straszliwe zbrodnie zakrwawiły Francyę i oburzeniem przejęły młodego podróżnika. Oburzenie to popchnęło go

w szeregi emigracyi, połączył się jednak z niemi bez żadnego silnego popędu uczucia, bez silnéj wiary, z uśmiechem pogardliwym, którego w swych pamiętnikach bynajmniéj nie ukrywa, lecz niejako szczycić nim się zdaje. Nie odznaczywszy się wcale wśród wojskowego zawodu, schronił się do Anglii, gdzie pierwsze swoje literackie prace rozpoczął i wydał. Pierwszym jednak utworem który otworzył mu drogę do sławy i imie jego głośnem uczynił był *Duch chrystyanizmu.* Nie wątpię że p. Chateaubriand był z przekonania chrześcianinem, że uważał za obowiązek głoszenie tego przekonania w obec niewiary wieku, mniemam także że widok ustalającego się porządku i ładu towarzyskiego, pod naciskiem potężnéj ręki wielkiego bohatera Francyi, natchnął go myślą dopomożenia mu w tem wspaniałem dziele, i zaciągnienia się w poczet robotników pracujących nad wzniesieniem z gruzów gmachu społecznego, lecz zważając całe usposobienie jego umysłu, charakter mu właściwy, skłonność jego do łamania się z przemocą, sądzę że znajdował on upodobanie w okazaniu, że nie tak myśli i czuje, jak myślała i czuła powszechność, że miło mu było występować jednemu przeciw wielu, i że nie sama miłość prawdy, ale i miłość własna pisarza była mu zachętą do przedsięwzięcia i do wydania swego dzieła. Niespodziewanie może znalazł on umysły szczęśliwie usposobione do przyjęcia słów jego. Suchość i zastygnięcie ich zbyt długo trwały, potrzebowały one rosy ożywczéj i ciepłego promienia. Dzieło jego użyczyło ich, i autor zamiast walki znalazł łatwy tryumf. Powodzenie Ducha chrystyanizmu pod względem literackim i moralnym było nagłe i nadzwyczajne, tak we Francyi jak i w obcych krajach. I dziś go odczytując i rozbierając, nie można nie uznać jego wysokiéj wartości pod względem wdzięku i świetności stylu, uroku

obrazów, czucia często prawdziwego a nawet wzniosłego; pod względem literackim otwierał autor nowy widnokrąg; klassycyzmem przejęci a zmateryalizowani ówcześni francuzcy pisarze, twierdzili, że wiara chrześciańska nie jest zdolną użyczać natchnień poecie, pan Chateaubriand okazał całą jéj poetyczność, całą jéj poetyczną wyższość nad politeizmem; tym wykładem ujął on, zniewolił, zachęcił umysły i utworzył dzieło wielkiego wpływu moralnego i religijnego. Największą jego zasługą, a razem szczęściem było, że się ukazało o właściwéj godzinie. Lecz to tak świetne dzieło nie przemawiało potężnym głosem prawdy i silnego przekonania. Mistrz nie nauczał jak moc mający; ten utwór był pierwszym powiewem wiosennego powietrza, pierwszym cieplejszym promieniem, za którego błyśnięciem topniały lody i śniegi po ostréj zimie, lecz nie był jeszcze ani dobroczynnym deszczem, ani owem słońcem jasnem i ciepłem wzrost nadającem roślinom i płodność roli.— Z drugiéj strony przedstawienie chrystianizmu z tego stanowiska jakie obrał pan Chateaubriand zbawienne w owéj chwili, mieściło w sobie na przyszłość niejakie niebezpieczeństwo. Do przyjęcia prawdy, nie trzeba dla tego zachęcać że jest piękną, lecz że jest nieomylną. Doskonale myśl tę wyraził p. Broglie w tych słowach: „Jest to niezawodnem, że przedsięwzięcie p. Chateaubriand „przywrócenia czci Chrystianizmu więcéj jeszcze dla te„go że jest pięknym, jak że jest prawdziwym, więcéj „pod względem sztuki jak dogmatu, dało początek te„mu poufałemu i bluźnierczemu obchodzeniu się z nim, „które dziś nas uderza. Pierwszy pisarz, który wyrzekł, „że Bóg był wielkim poetą, upoważnił innych do my„ślenia, jeżeli sam już nie myślał, że jako współtowa„rzysze w poezyi, wszyscy poeci są przynajmniéj pół-

„bogami“ [1]). Jedna z bardzo znakomitych współrodaczek naszych [2]) w kwiecie wieku na obcéj ziemi zgasła, w jedném z swych pism myśl tę jeszcze przed p. Broglie wyraziła mówiąc: „Dziś już wielu ludzi nie czci Boga „jako stwórcę, lecz ocenia go jeszcze jako wielkiego „artystę.“

To złe dzisiejsze tak istotne, przypisane być musi choć w części początkowemu wpływowi p. Chateaubriand. Używanie wszystkich świętości chrześciańskich przez dzisiejszych poetów, i naszych także niestety! jako ozdób, jako dekoracyj w poezyi, jest wielce niebezpiecznem, jest gorszącem, jest świętokradzkiem. Czerpaj swoje natchnienia w naszéj świętéj wierze, nic lepszego, lecz czerpiąc je wierz. Wierz, a wtenczas tylko prawdziwe znajdziesz natchnienie. Wypuść wolnym lotom twoją wyobraźnię, lecz nie dozwalaj jéj przekraczać granic określonych nieomylnemi dogmatami, i stanowczemi przepisami wiary. Jak to! pole które wystarczało wszystkim wielkim poetom i pisarzom chrześciańskim, które było dość obszerne dla Danta, dla Kalderona, dla Miltona [3]) jest za szczupłe dla ciebie? Jeżeli twoja wyobraźnia jest tak niesforna, tak popędliwa w locie, lepiéj ją spętaj, wstrzymaj, bo cię w przepaść uniesie. Rada ta nie jednemu z naszych przydałaby się poetów, bo że przytoczę jeszcze uwagę p. Broglie: „Znieważenie rzeczy świętych“ mówi on „jest plagą „literatury i towarzystwa dzisiejszego. Ten występek bę„dzie potępiony na sądzie ostatecznym w imie drugie„go przykazania Boskiego.“

1) W trenach na zgon Mickiewicza czytamy ten wiersz o poetach wprawdzie najwyższych najświętszych:

Niebo w nich widzi Półbogów.

2) Kalixta z hr. Rzewuskich księżna Teano.

3) Milton nie należał do kościoła katolickiego, nie mniemam jednak aby w swojem genialnem dziele dopuścił się jakiegokolwiek bądź uchybienia przeciw zasadom chrystyanizmu.

„Nie będziesz brał imienia pana Boga twego nada-„remnie. Pokolenie przeszłe szydziło z Chrystyanizmu „dzisiejsze bawi się nim. Świętokradztwo zastąpiło nie-„wiarę.“

Zwracając myśl na Duch chrystyanizmu p. Chateaubriand, z boleścią wyznać należy, że ufność nasza w siłę przekonania i uczucie jego które mu natchnęły to dzieło osłabia się czytając jeden rozdział jego pamiętników w roku 1840 skreślony, twierdzi on w nim: „Że dziś „innyby zupełnie duch chrystyanizmu przedstawił, oka-„załby że chrystianizm jest myślą przyszłości i wolno-„ści ludzkiéj, że ta myśl odkupienia i messianizmu jest „jedynie pewną zasadą równości towarzyskiéj, że na-„koniec słowo wcieliło się w człowieka boleści, w celu „wyzwolenia wszystkich i ustanowienia braterstwa po-„wszechnego i zbawienia ogólnego.“

„Bogu niech będą dzięki“ woła p. Villemain „że ten „nowy duch chrystyanizmu pozostał tylko w myśli au-„tora“ i sprawiedliwie uważa że tak przedstawiony byłby tylko teorią ziemskiego szczęścia pożyczoną od księdza Lamennais z najgorszéj jego epoki. Nauka Chrystusowa zalecająca, uświęcająca i razem pocieszająca cierpienie, jest nauką mającą na celu udoskonalenie ludzkie, nie zaś uszczęśliwienie ziemskie. Jednakże będąc boską, skoro zostaje przyjętą i rozpowszechnioną swoim wpływem i z téj ziemi złe wykorzenia. Chrystus wyrzekł: „Starajcie się o dobra wiekuiste a wszystkie inne będą wam dodane.“ Te więc wszystkie inne będą wypływem, dodatkowym darem chrystyanizmu, lecz nie mogą być głównem jego dobrodziejstwem. Dobrze tę prawdę wyraził p. Guizot w swojem piśmie o Sir Robercie Peelu. „Jest to tryumfem chrystyanizmu, mówi „on, że skruchę, że pewną trwożliwość sumienia wraża „w duszę całych narodów, i że tym sposobem uczynił „podobnem wykorzenienie każdego złego w społeczeń-

„stwie, na które starożytność nie zwracała uwagi i do-
„konanie każdych ulepszeń, których ani pojąć ani się
„spodziewać nie mogliby najcnotliwsi ludzie.“

Po ukazaniu się pierwszéj części Ducha chrystyanizmu pan Chateaubriand wrócił do Paryża, wkrótce wydał Atalę, i dopełnienie pierwszego dzieła. Utwory te tak przypadły do ówczesnego usposobienia umysłów, tak powszechne, silne wywołały wrażenie, że sława autora zaledwie zrodzona doszła od razu do wzrostu dojrzałości właściwego. Sam pierwszy konsul widząc dzieło swoje poparte poezyą zwrócił na nie uwagę, a pan Jontanes przyjaciel p. Chateaubriand zachęcił go do zbliżenia się do panującéj władzy, która z gruzów dźwigała towarzystwo. Na festynie u Lucyana danego z powodu ogłoszenia konkordatu, pierwszy konsul spotkał po raz pierwszy p. Chateaubriand, spotkał go w tłumie *i poznał mnie* mówi autor *Atali nie wiem poczem.* Gdy dworacy, bo miał już dworaków, nasuwali mu się, a ten którego szukał usuwał się i ukrywał zawołał Bonaparte donośnym głosem: „Pan Chateaubriand“ i gdy ten stanął przed nim, tak jakgdyby pierwszy konsul już go znał, jakgdyby rozpoczętą z nim kończył rozmowę, rzekł do niego: „Gdy wśród pustyni w Egipcie widziałem Szeików padających na kolana czoła w piasku
„nurzających i obróconych ku wschodowi, uderzony tym
„widokiem pytałem co to jest za istota nieznana, któréj
„szukają na wschodzie aby jéj cześć oddawać. Chry-
„styanizm! ideologowie chcieli z niego zrobić systemat
„astronomiczny“ i t. d.

Ten jedyny raz w życiu pan Chateaubriand rozmawiał z Napoleonem, porównał też tę chwilę do widzenia Joba. „Duch przedemną przeszedł, i włosy mego ciała powstały.“ Ta chwila może była stanowczą w jego życiu, nie dla jego zawodu i losów dalszych, lecz dla jego duszy. Widząc chwałę, władzę, wielkość do

któréj geniusz doprowadza, a powodzeniem pism swoich czując w sobie wzrastającą ufność w potęgę swego ducha, może wtenczas powiedział sobie, co później nieraz pomyślał. „Wiek ten dwa gieniusze zrodził: Napoleona i Chateaubrianda.“ Na chwilę jeden do drugiego zbliżył się, w myśli że jeden obok drugiego, dłoń w dłoni ku jednemu celowi odbudowania społeczeństwa będzie mógł postępować. Gdy rozdział nastąpił, poeta i pisarz starał się zająć linię równoodległą od linii bohatera i władzcy, aby się już nigdy z nim nie spotkać, i aby tem być w państwie ducha, czem on był w świecie siły materyalnéj. Po tem spotkaniu u Lucyana, pierwszy konsul przeznaczył młodego autora na sekretarza poselstwa w Rzymie, które powierzył swojemu wujowi kardynałowi Fesch. „Osądził Bonaparte“ mówi nasz autor w swych pamiętnikach; „za jednym rzutem „oka, w czem mógłbym mu być użytecznym, nie dbał „o to żem dotąd był obcy sprawom publicznym, żem „nie znał ani joty z dyplomacyi praktycznéj, lecz wie„rzył że można znaleść umysły zdolne umieć wszystko „od razu, i które niepotrzebują terminowania. Wielki „to był wynalazca ludzi!“ *Ten skromny* wykrzyknik wykrywa nam początki téj choroby duchowéj, któréj jeszcze w téj chwili po imieniu nie nazwę, a która później tak się silnie rozwinęła i duszę jego opanowała. W tej części pamiętników swoich pisanych r. 1838 stara się p. Chateaubriand usprawiedliwić z wejścia w owym czasie do służby publicznéj pod rządem Napoleona. Najprawdziwszym jednak powodem zdawał się być ten wzgląd, którego także nie zataił, że przy kardynale człowieku słabych zdolności, wkrótce będzie panem wszechwładnym spraw poselstwa. Tymczasem panem ich niezostał. W Rzymie doznała jego miłość własna nie raz zupełnego zaspokojenia, lecz doświadczyła i bolesnych zawodów. Porzucił więc miejsce swoje. Miano-

wany r. 1804 ministrem francuzkim przy małéj rzeczypospolitéj Walezyjskiéj przybył do Paryża; 18 marca znajdował się na pokojach w Tuileries, i po raz drugi stanął przed władzcą Francyi. Ten jak twierdzi p. Chateaubriand, miał dnia tego twarz posępną i straszną, cerę bladą i zwiędłą, wejrzenie przerażające, zbliżył się parę razy do niego i zawsze jakby odepchnięty oddalił się, i słowa nie przemówił. Wróciwszy do swego mieszkania, powierzył pan Chateaubriand przyjaciołom swoim uwagę o zmianie jakiéj w pierwszym konsulu dostrzegł. Na trzeci dzień 20 marca przechodząc przez ulicę słyszy on głoszony i wykrzykiwany wyrok śmierci na księcia d'Enghien, wraca do domu i pisze bez chwili namysłu żądanie uwolnienia od służby. Był to czyn szlachetny i godny, czyn który w pierwszéj chwili przeraził wszystkich przyjaciół jego już nawykłych do wszechwładztwa przyszłego cesarza. Czyn, który jednak z ust Napoleona gdy mu go p. Talleyrand zwiastował, te tylko słowa wywołał: *C'est bon.* Spełniwszy go nie trzeba było w trzydzieści kilka lat późniéj wynosić go aż do wysokości heroizmu i prawie męczeństwa, a to w tych słowach: „Odwagą z jaką opuściłem Bonapar-„tego stanąłem z nim na równi, tak on był przeciw „mnie rozjątrzony całą swoją ohydą, jak ja przeciw „niemu całą moją prawością, aż do swego upadku trzy-„mał zawsze miecz zawieszony nad mą głową....“ I daléj dodaje: „dwie nasze natury zawsze się sprzecz-„nemi sobie okazywały. On byłby mnie chętnie rozstrze-„lał, zabijając go nie byłbym doznał wielkiego żalu.“

Ten cały ustęp czyż nieusprawiedliwia naszego powyższego twierdzenia, że poeta pisarz sądził mieć prawo stawienia się na linii przeciwległéj władzcy Francyi. Nie zdaje się jednak aby ten na niego baczną zwracał uwagę, lub był tak rozjątrzonym jak p. Chateaubriand mniema. Rozjątrzenie to nie objawiło się

w tych obojętnych słowach: *c' est bon* ani w dalszem względem niego Napoleona postępowaniu. Usunąwszy się od władzy panującéj przedsięwziął nasz pisarz podróż na wschód, zkąd znowu skarby wspomnień i wrażeń, znowu cały świat poezyi uniósł. Wróciwszy r. 1807 do Paryża objął po p. Fontanes zarząd czasopismu *le Mercure*. W nim zdając sprawę z podróży p. Laborde do Hiszpanii, umieścił sławny artykuł, w którym oddychał duch niepodległości, od którego potężny cesarz już był Francyę odzwyczaił, w nim on powiedział: „Gdy „wśród milczącego spodlenia nic więcéj nie słychać jak „brzęk kajdan i głos donosicieli, gdy wszyscy drżą „przed tyranem, i gdy jest równie niebezpiecznie pozy„skać jego łaski jak na niełaskę zasłużyć, powstaje hi„storyk, który zdaje się być przeznaczonym na pom„szczenie ludzkości. Napróżno Neron w pomyślności „żyje, Tacyt już się w państwie narodził, rośnie on nie„znany obok popiołów Germanika, i już sprawiedliwa „Opatrzność w ręce nieznanego chłopięcia oddała chwa„łę pana świata“ i niżéj znowu dodawał:

„Nie wątpiemy, że za czasów Sertoriusza niedołężne „dusze, które podłość biorą za rozsądek znajdowały że „było śmiesznością, aby jakiś nieznany obywatel śmiał „sam walczyć przeciw całéj potędze Sylli“. Kto w myśli autora był tym Tacytem, tym nieznanym obywatelem, tym śmiałym przeciwnikiem władzy, łatwo odgadnąć. Odgadł go i Napoleon i nie dla tego ażeby się lękał owego Tacyta, i Sertoriusza lecz że nie chciał niejako upoważniać przykładu tak śmiałéj niepodległości, i drażnienia jego władzy, rozkazał zabronić dalszego wydawania czasopismu. Pozbawiony tego wydawnictwa P. Chateaubriand zajął się ogłoszeniem dwóch swoich dzieł celnych: Męczenników i podróży do Jeruzalem. Ocenianie pierwszego z nich nie było jednozgodne, wartość jego nie prędko uznaną została, wzię-

tość nie łatwo się ustaliła, kiedy przeciwnie pielgrzymka Jerozolimska obudziła powszechne współczucie, i w istocie jest jedną z najświetniejszych i najwdzięczniejszych prac autora. — Że Napoleon nie był nieubłaganą nienawiścią przejęty dla p. Chateaubriand dowodzi objawione życzenie jego akademii, aby *Duch Christianizmu* policzony został do dzieł ubiegających się o nagrodę *prix décennal.* Cesarz czuł że pisarz tak znakomity dodawał świetności jego epoce, chętnie więc byłby przygarnął jego talent, połączył jego chwałę z chwałą swego panowania, przyjął jego osobę, lecz bez jego charakteru. Chciał on go widzieć na stanowisku, które dla niego właściwem uznawał, poety i pisarza, a to stanowisko nie wystarczało poecie i pisarzowi. Roku 1811 umiera Józef Chenier; autor Ducha Chrystianizmu obrany zostaje członkiem akademii na jego miejsce. Podług zwyczaju przyjętego ma na publicznem posiedzeniu wystąpić z mową oceniającą poprzednika swego. Mówca niepomny na zdanie Tacyta który twierdzi „że i pod złym księciem można być „dobrym obywatelem, skoro roztropność i zręczność „przewodniczy“, przy napisaniu mowy może z umysłu nie wezwał w pomoc ani roztropności ani zręczności. Nie mogąc bowiem lwa pokonać lubił go drażnić. — Zbyt więc śmiałe umieścił zdania i nauki, aby je wysłuchać chciała do najwyższéj wysokości wzniesiona w tym czasie potęga Napoleona. Rękopism jego sam cesarz przejrzał, poprzekryślał, pomazał ołówkiem. Zwró„cony on został w tym stanie autorowi „Wszędzie pazur „lwi wpoił się“, tak się wyraża p. Chateaubriand, „i do„znałem pewnego rozkosznego rozdrażnienia mniemając „że się utkwił w mem łonie“. Nowy Akademik nie skłonił się do przerobienia swéj mowy, i przyjęcie jego odroczonem zostało.

Nadszedł rok 1812 a z nim ogromne wypadki, olbrzymie przedsięwzięcie, wielkie zwycięztwa, większe klęski, i nakoniec upadek wszechwładcy Europy. Tu się kończy zawód poetycki i literaki p. Chateaubriand zaczyna się polityczny. Pierwszym jego czynem politycznym było przygotowanie podczas walki trwającéj, wydanie zaś po zwycięztwie odniesionem nad olbrzymem z całą Europą walczącym sławnego pisma *Bonaparte i Burbony*. O piśmie tem silnem, wymownem, nabrzmiałem nienawiścią, uważanem ze stanowiska narodowego dzielą się zdania. P. Villemain usprawiedliwia je, p. Broglie zdaje się je potępiać, i uważa że gdy p. Chateaubriand twierdzi, że pierwsze jego zarysy kreślił w swojéj ustroni wiejskiéj, przy huku armat raz zbliżającym się, to znowu oddalającym się, pisarz używa przenośni poetycznéj, gdyż w tym czasie huku dział w bliskości Paryża jeszcze słyszeć nie można było. — Jakikolwiek sąd wypadłby o tem piśmie, przyznać należy iż wywarło wpływ potężny i ułatwiło drogę Burbonom, sprawiedliwie też rzekł Ludwik XVIII że broszura p. Chateaubriand warta tyle była co cała armia. Wywdzięczając mu się za tę armią, po ustaleniu swojej władzy królewskiéj Ludwik XVIII mianował go tylko i to niechętnie posłem do Szwecyi. Mówiąc o tem poselstwie woła nasz pisarz „Bernadot mniemał, że jadę „strącić go z tronu. Przebóg książęta ziemscy, nikogo „z tronu nie strącam, zachowajcie wasze korony jeżeli „możecie, a szczególniéj nie częstujcie mnie niemi, bo „o nic nie stoję *car je n'en veux pas*“. W tych kilku wyrazach jakie się przebija zaślepienie miłości własnej, jaka gorycz z niedostatecznego jéj zaspokojenia pochodząca. Pan Chateaubriand mniemał że się niezbędnie stał potrzebnym Burbonom, przekonywał że się bez niego chcą obejść. Ztąd pierwsza uraza, nigdy nie zapomniana a często odzywająca się. Lecz w tem Napo-

leon wraca z wyspy Elby, król szuka schronienia w Belgii. Pan Chateaubriand opuszcza Francyę, powołany przez króla przybywa do Gandawy, i tymczasowym spraw wewnętrznych ministrem zostaje. Pan Guizot, który się także znajdował w tym czasie w Gandawie, w 1szym tomie pamiętników w tej chwili właśnie z druku wyszłym, opowiadając jakie tam było dziwne położenie p. Chateaubriand, po mistrzowsku go ocenia. Przytoczymy jego wyrazy, które najlepiéj nam posłużą do poznania charakteru jego: „Podług mnie i wtenczas i później ani król, ani żaden z jego doradzców nie zrozumiał dobrze natury p. Chateaubriand, nie potrafił ocenić wartości tak jego współdziałania, jak też jego nieprzyjaźni. Był on przyznaję niewygodnym sprzymierzeńcem, bo sądził mieć prawo do wszystkiego i wszystkiem się obrażał. Choć był na wysokości najznakomitszych gieniuszów i najrzadszych umysłów, dał się temu złudzeniu opanować, iż mniemał, że stoi na równi z najpierwszemi mistrzami w sztuce rządzenia ludźmi, serce zaś jego napełniało się goryczą skoro go tylko nie uważano za godnego współzawodnika równie Napoleona jak Miltona. Ludzie poważni nie ulegali téj czci bałwochwalczéj, lecz zapominali jaką był potęgą czy jak przyjaciel, czy jak wróg ten, któremu téj czci odmawiali. W hołdzie oddawanym jego geniuszowi i w zadość uczynieniu jego próżności, można było znaleść sposób uspokojenia marzeń jego dumy. I jeżeli nie można było zupełnie jéj zadowolnić, trzeba było równie przez roztropność, jak przez wdzięczność nie tylko go oszczędzać, ale jeszcze obsypywać łaskami. Był on z liczby tych ludzi, względem których dozwolić sobie niewdzięczności nie można bez niesprawiedliwości i niebezpieczeństwa, bo ją czują głęboko, i umieją się zemścić bez dopuszczenia się zdrady“.

Po przytoczeniu tych wyrazów nie będziem się wdawać w szczegółowy rozbiór postępowania p. Chateaubriand podczas restauracyi, nie chcemy bowiem życiorysu jego kreślić, lecz tylko niejaką z niego wyciągnąć naukę. Dość nam sobie przypomnieć, że p. Chateaubriand stronnik tak dynastyi Burbonów, jak swobód konstytucyjnych, raz walczył w obronie pierwszéj, to znowu głos za drugiemi przeciw doradzcom Burbonów podnosił. Był to szermierz nigdy nie syty ni walki, ni sławy, i pod tym względem był on podobny do Napoleona, z tą różnicą, że ten zawsze zwyciężał, on zaś był często zwyciężony. Ufny w swoje siły czuł zawsze potrzebę łamania się z przemocą, i zawsze najtrudniejszego poszukiwał zwycięztwa. Walka więc jego, była często szlachetna, zawsze poetyczna, rzadko kiedy użyteczna. W jednem z swoich ostatnich ulotnych pism już za Ludwika Filipa wydanych, p. Chateaubriand trafnie o swym kraju powiedział: „We Francyi nie dbają „o wolność, lecz żądają równości i chwały, Francya „jest żołnierzem“. Ten który to zdanie wyrzekł dbał o wolność, lecz może jeszcze więcéj o chwałę, i on był żołnierzem jak Francya.

Tak ciągle wojując to wchodził do rządu, to oddalony z niego stawał się niebezpiecznym jego przeciwnikiem, i w izbie wyższéj jako par, to w dziennikach jak najznakomitszy, i najwymowniejszy publicysta.

Przy końcu roku 1820 po zabójstwie księcia Berry, przyczynił się do umieszczenia p. Villèle w ministerium, sam zawiedziony w swoich nadziejach władzy, skłonił się do przyjęcia poselstwa do Berlina. — Po usunięciu się księcia Richelieu i objęciu ministerstwa finansów przez p. Villèle, otrzymał poselstwo londyńskie, wysłany na kongres weroński już, już coraz bliższy był władzy, aż nakoniec przy końcu r. 1822 powołany do steru spraw zagranicznych, ujrzał część swoich życzeń

urzeczywistnioną. Sprawami swemi z tego czasu, a szczególniéj tem, czegoby był dopełnił, gdyby był dłużéj przy władzy pozostał, szczycił się niezmiernie pan Chateaubriand. Ocenienie ich zostawiam pisarzom francuzkim, dodam tylko uwagę, że najznakomitszy czyn jego, wojna hiszpańska w którym tyle chluby czerpał, ani szczęście Hiszpanii nie zapewniła, przywracając samowładztwo Ferdynanda, ani nie umocniła dynastyi Burbońskiej we Francyi, jak w ośm lat potem wypadki okazały. Mimo pomyślnego obrotu jaki wzięła wojna na półwyspie, p. Chateaubriand sprawca jéj, tak się stał w rządzie członkiem niedogodnym, wymagającym, a razem poetyzującym, iż w r. 1824 Ludwik XVIII porozumiawszy się z p. Villèle prezesem rady ministrów nagle, niespodziewanie, usunął go z ministerstwa. Obelga była krwawa, i nigdy zapomnianą nie została. „Odpędzili mnie ze służby jak lokaja“, mówi on w swych pamiętnikach. Odtąd przez lat cztery acz zawsze stronnik monarchii i dynastyi, współpracował z ich przeciwnikami. Za ministerstwa Martignaca przyjął poselstwo do Rzymu, podał się wkrótce do dymissyi, za objęciem steru rządu przez ks. Polignac. Podczas rewolucyi lipcowéj w tryumfie przez kilkudziesiąt uczniów szkół przez ulicę niesiony zakończył swój zawód polityczny mową w izbie parów, przy złożeniu parostwa powiedzianą, silną, świetną i wymowną, lecz równie obelżywą dla zwycięzców jak zwyciężonych, a tylko dla ludu pochlebną. Podczas panowania Ludwika Filipa w związkach zostawał z dynastyą upadłą, i jeżeli nie mógł się stać jéj użytecznym, usiłował być jéj potrzebnym. Opowiadanie jego o tych związkach, o jego odwiedzinach w Pradze i bytności u Karola X okazuje, że jeżeli silne było jego przywiązanie do zasad monarchicznych i dynastycznych silniejsza pamięć uraz, i pogarda dla osób powzięta. Umarł p. Chateaubriand w kilka mie-

sięcy po wybuchu lutowym dnia 4 lipca 1848 w 80 r. życia.

Do tego szkicu życia, jego charakteru literackiego i politycznego dodajmy kilka słów o człowieku.

Chociaż p. Chateaubriand dążył ciągle do najwyższych szczytów, choć pragnął chwały i władzy, nie był jednak obojętny na to wszystko, co próżności ludzkiéj dogadza, choć zupełną obojętność, a nawet pogardę okazywał. Lecz on nigdy w żądzach swoich szczerym nie był, i zawsze podług wyrażenia Tacyta „*Specie recusantis flagrantissime cupiebat*“. Pogardliwie on nieraz wspomina o świetności urodzenia, o wszystkich błyskotkach światowych, o drobnych tryumfach miłości własnéj, a przecież starannie cały szereg dawnych Brienów czyli Brianów, którzy się potem Chateaubriandami stali wylicza, a z przyjemnością nadmienia o świetności swoich uczt ambassadorskich, o mnogości sług, przepychu zaprzęgów i liberyi. Roztargnienie swojéj miłości własnéj posuwa do tego stopnia, że mówiąc o stosunkach swoich z księżną Kumberland podczas swego berlińskiego poselstwa, o uwielbieniu jakiem przejętą była dla jego utworów dodaje: „a więc tysiąc lat cofnąwszy „się, księżna Fryderyka będąc córką Karola Wgo, by„łaby w nocy Eginharda na plecach wyniosła, ażeby „żadnego śladu na śniegu nie zostawił“.

Pan Villemain dowcipnie i sprawiedliwie wykazuje śmieszność tego historycznego zbliżenia, do którego niczem z powodu królowy Hanowerskiéj nie zdawał się być autor upoważnionym.

Zdaje się, iż dla życia rodzinnego i domowego serce p. Chateaubriand było zmarłem. W wspomnieniach jego o rodzicach, o domu ojczystym, o rodzeństwie daje się spostrzegać jakaś oschłość, brak zupełny tkliwego czucia. Równie zimną obojętnością razi mówiąc o swéj żonie, w któréj zawsze miał przykładną, troskliwą i

poświęconą towarzyszkę. Z cnót prywatnych dwom zawsze wiernym pozostał: stałości w przyjaźni i dobroczynności. Przyjacielem był wiernym zwłaszcza kobiet. Pamięć Pani Beaumont zawsze czcił, dla księżnéj Duras, aż do jéj śmierci, dla Pani Récamier aż do swojego zgonu, nigdy się nie zmienił. Dobroczynność jego miała być nie wyczerpana, acz ograniczona szczupłemi środkami majątkowemi. Świadczył z zapomnieniem o sobie. Czasem spełnił dobry uczynek nie tylko z sercem ale i z dowcipem. — Pamiętam, że gdy wylewy rzek zatopiły we Francyi za Ludwika Filipa przemysłowe miasto St Etienne, słynny krytyk z dziennika sporów Jules Janin podjął się zbierania składki dla zatopionych robotników, udał się więc i do p. Chateaubriand listownie w tych słowach: „Jeżeli autorowi Du„cha chrystianizmu zostaje jeszcze 5 franków w kiesze„ni, niech je da dla mych zatopionych nędzarzy“.— Pan Chateaubriand odpisał mu: „Nie miałem już ani jedne„go franka, lecz pożyczyłem od mego odźwiernego 20 „franków, i te posyłam panu dla zatopionych nędzarzy, „aby oni modlili się za mnie, a pan abyś oszczędzał „mnie w swym dzienniku“.

Rozpatrzywszy się w żywocie p. Chateaubriand, zanurzywszy wzrok w jego duszę, którą on pamiętnikami swemi przejrzystą uczynił, cóż nas uderza? Bóg hojnemi obdarzył go duchowemi skarbami, dał mu geniusz poetyczny, dał mu dar potężnego słowa. Umysł jego był wzniosły, dusza szlachetna i odważna. Okoliczności w jakich żył sprzyjały rozwinięciu i zajaśnieniu w całym blasku tych rzadkich przymiotów. Czemuż człowiek tak obdarzony nie zostawił nam wzoru wielkiego męża, czemu czyny jego nie stały się tyle użytecznemi ani sprawie, któréj służył, ani krajowi, ani ludzkości, ileby się niemi stać powinny były. Czemu w drugiéj części jego życia zgasło w nim natchnienie poetyczne, a po-

zostały tylko namiętności, i znakomite zdolności politycznego pisarza. — Oto powiedzmy prawdę. Pan Chateaubriand był wyobrazicielem, i niejako kierownikiem swego czasu, miał więc wszystkie wady jego, i wpływem swoim je powiększał i rozszerzał. Początkowe jego powodzenie, taką siłę wzrostu nadało jego miłości własnéj, że ta coraz więcéj rosnąc, wyrosła na *Dumę*.

Tak, *duma* stała się jego główną wadą i nieszczęściem, nią upojony zapragnął nie tylko chwały ale i władzy, wmówił w siebie, że nie tylko nauczać, oświecać, rozrzewniać, unosić ludzi umie, ale że i rządzić nimi potrafi.

Co to jest *duma*? Duma jest niewdzięcznością względem Boga;— jest przywłaszczeniem tego sobie samemu co do Niego tylko odniesionem być powinno, jest żądzą tego nawet, do czego się przez Niego powołanym nie jest.

Człowiek uposażony natchnieniem, wyższą umysłową siłą, niech je uważa że dar Boży, niech w nich własnéj zasługi nie widzi. Jeżeli własną pracą, wyrobieniem wewnętrznem dojdzie do pewnego stopnia wykształcenia umysłowego, i moralnego wydoskonalenia, niech i w tem swojéj tylko mocy, swojéj bezpośredniéj nie upatruje zasługi, bo go wsparła łaska Boża, a on się tylko dobrą wolą zasłużył. Tak naucza Kościół, takie tylko przekonanie wolne od błędu, takiem tylko człowiek przejęty, choćby był najpotężniejszy, największy, nieulegnie dumie.

Tymczasem nie tylko człowiek ale wiek cały inaczéj przekonany, w siebie tylko ufny, z siebie wszystko wydobyć usiłujący musi się pychą obłąkać. Wiek przeszły, wiek obecny ten nam właśnie obraz przedstawia. Patrzmy ilorakiéj dumy widziem przykłady w naszem stuleciu. Dumy potęgi w Napoleonie, dumy rozumu w mędr-

cach niemieckich, dumy poezyi i zdolności umysłowych w poetach i w pisarzach dzisiejszych.

Kiedy porównywam starożytnych wieszczów i pisarzy z współczesnymi, uderzony jestem i zadziwiony różnicą między nimi zachodzącą. Zarzucamy wprawdzie pychę filozofom pogańskim. Nie przeczę, że niektórzy nią się skazili, lecz też jeszcze przed oczyma nie mieli wzoru poświęcenia i pokory Boga, który stał się człowiekiem. Jednakże z wszystkich mędrców, starożytność za najmędrszego ogłosiła tego, który po długich badaniach rzekł: „że dopiero teraz doszedł do prawdziwéj wiedzy „gdy się dowiedział że nic nie wie.“ Wyznanie takie czy już nie mieściło w sobie zawiązku cnoty chrześciańskiéj pokory? Lecz gdy przebiegam okiem wieszczów starożytnych, czegóż w nich dostrzegam? oto przekonania, że duch wieszczy z góry, z nieba czerpią, a ztąd pochodziło ich zwykłe wzywanie Muzy. W greckich największych mistrzach gdzież znajdziesz ślady dumy, choć ją popisy publiczne, i oklaski ludu całego pobudzać i podnosić mogły. Wirgiliusz utworzywszy dzieło najdoskonalsze, co do obrobienia najwięcéj z wszystkich wykończone, i dobrym smakiem zaprawne z skromnością, któréj dzisiejsi poeci naśladowaćby nie potrafili rozkazuje je spalić. Horacyusz wprawdzie w uniesieniu lirycznem woła: *Exegi monumentum aere perennius*, lecz wyższego jeszcze mistrza od siebie uznaje, i głosi że ktokolwiekby z Pindarem współubiegać się ośmielił byłby Ikarem, upadkiem swoim morzu któreby go pochłonęło nadającym nazwę. Gdzież w starożytnych pisarzach ujrzymy ową żądzę, owe przywłaszczenie sobie praw do wszelkiego ziemskiego dobra, tak do chwały, jak do bogactw, do uciech życia, do władzy, do zarządu ludźmi. Horaciusz epikurejczyk śpiewał rozkosze ziemskie, ale i *auream mediocritatem* wychwalał i zalecał. Żadnemu z poetów nie powstało

w myśli pięcie się do władzy. Udział w niéj mieli, tylko jednego rodzaju pisarze, tak w dawnych czasach jak w nowszych — to jest historycy: Xenofont, Tucydydes, Polybiusz, Juliusz Cezar, Sallustiusz, Tacyt, Macchiawel, Guiciardini, albo naczelnikami wojsk i narodu byli, albo odznaczyli się w zawodzie publicznym, ale nie dla tego że byli historykami, lecz przeciwnie, stali się wielkiemi historykami, bo się w politycznem życiu wsławili. Że pisarze z pierwotnych czasów chrystyanizmu i z następnych, gdy wiara była silna i gorąca nie ulegli dumie, nie potrzebuję przypomnieć, lecz to mnie najwięcéj zadziwia, że w obecnym wieku ci właśnie poeci i pisarze, skazili się nią, którzy zwrot umysłów ku chrystyanizmowi sprowadzili, którzy w chrystyanizmie szukali swych natchnień, swoich obrazów, swoich farb poetycznych. Rzućmy okiem na Francyę, rzućmy niem nawet na kraj własny a niestety! o téj prawdzie się przekonamy. Jakiż ztad wniosek wyprowadzić? Oto że chrystyanizm ujął ich wyobraźnię, wsiąkł może w ich umysł, lecz nie przejął ich serc. Oświecali oni i ogrzewali dusze swemi myślami, obrazami, i chwilowem czuciem — nie oświecali ich nie ogrzewali przekonaniem i czynami. Jakto ja miałbym wierzyć, że ten, lub ów poeta lub pisarz jest prawdziwym uczniem Chrystusowym, gdy w nim zamiast miłości widzę nienawiść, zamiast pokoju ducha namiętności i żądze zemsty, zamiast wyższych celów dążenia ziemskie, zamiast pokory dumę? Żądze dzisiejszych wieszczów i pisarzy, tak są nieograniczone, tak namiętne, że ich Chrystyanizmu wytłómaczyć sobie nie mogę. Pragną oni i chwały i dostatków i dostojeństw i władzy. Jedni rzucają się w odmęt życia politycznego. chcą być rządzcami państw, drudzy myślą że się stać mogą zbawcami narodów, kie-

rownikami ludzkości a nawet apostołami wymarzonéj przez nich wiary.

Co w nich te żądze pobudza. Zbyteczna ufność w siebie—duma.

Lecz duma nie nadaje siły, ale z niéj wyzuwa i w sobie saméj nosi zaród kary.

Możnaby od początku świata prowadzoną napisać historyę pychy ludzkiéj, i w niéj to twierdzenie udowodnić. Runęła wieża Babelu, w któréj duma ludzka przemówiła głazami i cegłą. Jeden najpotężniejszy pomnik materyalny pychy władzców ziemi przetrwał wieki: Piramidy egipskie wzniesione ręką milionów niewolników. Lecz te jak Bossuet uważa, czemże są? Grobami świadczącemi o znikomości człowieka.

Karą dumy jest że albo mija się z celem, albo osiągnięty utraca. Karą dumy wieszczów, pisarzy jest: że przed czasem, w saméj dojrzałości wieku postradają natchnienie, i albo skazują się na milczenie albo na upadek. Czemu zgasło natchnienie poetyczne w połowie zawodu w p. Chateaubriand? czemu osłabło w Wiktorze Hugo? czemu znikczemniało w Lamartinie? czemu zaniemiało było w Mickiewiczu?

Niech te przykłady dostarczą przekonywających nauk tym wszystkim, którzy się wyższemi darami bożemi zaszczycają, niech ich ostrzegą że jedynie miłość ludzi, wiara w moc łaski Boga, a tylko nadzieja w sobie mogą im zapewnić niezatarte kapłaństwo ducha, i chwałę bez upadku.

A. E. Koźmian.

ZAPISKI ORNITOLOGICZNE.

VI.*

O JASKÓŁKACH.

Jaskólczątka rosną jak baby na drożdżach, i po czternastu dniach już w lepiance pomieścić się nię mogą; pomału otwór rozprzestrzeniają i siedzą sobie dzień cały, jak panny w oknie, tak one na krawędzi gniazda, przyglądają się wszystkiemu z ciekawością a bez trwogi; słuchają uważnie świergotania starych, które zawsze po kilka lub kilkanaście par pod jednym dachem mieszkają i pomału zaczynają nucić cicho, często chrapliwie, zdarza się niejeden fałszywy akord, lecz w téj kupce rodzinnéj trafia się prawie zawsze jeden braciszek z uchem muzykalnem, więc ten głośniéj śpiewa, a tam-

---

* Patrz zeszyt kwietniowy.

te się uczą i tak pomału muzyki lekcye przy pomocy rodziców wykształcają nam miłych, harmonijnych śpiewaków. Siedzą więc już zupełnie pierzem okryte jaskólczęta z bledszemi wprawdzie kolorami i krótkim widłowatym ogonkiem, zresztą podobne do starych lecz lepianki opuścić nie chcą, bo to nie wiecie jak ona wygodną jest: w środku dosyć obszernie, miękko siedzieć a tak ciepło jak w pierzynie; jakże tu opuścić tę sypialnią, kiedy na świecie gdy zajęczy głóg kwitnie w pierwszéj połowie czerwca, tak nieprzyjemne powietrze i wiatr mroźny, deszcz, a tam ciepło i spokojnie. One siedzą wtedy w gniazdeczku, kiedy my kominka z trzaskającym wesołym płomieniem opuścić nie chcemy, a zatem pojąć i podzielać musimy ich do komfortu przywiązanie. Rodzice zmęczeni ustawicznem łowieniem owadów, wycieńczeni tem polowaniem, bo to zimno, muszki się pochowały, a dziatwa ustawicznie jeść woła, lecą za muchami do stajen i owczarń, lecz nastarczyć nie można pożywienia, mąż już zniechęcony dąsa się na żonę, bo on już myśli o świeżem łożu małżeńskiém, ona niby to poświęcenie dla dziatek udaje, ale pała tą samą żądzą i już bardzo często i blisko się do męża tuli często nawet w locie buzi dostanie, lub kokietujący małżonek złapawszy muszkę, żonkę woła i w locie jéj ofiaruje przysmaczek. Stają więc oboje w powietrzu, przytulają się chwilkę, ona porywa muszkę i wdzięcznym i radosnym tonem dziękuje i znowu z pośpiechem w świat bujając lecą. Powiedzcież sami czy można być srogą dla takiego męża, mając silny afekt a krew niepospolicie gorącą. A zresztą pora się spóźnia mogą niewychować dziatek z drugiego zniesienia, więc radzą jak to pogodzić swe plany z dopełnieniem obowiązków dla dziatek, i najczęściéj na tém staje, że głodem upór malców przełamują.

Stary uchwyciwszy muchę, leci przed gniazdo, lecz trzepocząc staje w powietrzu w pewnéj odległości i woła dzieci, te zawsze zgłodniałe dostać nie mogą pokazywany owad, nachylają się, próbują skrzydeł, a nareszcie któreś spadnie z wytężenia, przestraszone leci do ojca, dostaje muszkę, powraca na gniazdo, i wesoło szczebiocąc do drugich mówi: *wierzajcie my możemy tak latać jak rodzice.* Młodsi nie wierzą, lecz że potrzeba sest matką rodzicielką wszystkich wynalazków, więc po mału całe rodzeństwo nabiera odwagi i uczy się latać. Zostaje jeden Benjaminek, który rzeczywiście dorosnąć nie mógł i siedzi opuszczony dzień cały piszcząc żałośnie za rodzeństwem, które czule kochał: osierocone biedactwo mimo troskliwości poczciwych rodziców, którzy przy pomnażających się coraz rozliczniejszych czynnościach istotnie cuda pilności robią i o nim niezapominają, nareszcie w desperacyi rzuca się z gniazda i niepewnym lotem jak ćma przy świecy szuka otworu, którym bracia i siostry wyleciały i jak pijany potrąciwszy się o ściany kilka razy, na świat się wydobywa radosna to chwila, rodzice go otaczają, jedno pod nim przelatuje aby go w powietrzu podnosić, drugie ostrożnie prowadzi na miejsce dachu, na ktorym się dziatwa umieściła, ta rozkosznie trzepocze skrzydełkami i woła, Beniaminka, wszystko razem siedzi, młodzież rzędemtarzy opodal śpiewają, odlatują chwilkę i znowu wra cają, zachęcając dziatwę do lotu, ta się zaś wcale ruszyć nie myśli, jak siedziała tak siedzi mimo pokus pokazywanych przysmaczków ruszyć się nie chce. Nowa bieda dla rodziców, lecz tu trzeba dać dowód charakteru i nakazać milczenie sercu, a zatem głodzić próżniaków, a donosić tylko malutkiemu. Źle się dzieje dziatwie, żołądek próżny, zazdrosnem okiem patrzą na żywionego Beniaminka, szepczą między sobą, radząc co uczynić wypadnie, a rodzice latają ustawicznie, poka-

zują owady to w dzióbie to latające, które przed młodemi chwytają. Radzi nie radzi nareszcie się puszczają za rodzicami; a malec zostaje na dachu, bo on rozkazu latania jeszcze nie dostał, i już po kwadransie bujają jaskólczęta jak doskonałe ptaki. Stare im w powietrzu tu i owdzie dają pożywienie, wskazują owady, prowadzą na miejce, gdzie ich jest obficie, a o Benjaminku nie zapominają. Po chwili wraca do niego cała rodzina, a że na tę ważną wyprawę, dzień pogodny wybrany, więc słonko przyświeca, rodzice śpiewają, dzieci im wtórują, to znowu odlatują i znowu powracają, aż się słonko ku zachodowi schyli, wtedy rodzice dzieci wołają i wszystko wraz z Beniaminkem leci spać. Tu się rzeczy komplikują: jest wyraźnie w rodzie jaskólczym nakaz, że pierwsze nocy po wyleceniu dzieci z rodzicami razem wszyscy w gnieździe spać muszą: dzieci wołają że to być nie może, bo one same tam już miejsca nie miały, jakże się teraz one wykształcone wraz z rodzicami w ciasnéj lepiance pomieszczą. Malkontenci nic nie mogą wskórać, sejmik burzliwy trwa krótko, matka lub ojciec włazi do gniazda, za nim dziatwa którą drugi rodzic nagania. Co tam pisku i narzekania, jak się to wszystko gniecie a potem skarży aż nareszcie ulokowani cicho siedzą, lecz ojciec chce wejść do żonki i dziatek, nowa protestacya hałaśliwa, on na to niezważa i oparty na swém prawie, pakuje się do środka, jeszcze chwila burzliwa i nareszcie chociaż to w téj lepiance diabelnie niewygodnie, wszystko zasypia bo to nie małe było zmęczenie w tym dniu próby.

Ledwie na horyzoncie spostrzedz się daje jasny pasek, a kogut zapiał, już wstaje jaskółka, siada sobie, i Bogu nuci ranną modlitwę, ona pierwsza, jeszcze we dworze wszystko uśpione, nawet lubieżny wróbel głęboko w swéj pierzynie spoczywa, a drób dworski ani myśli wstawać, jaskółki już nam wschodzące słońce za-

powiadają i zachęcają do pracy i ruchu. Dopiero póżniéj ruszają się ptaszęta, wróbel wychyla głowę z gniazda, rudogon ogrodowy (*Sylvia phoenicurus*) swój romansik odśpiewa, kosy i drozdy fletowym koncertem ucho zachwycają, słowik melancholicznie zanuci, to znowu jak fanfarą uderzy, zięba powtarza z wysileniem swe kilka głośnych nót, dudek smętnie mówi *hup hup, hup*, pliszka na dach wybiega, rusza swym długim ogonem, muska się i leci nad wodę przypatrywać się, czy jéj do twarzy, a z daleka słychać śpiew skowronka, który się pod obłoki wzbija aby jak najbliżéj niebios swe dziękczynne hymny odśpiewał Bogu; gołębie zagruchoczą, gąski zagęgają, a tu już niecierpliwe jaskułki szyją powietrze, szukając owadów, które jak inne żyjątka czekają wschodu słońca, aby życie pracy na nowo rozpocząć.

Gdy się nareszcie młode jaskólczęta przyswoiły spać w lepiance z rodzicami w téj niewygodzie i już kilka dni bujały niezważając że gniazdo wyporządzone, aż tu jednego wieczora zastają ojca na warcie, a matkę na swem pierwszem jajku w gnieździe. Niepospolite zadziwienie i wielkie nieukontentowanie. Gdzież tu tak póżno i po zmęczeniu szukać miejsca bezpiecznego na odpoczynek? Ojciec im tłómaczy, wszyscy razem świergoczą i nareszcie wraz ze starym przewodnikiem lecą na miejsce, już pewnie pierwéj przez tegoż obrane. Są to jakieś tyki na strychach, lub odstające łaty pod dachami, suche gałęzie rosłych drzew, a najczęściéj gdzie można w trzcinę i w tem zaciszu spokojném ulokowawszy butną młodzież, wraca do swéj ulubionéj lepianki i już wygodnie i przestrono nocuje z samiczką. Dziatwa swawolna rano nadlatuje jak po radę, dyspozycye i żeby rodzicom dobry dzień powiedzieć, wieczór nieraz próbują wracać do gniazdeczka, lecz to fałszywe za-

chciałki, rodzice już co innego mają w głowie i z kwitkiem odprawiają dzieci.

W drugiem zniesieniu najczęściéj trzy jajka tylko znajdujemy i wychowanie téj drugiéj familii niepospolite kłopoty dla rodziców sprowadza, gdyż wykłute póżniéj pisklęta często jeszcze w gnieździe siedzą, kiedy już w sierpniu jaskółki do podróży się gromadzą. To niepokoi starych bo wiedzą że te dzieciaki często w spóźnionéj podróży głodem i zimnem nocnem lub deszczami srogo nawiedzanemi bywają i często giną.

Mylnie twierdzą autorowie, że co roku każda parka jaskółek nowe gniazdo lepi, przeciwnie, ile razy tylko może, wylepi, wyczyści, nową pościel przyniesie i jajka spiesznie znosi w przeszłoroczne gniazdo, to są parki, które wcześnie wychowują silne dwie rodziny i do podróży się nie spóźniają. Te zaś co nowe gniazda lepić muszą, późniéj wychowują pierwsze dziatki, a z drugiemi albo się spóźnią i na niebezpieczeństwo je wystawią, albo też mimo zniesienia jaj samiczka je wysiedzieć nie może. Gdy mamy mokre i zimne lato a jaskółkom o żer trudno, wtedy tak często są przymuszone odlatywać z jaj, że nareszcie te zaziębnieją i w zarodkach giną. Tu znowu łatwo spostrzedz, że brat z siostrą się paruje, zawsze bowiem rodzina razem przylatuje, i tam gdzie było jedno gniazdo jest drugiego roku dwa, trzy i te się mnożą dopóki doskonałe ptaki widząc za wielką liczbę lepianek, nareszcie niektóre pary wypędzają i zmuszają je szukać w innem miejscu schronienia. Jednoroczne ptaki bardzo niezgrabne do architektury, próbują na wszystkie strony, lepią nieporządnie, a widząc że z tego mieszkania przyzwoitego nie będzie, odstępują fundamenta a często i zaczęte ściany i na nowo budują; późniéj nadlatujące jaskółki częstokroć z tych opuszczonych zaczętych gniazd w potrzebie korzystają i z dziwnym rozumem, z podziwienia godną zręcznością

potrafią wygodne gniazdo wybudować z nieforemnie zaczętéj lepianki. Młode parki zapatrują się na stare gniazda i one im za modele służą, dla tego starają się zawsze jak najbliżéj tamtych budować; zupełnie to takie wrażenie robić musi badaczowi jak kiedy syn gospodarza na bliskim folwarku pod jego okiem i opieką gospodarstwa się uczy. W opuszczonych kominach lub szerokich z gzymsami, a w drewnianych chłopskich budują w kątach gdzie ich dym niedochodzi jedne na drugich, tak, że często pięć do sześciu piętr gniazd widzieć można, zawsze przecie w téj odległości, że jedno drugiego nie dotyka, (dla tego dymówkami nazwane). Widziałem strychy nieobszernych chałup z dziesięciu do pietnastu gniazdami, a w stajniach długich czterdzieści do sześciudziesiąt gnieżdżących się parek, tam dopiero szwadronowanie, tam sejmiki hałaśne, a co życia i ruchu, w oczach się mieni widzowi, istna rzeczpospolita, lecz to nie ludzka, *ale ptasia*, pełna zgody, bez ślepych ambicyj, bez okrucieństwa i chciwości, tam łączy wszystkich miłość, tam wszędzie poświęcenie, porządek i organizacya, nie potrzeba tam prezesa i policyi ani też zbrojnéj siły, prawa od Opatrzności nadane, są szanowane, zgoda i pomoc wzajemna zawsze gotowe bo wszyscy mieszkańcy téj hałaśliwéj kolonii mają jedne zasady, te same dążności i ten sam cel, do nich jedynie zastósować możemy *viribus unitis*, słowo które wszędzie człowiek jak zepsute dziecko poszarpać się stara i niedozwala aby w rzeczywistość przeszło.

Równie fałszywe twierdzenie autorów, że jaskółki w pasiekach szkody zrządzają. Jest to czarna obmowa i muszę moje pożyteczne ptaki od tego niesprawiedliwego zarzutu obronić. Najpierwej jaskółka tylko drobne owady łapie z chciwością, te które bez poszarpania połknąć może, bo nie targa, lecz wszystko w całości pożera; pszczoła dla niéj już niewygodnem pożywie-

niem, a po drugie, ona przezorna i rozumna, wie dobrze o żądle, i wie że szeroką paszczę to żądło ukłuje a ona nie ma czasu i siły zabić pierwéj pszczołę jak robią inne ptaki, *bo to latający pośpiech*, jeżeli głodem przymuszona leci do pasiek i nad kwiatkami zbiera, to czasem porwie trutnia i to wyjątkowo. Czy jéj za złe wziąść możemy, że czasem zjada trutnie, których tyle na świecie? Proszę Was bardzo nie dawajcie wiary, téj potwarzy rzuconéj na jaskółki przez złych mieszczan niechętnych dla jaskółek. Nie szkodę, lecz ogrom pożytku nam przynosi. I tak ścigajmy okiem bujające jaskółki i uważajmy ile razy uchwyci owad, w owczarni lub stajni, przez godzinę liczmy wiele usłyszemy kłapania, a każde dowodzi złowienie muszki, z zegarkiem w ręku notujmy przez dwie godziny ranne, ile razy z owadem wlecą jaskółki aby pisklętom żer podać, a porachowawszy przez szesnaście godzin dnia pracy, spiszemy takie olbrzymie cyfry, że je mało który rozum obejmie, może li ten który pojmuje liczby długów niektórych państw europejskich.

Smutno mi się w duszy robi, gdyż myślą sięgać muszę odlot tych lubnych ptasząt, bo po tem odlocie i ja martwieję, przyroda cała choruje, gotuje się na śmierć zimową, ptaszki, moi towarzysze oniemieli, już do mnie nieprzemawiają, oko się jaskrawemi kwiateczkami nierozerwie, nie wytchnie na zielonéj murawie, lecz wy tego czuć nie możecie, dla was i w grobowym periodzie roku w mieście są rozkoszne chwile, a ja zaś wzdycham długich siedm miesięcy za memi towarzyszami. Wiem ja dobrze, że te krepem czarnym okryte myśli nie jednemu ruszą ramiona, nie jeden powie: to chorobliwy stan duszy, nerwowość kobieca, lecz miejcie wzgląd, że ja badacz przyrody i że dla tego tylko zgłębiłem jéj skrytości, że z zamiłowaniem i poświęceniem topiłem duszę mą w badaniu, nie weźcie mi za złe te-

go mego żalu, który mi się z pióra mimowolnie wylał a teraz mi lżéj, a zatem opowiem wszystko, opowiem jak się gromadzą, jak się skupiają gromady w większe hurmy, hurmy często w jaskółcze chmury i nareszcie opowiem jak odlatują, którędy lecą i gdzie zimują.

W naszym kraju, w przestrzeni jak ją wszyscy pojmować powinniśmy, już koło 20go sierpnia gromadzą się młode rodziny pod jednym dachem wychowane, to już stanowi częstokroć stadko złożone z 40 do 60 jaskółek, już razem latają, razem nocują po trzcinach, na drzewach lub dachach; po kilku dniach pożegnawszy się z każdym rodzinnym zakątkiem, zanuciwszy wspólny śpiew pożegnalny, zrywają się do świtu i odlatują ku południowi. Ten pierwszy odlot mało uważany, gdyż rodzice jeszcze bawią i zapełniają widnokrąg nasz, a zatem tyle jeszcze jaskółek, ile przybyło na wiosnę, dalej jaskółczęta z drugiego siedzenia bujają ustawicznie przed nami. Gdy zbiór ten dla pięknéj pory spóźniony nieco bywa, wtedy gromadzą się jaskółki z jednéj wsi na zbiorowe miejsca, obsiadają stare drzewa lub dachy i radzą długo nad przedsięwziąść się mającą podróżą, postępują znowu ku południowi i zatrzymują się na obfitych żerowiskach czasem i dni kilka i znowu daléj do krain, gdzie owady w zimie latają. Zdarzało się nie jednemu spostrzedz, że już niema jaskó łek na początku września i znowu się pojawiły; to już nie nasze ptaszęta, te już opuściły nas a te co widzimy to pielgrzymy co dla odpoczynku i pożywienia chwilę się zatrzymują i odlatują. To znikanie i pojawianie się jaskółek szczególniéj często się powtarza dla tych co na gościńcu ich podróży mieszkają, tamtędy większa część dążyć musi i na oznaczonych etapach żeruje i odpoczywa. Nie ciągną one misternie jak inne ptaki, gdy pilno a głodu niema lecą jak można najpilniéj, a jak szczęśliwy wiatr im dopomaga wcale się do ziemi

nieznižają; przeciwnie gdy wiatr się zmieni a słota nastąpi, spuszczają się jak najniżéj i goniąc i łowiąc owady przetrwają ten przykry czas. U nas po 20tym września ciąg główny jaskółek skończony, widzieć się dają spóźnione rodziny z drugiego gniazda, które się do lotu hartują i pod przewodnictwem rodziców pędzą w nadziei, że gdzie na brzegach rzek i jezior a w najgorszym razie nad morzem dogonią główną armię, która się zawsze na tych miejscach zatrzymuje, organizuje, dzieli w korpusy i czeka jak żaglowa flota na pomyślny wiatr. Jeszcze spostrzegamy późniéj pojedyncze jaskółki, kopiące powietrze swawolnym skrzydłem jak Kochanowski mówi, latające jak błędne ptaszęta! Oto biedne żyjątka, których najczęściéj głodowa śmierć zamorzy lub też zimno zmrozi, ten lot błyskawicy, te niespokojne ruchy, ta niepewność kierunku, wyraz smutny, to oznaki rozpaczy za towarzyszami, to żal za rodziną, to nareszcie przeczucie przedwczesnéj śmierci!

Instynkt to najgłębsza nauka, to Boskie światło, nieomylne, szczęśliwy kto go posiada. Jak często przed czasem gromadzą się jaskółki, starsi przewodniczą, szczebiocąc młodzież swawolną do wędrówki zamawiają lecz ta widząc latające owady, czując jeszcze grzejące promienie słońca, używając rozkosznéj kąpieli, protestuje hałaśliwie. Przewodniki raz drugi się zrywają, lecą w oznaczoną stronę, oglądają się, drużyna nie leci, wracają na powrót i znowu napominają głośniejszem szczebiotaniem. Nareszcie radzi nie radzi posłuchają rad starszyzny i ulatują przed grożącem niebezpieczeństwem; i istotnie zimna słota długotrwała następnie. Gdy jaskułki smutne często na mieszkaniach siadają, opuszczają skrzydełka, smutnym wźrokiem pociągają w około siebie i nieświergocą, o niech gospodarz bacznym będzie, bo to nieomylna oznaka zimnéj słoty. Gdy te ptaszyny w lecie szybko nad wodą lub powierzchnią

ziemi latają powtarzając przeraźliwie dwie nuty ustawicznie, — wtedy będzie deszcz, one do siebie mówią „śpiesz się z jadłem siostro, bo gęste krople z nieba lot nasz wstrzymają, — donoś dziatwie pożywienie, bo do domu uciekać wypadnie“.

Gdy niebo brzemienne chmur, wiatr boleśnie wyć zaczyna, staropniowe drzewa lamentują, słońce się od ludzi odwraca i dzień ciemnieć zaczyna, a wszystkie zwierzęta smutnie ku ziemi spoglądają, i człowiek wźrok błagalny do nieba wznosi, pełen trwogi i oczekiwania, gdy pierwszy odgłos odległego jeszcze grzmotu słyszeć się daje jak mruczenie potworu, o wtenczas jaskółki wirujące w powietrzu przeszywające niepojętą szybkością lotu nasz widnokrąg a żałośnie piszczące, niepospolicie przyczyniają się do uzupełnienia obrazu jaki przed burzą widzimy. — Gdy pierwsze krople padać zaczynają, a łoskot piorunu słyszeć się daje wszystkie jaskółki w jednéj chwili znikają tak szybko, że żadne oko ich doścignąć nie może, zdmuchnięte czarodziejskim oddechem z horyzontu.

Mimo ich instynktu, rozumnego i praktycznego doświadczenia, nie małe klęski na nich Opatrzność spuszcza. I tak w latach 1817, 1829, 1839, 1845, 1853 i 1855 krocie ich z zimna i głodu w śnieżnych wiosnach zginęło. One to nieszczęście przeczuły, widziały je zbliżające się, lecz ich termina są nieodwołalne, one ich dotrzymać muszą, bo tak prawidła przyrody każą, a gdy bieda za ciężką się stawała, wtedy też już sił nie stało do ucieczki. W ostatnich wyżéj wymienionych latach spadały z powietrza głodem osłabione, zimnem przejęte, w ręku tak smutnie na człowieka, tego ich towarzysza, przyjaciela i opiekuna patrzały z tym wyrazem co mówi: dla nas już żadnego ratunku niema, już się z życiem rozstać wypadnie! Inne wniesione do kuchni, piekarni stajen i owczarni, przychodziły pomału

do siebie, z początku cicho wabiły, potrzepotały skrzydełkami, a wdzięcznie zanuciwszy podziękowanie dalej w pogoń za muszkami; jak tylko od zimna struchlałe członki ogrzały i kilkunastoma muszkami głód zaspokoiły, zaraz do okna biły ustawicznie błagającym piskiem prosiły o wypuszczenie, bo tu im za duszno, za ciasno, im trzeba wolności, nieograniczonéj przestrzeni, bo jaskółka się w żadne karby ująć nie da, stworzona do bujania w powietrzu. Nie jedna późniéj przez otwarte okno wleciała do tych gościnnych mieszkań, siadła na gzymsie, zaświergotała harmonijnie na znak pamięci wdzięcznéj, potem okrążyła przestrzeń złowiła kilka muszek i znowu w świat powędrowała, i te dziękczynne odwiedziny kilka do kilkanaście razy w ciągu lata powtarzała.

W opisach podróżnych, kapitanów okrętów, OO. Misyonarzy napotykamy termina w których jaskółki przybywają do ciepłych krajów: między 5tym a 20tym października przylot ich przez długie lata był notowany. W Senegalu, na Przylądku dobréj nadziei, na wyspach kanaryjskich, w Jamajce itd. Nie jedno stado jaskółek opuszczając południową Europę ku końcu września, *w kilkunastu dniach w tych odległych krajach staje.* Ich marszruta mądrze obmyślana a, ich wczesny odlot z naszych stron dowodzi ogrom przezorności: najrychlej dążą na południe, aby tam nad brzegami jezior i stawów, koło włościańskich mieszkań, nad stadami owiec i bydła doczekać się przy obfitem żerowisku, pomyślnego wiatru, a jak tylko ten wiać zaczyna, zaraz korpus w subordynacyi ruszać się poczyna, żagli rozpościerać nie potrzebuje bo zawsze niemal rozpięte, i odlot w jednej chwili rozpoczęty o którejkolwiek godzinie. Gdyby nie tak wcześnie od nas wyruszały, wtedy spóźniona pora by je nagliła a często i zmusiła podróżować za Ocean z niepomyślnym wiatrem, przez co te rozliczne

armie byłyby narażone na ogromne niebezpieczeństwa. Marszruta prowadzi je zawsze nad wyspami gdzie wypoczywają i tam równie wiatru pożądanego czekają, częstokroć zmęczone, tysiącami obsiadają maszty okrętów i świergocząc dają oznaki radości, że znowu w towarzystwie ludzi się znajdują. Gdzie mogą, tam nocują, są to ptaki, które w ogólności w późnéj ciemnéj nocy podróżować nie lubią i to tylko w nagłéj potrzebie robią, a jeżeli zdarza się sposobność, którą zresztą dziwnym instynktem przygotować umieją, w tedy nocują na drzewach lub na skałach a wylatują przed wschodem słońca i lecą późno w wieczór.

Znany podróżujący Adanson, równie znany misyonarz O. Jezuita Kircher podają nam nader ciekawe szczegóły o przylocie jaskółek w powyż cytowane kraje. Pierwszy opisuje, że nie raz jeden napotkał w nocy na piasku śpiące jaskółki po dwie, trzy do czternastu razem na brzegu morza (oczywiście gdzie drzew i wzniosłych siedzib nie było), tak zmęczone, że się poderwać niechciały, a gdy powracał na drugi dzień, już wypoczętych nienatrafiał. Ojciec Jezuita, który długie lata w Azyi przepędził, daje nam ciekawe daty przylotu i odlotu jaskółek (*Le monde souterain*) i utrzymuje, że się spotykają z bocianami i w te same kraje lecą co i ci nasi opiekunowie; daléj powiada, że w Libii i Etiopii całą zimę przepędzają. Lecz zostawmy podróżujące jaskółki, gdzie ich instynkt pędzi, im tam lepiéj między dzikiemi ludami, bezpieczniéj na puszczy jak w postępowéj Europie, w któréj gdzie nie gdzie chciwość smakoszy posunięta do tego stopnia, że nawet i te odrobiny tak nam pożyteczne, pożerać usiłują, a wspomnijmy o wrażeniach jakie nam zostawiły w kraju.

Jaskółka, jak już mówiłem, to pośpiech personifikowany, zidealizowana wolność bez granic, lecz przytem czuła, wdzięczna rozumna ptaszyna. Nigdy niezapomnę

jak w srogiéj wiośnie roku 1853 otworzyłem zmarzniętym jaskółkom wrota do owczarni, z jakim rozkosznym śpiewem wleciały do środka, a potem jak na podziękowanie, gdy wszedłem za niemi, okrążały tak blisko głowę moję, że ledwie o kilka cali czasem od méj czapki były, a zawsze harmonijnie nucąc, potem puściły się w pogoń za muchami, które jako mieszkańcy już tam dawno przed zimnem się schroniły, i niepospolitą klęskę im zadały. Jaskółki uspokoiwszy głód, siadły na belce i śpiewać poczęły wesoło, ja siedziałem na przeciwko z rozczuleniem, bo ten hymn dziękczynny był dla mnie i ja je dobrze zrozumiałem; po godzinie już nowy niepokój, znowu ciasno, znowu duszno już moje republikanki tych pętow znieść nie mogły, to do wrót, to do okien pukały i napierały się na dwór, naturalnie je wypuściłem, bo jakże niemiałem zrozumieć moje lube ptaszęta. — Wyleciały znowu z ukontentowaniem, bo mimo że tam chłodno i głodno, lecz tam niczem niekrępowana wolność, świat cały to ich przestrzeń, niebo i ziemia jedynemi granicami. W tych słotach robiłem sobie co dzień tę zabawę wpuszczać i wypuszczać moje jaskółki i zawsze odbierałem te same oznaki wdzięczności w locie i śpiewie. — Byle ruchu jaskółki nie hamować, to można ją do wielkiego przywiązania doprowadzić, nawet do tego stopnia że sześć miesięcy późniéj po odbytéj podróży, powraca do mieszkania, pozna dobroczyńcę, pozdrowi śpiewem i niemal co dzień go wita w domu i na dworze.

Czułość jéj w każdéj porze podziwienia godna i tak patrzeć na starsze rodzeństwo jak się młodszem opiekuje, jak pomaga znaleść pożywienie, jak prowadzi na spoczynek; a cóż dopiero powiedzieć o téj czułéj wierności małżeńskiéj i o przywiązaniu rodziców do dzieci! Ileż to w autorach podań czytamy, że rodzice powracając do piskląt z łowów, zastali mieszkanie w płomie-

niach, zatrzepotały w oddaleniu chwilkę, żałośnie zawabiły i w ogień się rzuciły, nie mogąc tej straty przeżyć. Podziwiać musi ich tkliwą czułość każdy co zbadał ich życie, podziwiać poświęcenie dla towarzyszek, rozum i pamięć, na to mam stokrotne dowody, lecz aby moich miłych czytelników więcéj nie nudzić na ten miesiąc, zakończę życie jaskółek, a w przyszłym zeszycie opiszę jaskółek parę mojego zacnego i uczonego przyjaciela Dra Ludwika Thienemana, mieszkającego w bliskości Drezna. Ta parka daje dowody pamięci większéj jak u czworonożnych zwierząt, a dowody czułości i pamięci zarazem!...

Olejów 25 marca 1858.

Kazimierz Wodzicki.

O WPŁYWIE SZTUK PIĘKNYCH

NA

RĘKODZIEŁA I PRZEMYSŁ.

List Antoniego Oleszczyńskiego, do JW. Hrabi Andrzeja Zamojskiego, przy przesłaniu wizerunku Jana Zamojskiego Kanclerza W. Koronnego jemu dedykowanego.

JAŚNIE WIELMOŻNY HRABIO!

Z uszanowaniem przesyłam pracę moją, przypisaną zacnemu imieniu Pana Hrabiego. Jest to wizerunek Jana Zamojskiego, który podług mego i powszechnego przekonania, najwłaściwiéj było przypisać temu, który nam przypomina znamienitość pierwszego, a którego ziomkowie Galicyjscy już uczcili medalem, uwieczniającym ich wdzięczność, za daną opiekę żegludze i przemysłowi krajowemu.

Co do mnie, miałem ja jeszcze obszerniejsze widoki, bo nim chciałem wywołać względy pana Hrabiego dla sztuk pięknych, które dotąd jeszcze powszechność krajowa uważa jako przedmioty nie będące w żadnéj styczności z przemysłem.

Na nasze nieszczęście, wielu przemawiających u nas na korzyść sztuk pięknych, zazwyczaj przemawiali ze stanowiska estetycznego i filozoficznego, — a ztąd mniéj przystępnego ogółowi: gdy najprzód należało wystąpić z tem, co bez skrzydeł poezyi i erudycyi, poziomo wykazać mogło usługę sztuk pięknych dla rękodzieł, przemysłu i bogactw krajowych.

Dzisiaj, ściślejsze badania gruntownych ekonomistów wykrywają, że nie masz prawie nauki, rzemiosła, rękodzieła i przemysłu, aby malarstwo, snycerstwo, rytownictwo i budownictwo nie było z niemi w związkach prostych lub ubocznych. I tak: budownictwo wykreśla i rozmierza kształty mieszkań, a rozliczne rzemiosła je wykonywają. Snycerstwo, malarstwo i rytownictwo ozdabia i upięknia, zatrudniając zarazem i udoskonalając inne zbyt nawet uboczne gałęzie przemysłu. Na przykład: kuśnierze dostarczają dobranych włosów na pędzle, rzeźnicy palonych kości i pęcherzy na farby; rolnicy piór gęsich, lnu i oleju na pokost... Chemia przygotowywa dla malarzy farby z trzech królestw przyrody, stolarze i garncarze rozmaite naczynia i narzędzia. W rękodziełach jedwabnych i bawełnianych widzimy malarzy rysujących wzory: te albo tkacze wykonywają, lub wyżłobiają rytownicy, oddając drukarzom do wytłaczania. Spotykamy ich również zatrudnionych w rękodziełach fajansu i porcelany, w hutach, giserniach bronzów, w rękodziełach blaszanych, słowem wszędzie spieszących w pomoc rozmaitym gałęziom ludzkiego przemysłu, który w pięknych kształtach handlowi je

dostarcza: ten je rozwozi w odległe kraje i zamianą za inne płody natury, nadaje ruch i życie źródłom bogactwa krajowego.

Nauki przyrodzone wyszukując w świecie materyalnym przedmiotów, które ludzkości pożytek przynoszą, bez pomocy sztuk pięknych obejść się nie potrafią. Najdokładniejsze opisy tworów przyrody, niemogą urzeczywistnić pewnych kształtów i farb cechujących te twory. Wzywają wtenczas malarstwa i rytownictwa, aby je objaśniały i dopełniały to, co pismem i słowami wyrazić jest niepodobnem. Ztąd to kraje dziś przezorniejsze, przestały się ograniczać nauką sztuki dotąd w szkołach, akademiach i instytutach dawanéj,— lecz owszem rozciągnęły ją do wszystkich gałęzi przemysłu i rękodzieł.

W życiu zaś przelotnem i pełnem cierpień, ileż przyjemności i wygód sztuki nam nie zapewniają? Kształt domów, formy sprzętów, upięknienie ogrodów, ich natchnieniem się uskutecznia.

Rysy osób drogich sercu, których życie zgasło, lub z któremi przestrzeń i wypadki nas rozdzielają, sztuki piękne przechowują rodzicom, żonom, dzieciom i przyjaciołom, wydzierając niejako zniszczeniu znikome ich formy.

Wypadki nareszcie narodowe i czyny znakomite pojedynczych obywateli, przechowują w obrazach, medalach, rycinach i posągach, chlubne do naśladowania wzory dla najpóźniejszych pokoleń. Nie bez powodów to nazwano sztuki piękne *kwiatem cywilizacyi.*

Co do Polski starożytnéj, we względzie ekonomicznym i przemysłowym, chociaż nie małoważne bogactwa żyzność ziemi naszéj wprowadzała do kraju, wszystkie zamiast ożywiania ogólnego przemysłu mieszkańców, tocząc się w ręce możnych, znowu od nich wypływały na zbywające krajowi przedmioty: ztąd w ówczas je-

szcze pod względem przemysłu, rękodzieł i prawdziwego bogactwa narodowego, już zostawaliśmy pod uciążliwym haraczem nietylko Włochów, Francuzów i Niemców, lecz nadto Turków i Tatarów.

Zasmucające tego haraczu ślady, spostrzegamy w konstytucyach, Voluminach Legum, i w instruktarzu cel nym litewskim *) i tam napotykamy nieprzeliczone przedmioty przemysłu i rękodzieł obcych, których barbarzyńskie nazwiska bez spolszczenia nawet, nie wstydzono się nam przekazać. Tam obok włoskich *czamchów* czytamy hollenderskie *falendysze*, szwedzkie *ingerniny*, niemiecki *obercuch*, grecki *bayborak*, wołoską *kamchę*.. Tam napotykamy turecki *Muchajer*, *altembas*, *daray*, *kaftyr*, tatarski *kindziach*, *buruńczuk* i t. p.

Sztuki piękne były naówczas w pogardzie, poniżeniu i zaniedbaniu u nas, gdy zżakowaciała uczoność, dumna swym Alwarem, przestała czytać Górnickiego wysoko ceniącego sztuki, a zapomniawszy że je niegdyś Krzycki i Zamojski mianował *praenobiles*, rzuciła na nie pedantyczny całun lekceważenia i obojętności. — Nie mogły przeto sztuki piękne wywrzeć czarownego wpływu swego na przemysł i rękodzieła krajowe. To dało pierwszeństwo utworom zagranicznym, które okraszone smakiem sztuk protegowanych u obcych, wysuszały wszelkie źródła bogactw naszych.

Stanisław August cenił i wspierał sztuki piękne, więc i one nie były obojętne dla kraju, równie jak dla przemysłu i rękodzieł krajowych. Zakłady w Szczorsach, Dereczynie, Słucku, Białymstoku i Grodzieńskie zakła-

---

*) Niemniéj także w piśmie: *Taxa Krakowska towarów cudzoziemskich, które przez Szląsko z Węgier do Krakowa, a potem po wszystkiéj Koronie idą, postanowiona r, 1633 &c. W Krakowie w drukarni Andrzeja Piotrkowczyka*, in folio, kart ośm.

dy Ant. Tyzenhauza, Ogińskiego i innych obywateli miłujących sztuki, są wymownym tego dowodem.

Teraz kiedy troskliwa opieka rządów, otworzyła dla zwolenników sztuk szkoły, nagrody i zaszczyty; kiedy Towarzystwo krakowskie, za jego przykładem warszawskie, zapowiadają troskliwą opiekę dla krajowych artystów i ich prac, widocznie podnosi się smak w Polsce, a przy coraz więcéj wzrastającéj pomyślności kraju, wywiera swój wpływ niemało ważny na wszystkie produkta krajowe.

Tak czynna pieczołowitość rządów i oświeconych obywateli, mnoży liczbę poświęcających się sztukom... Niektórzy pisarze już się lękają zbytecznego w tym razie przepełnienia nad miarę i potrzebę kraju... Co do mnie, ja go pożądam, — gdyż w tem przepełnieniu upatruję następstwo znane w historyi przemysłowéj włoskiéj, francuzkiéj, saskiéj, bawarskiéj i angielskiéj.

Niepodobieństwem jest, aby każdemu z uczących się sztuka zapewniała sławę i pomyślność, gdyż Bóg nie wszystkich pobłogosławił równym talentem i powołaniem, i nie wszyscy przystępują do niéj z równem wykształceniem naukowem: większa więc ich liczba odgadnie pewniejszy dla siebie gościniec i przeniesie swoje usposobienie do przemysłu i rękodzieł. Tem nie upośledzą oni sztuki i siebie, lecz owszem uzacnią, gdy krasząc przemysł i rękodzieła, pomnożą bogactwo i sławę krajową, a tem samem i dla samych siebie zapewnią przyzwoitsze wynagrodzenie.

Mógł Łukasz de Robbix ozdabiać kafle; — nie wstydził się Donatello a nawet Rafael malować półmiski; — mógł zresztą Benvenuto Cellini rzezać wazony i sprzączki, przestając na skromnym tytule złotnika, chociaż go talent zbliżał do Buonarottego; — dla czegóż więc i my nie mielibyśmy rozumniéj i poczciwiéj roz-

rządzić naszém usposobieniem, i wczas zaniechać płótna, kamienie lub niewdzięczną stalową blachę, gdy tysiące przedmiotów przemysłu czeka na nasze usługi?

Byłbym najszczęśliwszym, gdyby tego rodzaju uwagi przyczynić się mogły do przekonania ziomków, że sztuki piękne nie są jedynie środkami zabaw; zbytku lub rozkoszy; lecz bardziéj są one źródłem, okrasą i nie mało ważnym zasiłkiem przemysłu, potrzeb, wygód, przyjemności i bogactw krajowych.

Wszak Francya, lubo otoczona krajami umiejętnemi, przecież jéj twory sztuk ożywione zachętą, kilkudziesiąt milionami przychody Państwa powiększają. Rękodzieła nakoniec francuzkie i angielskie, w sztukach pięknych czerpią swój smak, kształt, lekkość i cenę.

Nakoniec sztuki piękne posiadając język, zarówno zrozumiały każdego kraju i mowy mieszkańcom, one to sposobem słodkim i uroczystym niekiedy łatwiéj przemawiają do serc ludzkich i pojęcia ogólnego, niżeli grube i poważne księgi.

Życzyć więc pozostało, aby ci którzy dotąd w poecie malarza widzieli, również w artyście postrzegli poetę i opiewacza. Wszak on nie inaczéj jak przy pomocy rozlicznych nauk i umiejętności, z większą może jak oni trudnością dościga swojego celu, gdyż jego kursem będąc *najobszerniejsza księga*, t. j. cała przyroda z przedmiotami pod zmysły i myśl podpadającemi, stawia go w tak trudnem położeniu, że jak sztuki z książek niepodobna jest nauczyć się, tak i jéj umiejętności pisaniem książek dowieźdź.

Oby przypomnieć sobie raczyli, że często przedmioty sztuk stawały się niewyczerpanem źródłem dla wielu uczonych pisarzy; a samo sklepienie kaplicy Syxtyńskiéj dało istnienie kilku tomom in folio... Nakoniec posągi medale i płaskorzeźby starożytne, ułatwiły Winkelmano-

wi objaśnienie w licznych foliałach wielu miejsc ciemnych w historyi greckiéj i rzymskiéj.

Przebaczyć raczy Pan Hrabia tak obszernym uwagom, przeistaczającym mój list w niejakąś rozprawę... Pozyskać dobroczynną opiekę Pana Hrabiego dla sztuk pięknych i zjednać łaskawe przyjęcie pracy mojéj, to są dwa cele pisma zbyt silno mnie obchodzące: ztąd pognały one myśl i pióro moje daléj może, jak przyzwoitość nakazywała.

Zostaję z najgłębszą czcią i uszanowaniem Pana Hrabiego sługa, ziomek i czciciel.

Paryż dnia 20 Stycznia 1858.

Antoni Oleszczyński.

NA
MONUMENCIE DRUIDYCZNYM
W BRETONII

napisał

JULIUSZ SŁOWACKI.

Jak ty mi jesteś wdzięczna
Duszeczko moja mała, *)
Słoneczna i miesięczna,
Prawie bez krwi i ciała.
Gdyś wysoko siedziała
Wśród jaworowych krzaków,
To ćwieki twych chodaków

---

*) Pasterka która tam baranki pasła.

Błyszczały mi na lica
Czerwoną zorzą ranną
Właśnie jak od księżyca.
Ty byłaś mi zarazem
Chłopeczką i Dyanną,
Zjawieniem i obrazem,
Dziewczyną i Dziecięciem,
Smutkiem i Wniebowzięciem.
    Włoski twoje jak zorze,
    Złote i przeźroczyste,
    Wiatr unosił na morze
    A we włosach ogniste
    Ranunkuły z doliny
    Jak maki Ukrainy,
    Zdawały się ogniami
    Które tobie do lica
    Przypięła guślarzyca
    Śpiąca w grobie pod nami.
Po pas twój szafir mórz
Przecinał cię na dwoje;
Nad głową, jak zawoje,
Jutrzenka pełna róż,
I chwasty w dyamentach
Około ciebie skrzyły;
A ty na monumentach,
Stróżka i duch mogiły
Z niewinnością na licach
Z nóżkami na księżycach.

HISTORYCY

DO KAZIMIERZA WŁADYSŁAWA WÓJCICKIEGO.

Długo, długo, świątynia dziejów naszych była
Jak ów tylko runiczny ółtarz, a mogiła,
Gdzie tylko Bard, ich kapłan, z podań lub natchnienia,
Odgadywał napisy; opiewał zdarzenia,
A lud klnąc je lub wielbiąc na śpiewaka wiarę,
Wciąż chciwy czynów nowych, nie baczył na stare.

Dziś inaczéj.— Synowska po Rodzicy żałość
Poczęła Mauzoleum, którego wspaniałość,
Z nagrobnego pomnika, już go dzisiaj czyni
Podobnym do przybytku Delfów Prorokini,
Gdzie duch ludu, jak kapłan na wieszczym trójnogu,
Przeszłość już swą sam w sobie, przyszłość czuje w Bogu.

O! chwała Wam, téj arki budownicy wierni.
Wbrew wichrom i piorunom, przez zapory z cierni
Znoszący, w znoju trwogą niezgiętego czoła,
Każdy swoj skarb, swą pracę— każdy co kto zdoła,

Głoski na słowa dziejów— aż z nich czas, mistrz Boży,
Sąd przeszłości, a przyszły horoskop ułoży.

Lecz któż w bratniéj téj pracy ku matczynéj
sławie
Lepszą część obrał dla się, jak Ty Władysławie!
Co nie z martwych ksiąg tylko, jak co kiedy było,
Lecz wprost z życia narodu czytasz jaką siłą
Stało się, co się stało: czém żyło, czém tchnęło,
Czem wzrosło, — wybujało— i przez co runęło,
I czem żyje na wieki w sercach,— które z Tobą
Spokrewnione miłością, wiarą i żałobą,
Odkryły ci swe tajnie, i przez słów twych echo
Tchną ku braciom nadzieją i krzepią pociechą.
I na głos Twój, jak skarbów zaklętych zasoby,
Lud Ci głębie swych podań, a ziemia swe groby
Otwarła — byś z nich na świat wywiódł po raz drugi,
Zasute źródła ducha i wzory zasługi,
I stawiąc je na ółtarz w téj świątyni nowéj,
Mnożył cześć i czcicieli chwały narodowéj.

Niechże Ci więc dodają i sił i otuchy,
Tu współczucie serc ziomków, tam wdzięczne ich duchy:
A gdy wspólne ich modły u tronu litości,
Wybłagają dzień Łaski i Sprawiedliwości,
A na tle burzy wstęga tęczowych promieni
Korab' potopu w arkę przymierza zamieni—
Imie Twe w jéj wyznawców i kapłanów rzędzie,
Aureolą jéj chwały wiecznie świecić będzie.

A. E. Odyniec.

LIRA PRZYJACIOŁKA.

Gdzieżeś moja szczęsna dolo
Gdzieś mi się podziała?
Od znużenia kości bolą
Broda posiwiała.

Posiwiała moja broda
Na chlebie tułaczym,
Sama z oczu leci woda,
Płacze, niewiem za czém.

Czy za moją za rodziną
Com jéj nieznał prawie,
Czy za miłą mą drużyną,
Za trzciną na stawie?

Jeśli płacze to nie za tem,
Lecz za oną siłą,
Co na boju z całym światem,
Tyle jéj ubyło.

Przy mnie, za mną wszędzie wrogi
Na me życie godzą,
A tu biedne moje nogi
Zaledwie że chodzą.

Hej! wy orły i sokoły,
Towarzysze sławni,
Na równiny obszar goły
Zlećcie się jak dawniéj.

Po co tobie dziadu śnieżny
Orła i sokoła?
Żaden ciebie ptak drapieżny
Obronić nie zdoła.

Lira twoja przyjaciołka
Jedyna pod ręką,
Opatrz strony, przykręć kółka
Pogadaj z lirenką.

Jeśli ona nie rozbroi,
Złych nie porozmiata —
To i przyjdzie duszy twojéj
Wędrować ze świata.

TEOFIL LENARTOWICZ.

MÓJ ŚWIAT.

Moje są moje — kryształowe zdroje,
Gdziekolwiek rosną jakiekolwiek kwiatki,
W ogrodach lilie, na polach bławatki,
Kwiaty i zdroje — wszystko to jest moje.

Moje są moje — czystéj myśli zdroje,
Łzy współboleści i łzy uniesienia,
Urok nadziei, tęsknota wspomnienia.
Smutek co cierpię i smutek co koję,
Myśl, łza, tęsknota — wszystko to jest moje.

Moje są moje te harmonii zdroje,
Głosy fujarek co rozbrzmieją nocą,
Moje są gwiazdy co jasno migocą,
Moje są pieśni, które z rana płyną,
Perłową srebrną od rosy doliną,
Spokój wieczorny i powszednie znoje
Gwiazdy, fujarki, pieśni... wszystko moje.

Mojem to wszystko co serce pamięta,
Szum drzew rodzinnych, woń skoszonéj łąki,
Woń tataraku na Zielone święta,
W Kwietnią niedzielę młodéj wierzby pąki,
Na Boże Ciało z ziół uwite wianki
A na Wielkanoc święcone kraszanki.

I w Narodzenie piosnka: „w Żłobie leży“
Powaga starców, wesołość młodzieży.
Przybycie gości, którym wszyscy radzi,
I gwarne głosy w izbie u czeladzi,
I coraz śmielsze skrzypków rzempolenie,
I to świąteczne serca rozrzewnienie.
I tryskające świeżych woni zdroje,
Świątki, pamiątki — wszystko to jest moje.

Moje to wszystko co już przebolało,
Ze smutków życia zbieram plon bogaty;
Spora wiązanka — cierni tam nie mało,
Ciernie są w ręku ale w sercu kwiaty.
Słonych łez zdroje — to ożywcze zdroje,
Lżejsza, czyściejsza dusza w nich omyta;
W boleści miłość najpiękniéj zakwita;
I Łaski Bożéj najobfitsze zdroje,
Spłyną na serce w boleści skruszone,
I najpewniejsze, najczystsze pokoje
Są te pokoje, które wywalczone
Nad świat boleści skrzydeł oto dwoje
Swobodną duszę niosą w Niebo czyste.
I znowu pola weselsze, ojczyste,
A oczy mgłami zwątpień nie przyćmione
Patrzą się w światło prawdy wiekuiste.

PIEŚŃ Z KSIĘGI MŁODOŚCI.

Do ***

Na Wschodzie, tėj krainie cudownych powieści,
Które wróżka Iranu na swem łonie pieści,
Opowiadają nam wieszcze:
Że gdy świat wstał z chaosu na Boże skinienie,
Róża była bezbarwną — a słowik w Edenie
Swych piosnek nieumiał jeszcze!

Lecz nagle, rozkochany w wonnėj kwiatów pani
Ptak, z niemėj dotąd piersi dobył dźwięków dla niėj,
I nucił z nocy do rana;
A róża rozsłuchana w tym hymnie miłości,
Oblała się rumieńcem dziewiczėj skromności
I odtąd wiecznie rumiana!

Tak i ja, — w cudzėj ziemi pielgrzym oniemiały,
Któremu obcym dźwiękiem twoje słowa brzmiały,
Widząc blask twojėj urody;
Zapragnąłem ci śpiewać, — a mowa wpół-znana
Wybiegła z mego łona, lekka i skrzydlana
Jak jaskółka w dzień pogody!

Podobny słowikowi co po nocach wiosny
Dla wonnéj kwiatów pani nuci hymn miłosny,
I ja śpiewam me płomienie; —
Lecz ty, nadobna różo twéj słonecznéj ziemi,
Czyż o tych pieśniach, które skrapiam łzami memi,
Zachowasz w sercu wspomnienie?

Konstanty Gaszyński.

RADY I ZWADY
NIEWIAST
O WIELOŻEŃSTWO.

Ze zbioru wiadomości o Krakowie

Józefa Mączyńskiego.

---

*(Dokończenie *).*

Na tych kobiecych sejmikach były kobiety wszystkich klas, gdyż zacząwszy od straganiarek, między ktòremi masz i włościanki z okolicznych wsi aż do tak zwanych z Bogatych kramów Kramnych pań, stojących najwyżéj na kobiecym świeczniku krakowskim. Boć tam są i Rajczynie i Kupcowe, a niemal powszechnie ubogacone tem wszystkiem, co kobietę czyni duszą i sercem polką. Jużto przez staranne wychowanie, jakie znajdują w klasztorach krakowskich Zakonnic, już przez to życie domowe wykończające ich wychowanie, gdyż stosunki handlowe ich ojców i mężów wprowadzające

---

*) Patrz zeszyt kwietniowy.

w ich domy ludzi z wszech stron świata naglą je by to książką, czyli też rozmową oświecić swój umysł, aby wstydu sobie nie zrobić swoją niewiadomością, lub postępowaniem przed obcymi. Więc też was zaprowadzę najprzód pomiędzy te Panie Kramne rozważające, że niepodobieństwem jest, aby wieść o wielożeństwie prawdą była. Wówczas to do otaczających ją koleżanek mówiła żona Michała Apotekaryusa zamkowego.

Bóg nic nie czyni w porządku natury, czegoby niepoddawał łasce poświęcającéj. A że ten Bóg na początku świata stworzywszy człowieka rzekł: „*Niedobrze mu być samemu, uczyńmy mu towarzyszkę*“, więc gdyby było wolą Boga, aby mąż posiadał więcéj jak jedną żonę byłby mu zaraz w Raju nie jednę ale kilka stworzył.

Moja kochana, rzekła Rajczyni Salomonowa, wiem, że Bòg tak chciał i chce, lecz i to wiem, że ludzie niewszystko tak czynią jak Bóg nakazuje. Przeto mogą się znaleźć tacy, co nie będą zważać, że małżeństwo powinno stanowić jedno tylko ciało, poświęcone na wieki ofiarą świętego obrzędu podczas którego błogosławieństwo kapłana wyciska nań pieczęć, świadkują przytem Aniołowie, a Ojciec Niebieski związek ten potwierdza.

Nato odezwała się Mężykowa, po zamożnym kupcu krakowskim wdowa. — Zgadzam się na to, ale musi mi pani Rajczyni przyznać, że w małżeństwie Bóg dał żonę mężowi, aby mu była pomocą przedewszystkiem w jego potrzebach duchowych. Powinna przeto budować go przykładnem życiem, naprawiać świętemi natchnieniami i poświęcać cnotami. Jeżeli posłannictwu temu małżonka zadosyć czyni, wtedy niema obawy, aby jéj mąż rozrywał ten święty węzeł małżeństwa, zawiązany przez Boga, bo przez jego kościoł, więc węzeł nierozerwalny przez nikogo, a nawet przez samego Boga, gdyż on nigdy dzieł swoich niezmienia ani niweczy.

Wam snadno tak mówić i winę składać na żony, odpowiedziała Rajczyni, bo świętej pamięci wasz małżonek choć był, jak powinien według pisma Bożego panem i rządził wami, ale wyście w rzeczywistości byli tą mądrą kobietą umiejącą go nakłonić do swojéj woli. Ale gdyby was Bóg nawiedził takim małżonkiem, jak się to często zdarza, którego haniebna i bezwstydna namiętność rzuci pod władzę niecnych kobiet i uczyni tych podłym niewolnikiem, który tyranizowany przez nie, tyranizuje nawzajem swoją żonę, tobyście tego, coście mówili, niepowiedzieli.

I wtedybym powiedziała, mówiła Mężykowa, ale obwiniając siebie, żem musiała niewypełniać jak należało tych obowiązków, jakie mają żony, będąc jakoby kapłankami rodziny.

Kapłany kościoła naszego, odezwała się Michałowa, wypełniają, i są jakiemi być powinni, a cóż się dzieje?

Prawdę mówicie, rzekła jej na to Mężykowa, że mamy takie kapłany ale zabaczyliście, że ci, którzy takiemi nie byli, oni właśnie stali się sprawcami tych herezyj, w które świat popadł.

Milcząca dotąd Pernusowa kupcowa z pod Jaszczurek dała się tak słyszeć. — Pozwólcież sobie powiedzieć moje koleżanki, że gdy się pali niepytać w ówczas skąd powstał ogień, ale go gasić należy. Więc was do tego wiodąc przypominam, że niemal wszystko, co się na świecie stało wielkiego, a nawet cudownego, to się stało przez kobiety, ciągle się pojawiające, a jaśniejące wielkiemi cnotami. Nam usiłować iść ich śladem należy jeżeli niechcemy grzeszyć, że w poniewierce mamy tę godność do jakiej nas podniósł Bóg, żądając, aby co nieszczęsna Ewa straciła zwróciło łono Dziewicy, łaską niebios obdarzone, a płodne mocą Ducha świętego.

Słuchając tych słów, rzekła Rajczyni Salomonowa, Zdaje mi się, że przez usta wasze przemówiła Błogosławiona Królowa Jadwiga, przypominając nam obowiązek błagania Boga, aby powstrzymał tę klęskę zagrażającą Polsce, bo my tylko modlitwę na obronę mamy.

Uścisnąwszy ją Pernusowa tak daléj mówiła. — Do słów waszych podchlebnych dla mnie, a mądrą bo pobożną radę dających, dopowiem. Jeżeliby prawda była, że nasz król za nic mając wolą Bożą targnął się nagodność kobiety i jak bisurmanin myśli w seraju zamknąć swoje żony; jeżeliby prawda była, powtarzam bo niepodobnem jest dla mnie wierzyć, aby to zrobił ten któren jak on tak kochał i czcił kobietę, a swoją małżonkę Barbarę, i jeżeliby obłąkał sejmujące pany, a nieznaleźli się między Polakami tacy, którzyby śmiało zawołali — August nie pomazańcem ale potępieńcem jest nieba i nie jemu dzierżyć rządy nad nami; wtedy my Polki zawołajmy to, a może Bóg zrządzi, że znów kobiety w Polsce ocalą nieskalaną niczem tę naukę Chrystusa, którą jéj kobieta przyniosła. Wszak także kobieta nieulękła wściekłości Faryzejskiéj słaba naturą, ale silna miłością i wiarą, wyprzedzając nawet Apostołów ogłosiła Chrystusa Bogiem. Daj nam Boże jej silną miłość i wiarę.

Daj nam Boże, powtórzyły wszystkie obecne, a klęknąwszy modlić się poczęły.

Zostawmy je znów modlące się a przejdźmy na drugą stronę Sukiennic i wstąpmy do szewskich jatek, kędy Panie Majstrowe także się naradzały przestraszone tem wielożeństwem. Tu już nie podobną jak powyżéj rozmowę prowadzono, ale przy drzwiach słyszeć było płacz jednéj Pani Majstrowéj, z którą mąż pokłóciwszy się w domu odgrażał jéj przybraniem drugiej żony. Płacz nieutulony perswazyami otaczających ją koleżanek, a nawet przysięganiem się i zaklinaniem, że każ-

dego szewca pojmującego drugą żonę na sztuki rozerwą. Pod kopułą zaś w tych jatkach odbywała się następna scena, a to z pojawiającą się między niemi, że tak powiemy Apostołką wielożeństwa, a którą była Kordula, Gerwazego Szewca córka, Panna, ale panna doletnia, bo już piątym krzyżykiem lat nakarbowana. — Ona to siedząc tu w ojcowskiej jatce ośmieliła się objawić głośno swoje zdanie, że wiadomość o zaprowadzeniu wielożeństwa radość jéj sprawia. Co posłyszawszy panie Majstrowie powyskakiwały z swych jatek, a do niej przybiegły. Kordula ubezpieczając swoją osobę oparła się plecami o scianę, a rękę uzbroiła butem mogącem jéj zastąpić oręż, bo butem naszych włościan z żelaznemi podkówkami. Lecz chociaż tak zbrojną była, a na jéj pożółkłéj twarzy wystąpiły rumieniaszki, które tylko złość już wyprowadzała, ta złość, która także tylko i oczy jej zaiskrzyła i chociaż wszystkie wiedziały, że ta złość rozjadzająca się przez tyle lat zawiedzionemi nadziejami małżeństwa prawie jéj rozum odbierała, jednak nieulękły jéj się i niecofając rozpoczęły z nią to krakowskie gębowanie. Jedne wołały, — Czyliż myślisz że znalazłby się taki mężczyzna, któryby ciebie z twem przekwitłem panieństwem za drugą, a nawet za setną pojął żonę? — Drugie wołały — wyrzućmy tę heretyczkę z pomiędzy siebie, co śmie Sakrament Małżeństwa za nic mieć. — A inne, wiedząc, czem jej mogą do żywego dokuczyć, zaczęły wywodzić różne zdarzenia z jéj życia krzycząc na nią, aby jako niegodna zrzuciła z głowy różany wianek a pokryła ją rąbkiem i czepcem.

Kordula chcąc się pomścić na nich za te mowy, ciągle im prawiła, że niechciała i niechce iść za mąż, ale tylko płeć męzką znienawidziwszy pragnie powiększyć mężowskie cierpienia, więc ich niejedną, ale kilku żonami obdarzyć łaknie.

Na szczęście naszéj staréj panny Korduli pojawił się poprzed jatkami jéj ojciec, bo już naprzeciw niej stanęło kilka Amazonek podobnie, jak ona uzbrojonych i walkę z nią stoczyć gotowych. Wybiegło przeto do niego kilka Majstrowych, a opowiedziawszy mu tę jéj herezyą, prosiły, aby ją im zabrał.

— Albo ona mnie usłucha, kiej jest tak rozindyczona, odpowiedział Gerwazy.

— A niemacieżto w ręku tej laski, odezwały sie Majstrowe.

— Przecięż tę diablicę ztąd mą laską nie dosięgnę, a wnijść mi w jatki niewolno.

— Pozwalamy to na ten raz, wołały jedne a drugie upewniały, że gdyby za wnijście w jatki od cechu skaran był, to one choćby i kamień wosku za niego zapłacą. Lecz on im nato rzekł: — Jubilatem już jestem w cechu, a karan w niem nie byłem, więc tę chlubę moją czyliż chcecie, abym dał diabłu na ofiarę, któren pali, jak mówi przysłowie, w starej pannie. Ale chcąc wam pokój wrócić idę prosić Hutmana ratusznego, aby dał jednego Ceklarza, któryby wywiódł ją tylko z jatek, a ja wiem, co daléj zrobię niechcąc sobie i wam tego wstydu robić, że z naszéj profesyi majsterką córkę ciągnął Ceklarz do ratusznych kabatów. — Jak powiedział tak zrobił, a przybyły z nim Ceklarz wyprowadził ją z jatek i oddał w ręce ojcowskie, które za przybyciem w mieszkanie, ujętem pociągiem osmaganéj potężnie pannie Korduli radość z wielożeństwa zamieniły w bolesny smutek.

Łatwo było panu Majstrowi Gerwazemu nadybać zaraz pana Hutmana, bo on w tym dniu wraz z Ceklarzami wartował prawie ciągle pomiędzy kramy i stragany, gdyż jakby Comber był, tak się wszystko tu działo. Na frasunek dobry trunek, więc kramarki i straganiarki dalejże to po piwo, to po miód i po gorzał-

kę, a częstując się uraczyły siebie tak, iż rozpoczęły śpiewy i tany po rynku.

Chwytając zaś na przechodzących mężczyzn pytały, czyli chcą mieć więcéj żon jak jednę. Tych którzy je upewnili, że dość im na jednéj, okoliły pląsając, przeciwnie zaś odpowiadający nie tylko złorzeczenia, ale nawet i kułaki odbierali. A było takich nie mało, bo znaleźli się w Krakowie tacy, co ostrzyli sobie ząbki na powtórne weselne gody, a uszczęśliwieni tem prawiąc innym duby piją wykrzykując — *Na frasunek dobry trunek*, a my wykrzyknąwszy sobie: *Lecz lepiéj smakuje, gdy się radość czuje.* Chodźmy się napić. Pijąc przeto i innych częstując popoili ich i ztąd, jak powiedziałem nie mało znalazło się takich, co na kułaki tych Bachantek rynkowych narażeni zostali, Lecz między temi najwięcéj było mężów, co tylko po pijanemu o drugiéj żonie myśleli i mówili, a byli w rzeczy saméj podobni owym koniom, które wylecą ze stajni, aby się trochę wybrykać, a potem wracają do zwykłego żłobu.

Tak było w dniu tym, tak było i w następnym. Gdy zaś na szczegóły niemamy tu miejsca i tyle tylko ich przytaczamy, ile naszem zdaniem nieodzownie potrzeba do wskazania co się podówczas w Krakowie działo, przeto dość na tych szczegółach, a wolę was jeszcze o tem co następuje, zawiadomić.

Ojcowie duchowni w troskliwości o dusze ludzkie posłyszawszy obiegającą Kraków nowinę i widząc, co w nim wywołała, zaczęli jedni drugich pytać, co w takiem razie robić mają. Więc aby to orzec odbyła się narada w Konsystorzu. Nie było na niej Biskupa Padniewskiego, bo towarzyszył królowi w Parczowie, ale był X. kanonik Nidecki Andrzej, zrodzon w domu Patrycyuszów krakowskich, a późniéj Biskup Wendeński i Inflancki, ten mąż prawdziwie uczony a skromny i

świątobliwy, którego wspomniony Biskup jako pomocnika do spraw duchownych w domu swoim miał. X. Nidecki to wtedy mitygował obawę przypominających, iż już tyle rozwodów nastąpiło w Polsce z powodu wielożeństwa i prawiących, że gdy wśród tak upowszechniającego się wielożeństwa i król się go dopuści, Bóg wie co się stać może. Radzili przeto niektórzy, że dobrzeby było, aby nawet złączonemi siły z heretyki powstać na tę naukę, bo ona nietylko prawom kościoła, przeciwną jest, ale i niszczącą moralność. X. Nidecki to wtedy powiedział:

— Niemacie się czego lękać o Kościoł, bo go ani rozumem, ani siłą zwalczyć niemożna. Gdyż rozum Boży przez niego mówi, a siła Boża nim włada. Jeżeli zaś co się dzieje w Krakowie, ranę waszym sercom zadaje, to niech boleść łagodzi tylokrotnie okazana prawda, że prześladowania, a nawet męczeństwo jest rano wytrębywany hejnał dnia uświęconego, tryumfem w kościele Chrystusa. Ja ten hejnał słyszę w głoszoném wielożeństwie, gdyż niejeden z heretyków pozna do jakich szaleństw wiedzeni są naukami swych nowych wiarek, dozwalających im nawet i wielożeństwa. Gdyż wiara, która odjęła związkowi małżeńskiemu świętość Sakramentu, cóż może mieć przeciw pojęciu tylu żon, ile się komu podoba?

W podobnéj myśli ułożona odezwa Konsystorska do duchowieństwa zaraz przez ich Kursora obniesiona, doszła prawie do wiedzy wszystkich katolikow. Odezwa ta wykrywająca katolikom, co są takie wiary, które i wielożeństwo możebnemi czynią otwarła na to oczy i żonom heretyków i widziały, że z odjęciem należnéj czci tej, w któréj Twórca najwyższy w otoczeniu jéj żywota mieścił się, odjęto także kobietom ten charakter, jaki przybrały przez tę tajemnicę wcielenia.

Myśli te, jakie uczucia zrodziły, każdy pojmuje, więc już wié, co żony dokazywać musiały w heretyckich domach z swymi mężami, przeto jaki taki, jeżeli tylko mógł rad był wydobyć się z domu, aby choć kilka chwil w spokojności przepędzić. Nastręczył niektórym Pauli tę sposobność wzywając ich w trzecim dniu téj wojny domowéj do siebie na naradę, co począć z sierotami po Ochinie. I przybyło ich też ale tylko ze dwudziestu. Gdy żaden z tych do domu niemiał się poco przyjemnego spieszyć, przeto ta narada przerywana różnemi gadaninami przeciągła się w późny wieczór.

Niecierpliwił się tem i gniewał znany wam szewc Scypio, któren pełniąc obowiązki kamienicznego Dwornika chciałby bramę zamknąć i iść spać. Pragnąc w tem stanie się pocieszyć poszedł w podle do miodziarni i w kilku szklaneczkach wypitego miodu znalazł pociechę. Za swém powrotem już nie sarkał, ale siadłszy na kamieniu w bramie nócił jakieś włoskie trele i delektował się wieczorem piękném, a księżycem oświeconym. Wtem ktoś klepnął go w ramie— Scypio zwrócił oczy na niego, a te ujrzały stojącego przed nim Ochina w białéj jakiejś szacie. Na widok ten przestraszon zrywa się z siedzenia a krzycząc — Topielec! Topielec! wpada na dziedziniec. Na krzyk jego wybiegła na ganek pani Paulowa wraz z sługą Ochinową i pyta czego krzyczy a usłyszawszy — Topielec Ochin pokazał mi się — powiedziała mu — Widzę z tego, żeście się znowu spili.

Tak mówiła, ale ją strach przejął i gdy z bojaźnią spogląda koło siebie zobaczyła na drugiéj stronie ganku białą jakąś osobę. Zobaczyła wraz z nią i sługa Ochinowa, ale ta rozpoznała także, że to był Ochin, więc wykrzykła — Vampiro! a zasłaniając sobie oczy uciekać zaczęła, a za nią, ma się rozumieć, i pani Paulowa.

Tak strwożone kobiety ledwo wleciały między obradujące heretyki, krzycząc z całego gardła jedna — Ochin! Topielec! a druga — Ochin! Vampiro! A tu wszyscy we drzwiach zobaczyli ukazującego się Ochina z twarzą trupiéj białości i nie w zwykłem ubraniu, ale białą opończą okrytego. Na ten widok oniemieli, pobledli, a kilku z nich wykrzykło — Czarta sprawa! pomnąc, co on dokazywał z samym Lutrem zwłaszcza, ile razy zebrał sobie gromadkę, aby jéj światło Boskie ukazać. Więc też i teraz myśleli, że ich zebraną gromadkę czart niepokoi. Lecz zostawcie ich w tym stanie upokarzającym mężczyzn bez męzkiego charakteru, a posłuchajcie, co wam wyjaśnić ma to że tak powiem pojawienie się Ochina pod Baranami, które w téj chwili są temu domowi najwłaściwszem godłem, bo mieścił w sobie to stado spłoszonych baranów.

Lecz chcąc dać wyjaśnienie zkąd upiorem został Ochin trzeba nam wrócić w te czasy kiedy on z Mazzem wyjeżdżał do Parczowa i powiedzieć że szczęśliwie tę drogę przebyli i Mazzi, jak chciano, niepoznanego od nikogo Ochina przywiózł aż do Siemienia włości Branickiego gdzie król na tedy osadził Giżankę, z jéj matką, niechcąc jéj bytnością w Parczowie drażnić biskupy i katolickie pany już i tak sarkające na to rozwiozłe życie jakie wiósł. I tylko Mikołaj Mniszech z żydem Egidem stósownie do woli króla potajemnie mu Zuzannę przywozili do Parczowa, to do Siemienia, z królem przyjeżdżali.

Zaprowadzony przez Mazzego do Giżanki Ochin, gdy oddał jéj list Paulego, a ta po przeczytaniu dowiedziała się, że on jest, jak go Pauli uważał, samą mądrością zaraz prosiła Mazzego, aby będąc dla niéj tłumaczem, upewnił Ochina iż dla takiego człowieka, jak on, rada będzie być pomocną, a może go nawet z sobą dziś jeszcze zabierze do Parczowa, jeżeli pojedzie.

Ochin jéj zato sam podziękował, wiedząc że chociaż niemówi, ale rozumi po włosku, gdyż uczy się tego języka, pragnąc, aby żyjąc na królewskim dworze niebył jéj obcym ten język dworski.

Widząc Mazzi i to uprzejme przyjęcie, a nawet zadowolnienie Giżanki z przybycia Ochinowego, uważając się sprawcą tego umyślił sięgnąć dla siebie po nagrodę, któréj otrzymanie, jedynie go do wzięcia z sobą Ochina namówiło. Pomyślał wtedy bowiem, że w nagrodę zato otrzyma Giżanki protekcyą, potrzebną mu do przebłagania Króla za zatrzymane zbyt długo na poczcie listy królewskie tyczące się summ pożyczonych przez zmarłą matkę jego Bonę królowi Hiszpańskiemu Filipowi II.

Gdy on prosił o tę protekcyą, ona rozważywszy, że za nią można otrzymać zapłatę, od tak zamożnego człowieka, jakim był Mazzi, to mu powiedziała.

— Ja u Króla, i u kogo trzeba będzie wszystko zrobię, ale mi do tego pomocą być musi mój szwagier Szawłoski, więc się do niego także zgłoście.

Usłyszawszy to Mazzi już wiedział, o co rzecz idzie, świadom będąc, że ten jéj szwagier wyłygał i dla Giżanki i dla siebie podarki i pieniądze od tych, co do niego byli odsełani. Więc gdy dość zimno dziękował jej po tej wiadomości, że trzeba będzie brzęknąć kieską, ona mu rzekła wskazując na Ochina.

— I w tego mędrca i waszym interesie trzeba, żebyście mieszkania mego nieporzucali, gdyż patrzą pragnące me oczy otwarcia tych drzwi, bo pewną jestem, iż za chwilę stanie w nich ten, co mnie uszczęśliwi wiadomością, iż król stęsknion pragnie popieścić się swoim najmilszem, jak nas zwie Sokołem.

Jakoż ledwie te słowa wymówiła, a nagle drzwi się otwarły i w nich ukazał się nie posłaniec królewski, ale sam król August z tem obliczem, które niewiedzieć

co pokryło bladością, czyli jego cierpienia, czyli rozpustny żywot, ale które zawsze należne poszanowanie temu pomazańcowi Boskiemu jednało. Lecz na tem jego obliczu nauczona wszystko wyczytać Giżanka wyczytała, iż nierad jest, iż nie jest sam i nie może, jakby zrobił, rzucić się w jéj objęcia. Więc przedewszystkiem rzekła do Mazzego — Ustąpcie na chwilę — A nieczekając ich nawet wyjścia przyskoczyła do swego królewskiego kochanka a przyciskając jego rękę do ust, okryła ją pocałunkami.

Gdy te Włochy kłaniający się pokornie a spoglądający błagalnie na Giżankę opuścili jéj komnatę, wtedy usłyszała to żartobliwe zapytanie królewskie.

— Cóż to moja Zuzanna robiła z temi starcami?

Na to zapytanie zasępiła się jéj piękna twarzyczka i smętnym głosem, po czułem westchnieniu powiedziała:

— Czyliż już jestem dla was mój królu Zuzanną!

Pojmuje August całą jéj boleść, powstałą z przypomnienia, tem imieniem kochanicy jego Zuzanny, którą dla niéj porzucił, więc pragnąc wyswobodzić ją jak najskorzéj z tego cierpienia ujętéj w swoje objęcia rzekł:

— Ty Zuzanną dla mnie nigdy niebędziesz, boś ty Basia, a Basiom to jak baszom myśmy niewolnik.

Rozradowana temi królewskiemi słowy, tuląc się do jego łona najserdeczniejszemi uściskami i całusami wypowiedziała mu jak ją uszczęśliwił tem przyrzeczeniem. Ale jéj pieszczoty wzajemnemi niebyły odpłacone, bo zdaje się, iż August gniewny na się, iż mógł choć żartem tę kochanicę na równi stawić z ubóstwioną Barbarą i jak tę nazywał tak tę nazwać swoją Baszą, więc tylko uścisnąwszy jéj rękę i pocałowawszy w czoło, jakby dla zajęcia czém innném myśli, zapytał.

— Powiedz, kto jest ten poważny starzec, który wyszedł jeżeli się niemylimy z naszym zawiadowcą włoskiéj poczty?

Giżanka nie rada przerwać rozpoczętych pieszczot na to mu odpowie:

— Potém o tém, gdyż przedewszystkiém trza mi dla spokojności, dla szczęścia mojego wiedzieć o zdrowiu waszém mój królu! — A całując go w oczy dopowiedziała: — Bo te gwiazdy moje niebłyszczą, ale jakby z za chmurki na mnie spoglądają.

— Nie chmurka to tak je ćmi, mój Sokole, ale chmura, przygnana nie słabością własną, gdyż Bogu dzięki zdrów jestem, ale obcą więcéj niźli słabością gdyż chorobą, w jaką widzę popadnie nasz kraj z śmiercią moją. Pragnę mu być lekarzem i pracuję w Parczowie nad zjednoczeniem Prus i Litwy z Koroną, ale kłótnie...

I przestał daléj mówić jakby przypomniał sobie, że nie tu miejsce dla takich żalów i powtórzył pytanie, kto był ten starzec, którego zastał.

— Przeczytaj mój królu ten list, to będzie znana historya tego starca.

Gdy rozłożył podany list i przeczytał zamieszczony w nim podpis Grzegórz Pauli z Brześcia, rzekł:

— Czyliż ten wartogłów niezamarzył moją kalwinkę na aryankę przedzierzgnąć?

— Nielękaj się o to mój królu, moja wiara i moja miłość ku wam razem ze mną pogrzebane zostaną.

Lecz król August nie zważał na to, co ona mówiła i nic jéj nieodpowiedział, bo gdy z listu powziął wiadomość, że ten starzec jest Ochinem, zaraz myśl jego Bóg wie gdzie go uniosła. Popadł w ten stan, w którym sam z sobą człowiek rozmawia, a zdradza tylko tę prowadzoną rozmowę głośniéj czasem wymówionemi słowy, a temi wówczas były: Lękałem się spotkania i z tym człowiekiem, choć pragnąłem go poznać. Jego powierzchowność zajęła mię, a cóż dopiero jego rozmowa. Aryanów to sprawka. Auguście! ty nieskalasz pamięci przodków twoich!

I po tych ostatnich słowach dających mu, jakoby tarczę osłaniać go mającą, obrócił się do Giżanki, prze-

lękłéj tą że tak powiemy walką, wywołaną jego słabością, i to jéj powiedział:

— Żal nam, iż czas, cośmy mieli z sobą przepędzić trzeba poświęcić dla tego Ochina, któremu niemożna odmówić widzenia się z nami. Wolimy, aby to nastąpiło tu, aniżeli pod te czasy wśród sejmujących w Parczowie. Więc zamieniamy tę twoją komnatę w posłuchalną salę, a kochana Basia zastąpi nam podkomorzego wielkokoronnego i strzegąc, jak on winien porządku i przystojności na dworze naszym, przywoła tego posła aryańskiego.

— Przywoła, bo każesz, mój królu, ale bolejąc, iż zrabowaną ma przez niego jednę z tych chwil, które tę ziemię w raj jéj zmieniają.

— Wynagrodzim ją sobie, Basiu, gdyż skoro wieczór zaciemni oczy ludzi, Mikołaj Mniszech po cię zajedzie i przybraną w opończę, przywiezie w nasze objęcia do Parczowa.

Giżanka, w okazaniu radości na tę wiadomość, klękła u nóg królewskich a ucałowawszy je, w pląsach wybiegła z komnaty, aby przywołać Ochina.

Lecz jak w ówczas za wnijściem jego zamkły się drzwi komnaty i nikt niebył, coby usłyszał ich rozmowę, tak jéj téż i teraz odemnie nieusłyszycie, bo katolikom czytać, a tem więcéj mnie pismem ogłaszać podobne bluźnierstwa, z jakiemi w ówczas Ochin wystąpił, grzechem jest. Jaką ta rozmowa być musiała pojmiecie kiedy nią Ochin ośmielał króla na czyn, który, według wyrazów naszego kardynała Hozyusza „*Byłby świat cały i wszystkie żywioły na Polskę oburzył i onę w jedném mgnieniu na niwecz strawił.*“ Bo rozważcie, że on w tej rozmowie namawiał króla na wielożeństwo, kiedy ze swoją żoną niemoże żyć, ani rozwodu otrzymać. Niebyła to świeżo wybuchła myśl u tego starego uwodziciela, gdyż z nią jechał do Polski. Żeby nawet

do przyjęcia jéj usposobić biedującego Augusta, przed wyjazdem w napisanych i wydanych swych djalogach, a mianowicie w dwudziestym pierwszym, ofiarowanym bractwu bolesnych i cierpiących małżonków, wznowił zgorszenie poduszczaniem wielożeństwa.

Żebyście chytrą zdradliwość tego Włocha poznali, a zarazem, jak silne musiały być wówczas jego namowy, a silniejszą nad nie wiara naszego króla, więc wam to o tym dyalogu wspomnę. W nim Ochin rozmawia z jednym z takich bolesnych i cierpiących małżonków o tém, że mając żonę nie do swojego serca, słabowitą, niepłodną, ażaliby niemógł dobrém sumieniem przy niéj drugiéj pojąć. Na to Ochin odpowiada: Broń Boże! Ztąd powstaje między nimi spór. Ten małżonek dogrzewa Ochinowi tekstami z dawnego Zakonu i z tego przykładami patryarchów. Popiéra te swoje dowody uwagami fizycznemi oraz przewyższającym pomiarem w liczbie ogólnéj ludności płci niewieściéj nad męzką. Ochin niby odcina się jako tako, jednak oręż jego coraz tępieje, a niezdoławszy niby żadnym sposobem ani przełamać, ani zbyć się przeciwnika odséła go do modlitwy. Ten mu przysięga, że napróżno modląc się składa a składa ręce do Boga a to nic nie pomaga. W tedy Ochin mu powiada — „Jeżeli chęć pojęcia drugiéj żony masz za prawdziwe natchnienie Boskie, niemogę ci inaczéj radzić, tylko pójdź za tym głosem.

Co w tym dyalogu prawił ów bolesny i cierpiący małżonek, to w rozmowie z królem Augustem wyszło przeinaczone z ust Ochina, a August to mu odpowiedział, co w dyalogu Ochin, tylko z tą różnicą, że on niezakończył téj rozmowy jego faryzeuszowskiemi słowami, ale mu powtórzył, co przedtém oświadczył Legatowi Commendoniemu gdy starał się o rozwód z królową: „*Nic ja* „*czynić, nic otrzymać nie chcę, jak to, co z prawem i* „*wolą Ojca świętego zgodném będzie.*“ I dopowiedział

mu: Mam słabości, bom człowiek, ale nazbyt miłuję mój kraj rodzinny abym nań sprowadził nieszczęścia, w jakie Francya i Anglia popadła z podobnych przyczyn. Nie umrę dla ojczyzny, aby żyć w nierozumnéj waszéj religii, i niepójdę świeżym śladem Filipa Landgrafa Heskiego, przybierającego do pierwszéj żony Krystyny, drugą ślubną żonę Małgorzatę de Saal, choćby mnie, jak jemu i Luter i Melanchton i wszyscy najpierwsi wasi mędrcy powiedzieli, że tem nie grzeszę i nie obrażam Boga.— A teraz żegnam was, a żegnam na zawsze.

Usłyszawszy Ochin te słowa i widząc rozognione gniewem łagodne królewskie oblicze zaniemiał, i wśród mnogich ukłonów wycofał się za drzwi, któremi zaraz wpadła czychająca na widzenie się z królem Giżanka.

Oczy jéj, spotkały się z marsowem wejrzeniem, którém król patrzał na odchodzącego Ochina; to powstrzymało ją prawie przy drzwiach, lecz August nagle do niéj przystąpił, i zapytał:

— Czyli wiedziałaś z czem Ochin do nas przybywa?

To wszystko taką ją trwogą przejęło, że ledwie drżącym głosem wypowiedziała:

— Jak mi Bóg miły o niczem niewiem.

— Wierzę, bo chwila rozwagi, a niebyłbym się nawet o to i pytał. Wszak niemożesz nawet marzyć, abyś została królową.

— Królu mój, miéj litość! Zabija mnie sama myśl, żem rozgniewać mogła. Raczcie wypowiedzieć o co tu idzie.

— Rozgniewał nas ten wartogłów stary —powiedział król łagodniejszym głosem i już ściskając jéj rękę—w gniewie niema człowiek rozwagi, więc myśleliśmy, żeś i ty z niemi w zmowie.

— W zmowie! przerwała Giżanka — przeciw temu, co mnie z prochu podniósł! — A płacz jéj niedał dopowiedzieć co chciała. Ale ten płacz wymowniéj od niéj przemówił do serca Augusta, a wśród uścisków i pieszczot

wynurzył się przed nią, że go Ochin wiódł do wielożeństwa.

Z posłyszeniem tego Giżanka zadrżała, ale już nie z trwogi, ale ze złości, pomnąc na dopiero słyszane słowa królewskie, iż niemoże nawet marzyć, aby została królową, poznała, że gdyby posłuchał rad Ochina onaby drugiéj małżonce miejsca ustąpić musiała. W téj złości błagała króla, aby Ochina ująć natychmiast kazał i oddał Sądom duchownym, by karan był za szerzenie takich bluźnierstw — Ale jéj August nato odpowiedział:

— Męczenie za niewiarę niewiedzie do prawdy ale do kłamstwa, które mam za najpodlejszy występek. Zresztą moja Basiu i tobie, jakem zwykł wszystkim mówić powiem: zostawmy to do jutra. Teraz zaś ukoronowany sługa musi wracać do Parczowa, bo go tam jego pany czekają.

— A wieczór! odezwała się Giżanka, mile spoglądając, i usłyszała:

— W tem niebędziemy Królem *dojutrkiem*, jak nas zwią i po cię Mniszech dziś przybędzie.

Czekał niecierpliwie odjazdu króla ów Mazzi, co przybył z Ochinem. A gdy ten króla bałamucił, on idąc za radą Giżanki wytargowawszy się z jéj szwagierkiem o swój interes, pozłocił już ich kieski odliczonem złotem i spieszno mu było dać jej to poznać i polecić się opiece. Więc jak tylko zobaczył odjeżdżającego króla spieszy do jej komnat. Lecz za wnijściem gdy go zobaczyła Giżanka, przyskakuje do niego a to z oczami w których Mazzi piekło zobaczył. A ściśnioną pięścią migocąc mu przed oczyma wśród złorzeczeń i przekleństw wypowiada mu swoją zemstę za przyjechanie z Ochinem, aby Króla namówić na wielożeństwo.

Chciał się Mazzi tłumaczyć, ale już niemógł przemówić ani słowa, bo na Giżanki wrzaski przybiegła jéj

matka a dowiedziawszy się o téj sprawie zawtorowała godnie swéj córeczce.

Oczom Mazzego przedstawiające się te kobiety, jak dwie czarownice, na pamięć mu przywiodły, że mówiono, jakoby one swemi czarami na uwięzi trzymały króla. Z myślą tą ogarnia go obawa, aby i on nie stał się ofiarą ich czarów. Więc zamiast tłumaczeń zaczął wzywać opieki Boskiéj, a żegnając się, wybiegł z mieszkania Giżanki.

Wyswobodzony Mazzi z jednéj obawy zaraz pochwycon został przez drugą jakby wołającą na niego: uciekaj i schroń się, bo gdy o Ochina szaleństwie rozgłosi się, to cię gotowa szlachta wraz z nim rozsiekać szablami. Lecąc też prawie, wpada do karczmy i krzyczy na swojego woźniaka, aby jak najprędzéj zaprzęgał, a sam spieszy do izby, żeby spakować i zabrać swoje manatki. Tu zastał Ochina siedzącego z podpartą głową, bo na nią zwalił się ciężar niemały z rozburzonych przez Króla marzeń i nadziei, z któremi przybywał. A zastawszy zaraz zaczął czynić mu wyrzuty, iż mógł narazić go na takie, w jakiem zostaje niebezpieczeństwo i oświadczył, że ratując siebie w téj chwili wyjeżdża, ale nie głupi go brać z sobą i wystawiać się na to, co jego teraz spotkać może.

Również tchórzem podszyty Ochin słysząc to, najprzód prośbami usiłował skłonić Mazzego do wzięcia go z sobą, lecz gdy to daremnem było, popadłszy prawie w rozpacz Bóg wie, co nienagadał i groził mu i straszył, a wreszcie zaklinał się, że go z rąk swych niewypuści i albo tu wraz zostaną, albo wraz pojadą. Biedne Włoszyska, bo jak głosi nasze przysłowie: Lepiéj umrzeć, niżli się bać — długo przyskakiwali wśród téj kłótni do siebie, jak dwaj koguty, lecz nie dzióbiąc się; jakby to między naszemi było, gdzie w moment z kłótni masz między chłopy bitkę, a między szlachtą rąbaninę.

Lecz na nieszczęście Ochina, woźnica Mazzego był duszą i sercem Krakowiak, więc gdy przyszło do wyjazdu, a pan mu powiedział, że przyczepiony do niego Ochin gwałtem z nim jechać chce, oddał panu lejce, a Ochina ujął za gardło i ścisnął, aż mu oczy na wierzch wyszły, a ręce wypuściły Mazzego. Został bezwładnym posągiem, patrzącym tylko jak Mazzi wsiadł w swoją brożkę i jak jego woźniak zrobiwszy krzyż przed końmi swem biczyskiem i potrzaskując niem ruszył z karczmy, jakto mówią z kopyta, i zniknęli w tumanach kurzu.

W te tumany kurzu wpatrywał się Ochin z taką rozpaczą, z jaką patrzałby zabłąkany wędrowiec wśród nieznanych pieczar na gasnące światło. I w téj chwili jak się przynajmniéj jemu zdawało, był on podobnie zabłąkanym wędrowcem, bo niewiedział, co począć, aby tylko ujść z tego miejsca, w którem Mazzi wywołał dla niego srogie widma, czychające na jego wolność na jego życie. A tu nieszczęsny los, ogołocił go prawie ze wszystkich środków mogących mu dopomódz do ucieczki; — gdyż był nieznajom języka, bez grosza, a nawet bez odzieży, bo w karczmie zrzuciwszy swoją suknię siedział tylko w kamizeli, a woźniak Mazzego z rzeczami swego pana zabrał jego rzeczy, i tę suknię a z nią i pieniądze będące w jéj taszce.

W tem prawdziwie przykrem położeniu, gdy niewiedział, jak sobie radzić, szczęśliwym dla niego trafem, kiedy on stał przy jednych wrotach stajni, drugiemi wjechał w nią podobny mu kacerz Filipowski z Pińczowa zaznajomiony z nim w Krakowie, a wracający na teraz z Parczowskich narad. Lecz Ochin jakto na świecie często się zdarza omało, że nieskorzystałby z tego szczęśliwego zdarzenia, bo posłyszawszy turkot wjeżdżającéj brożki pomyślał o jego pogoni i uciekł w gaik przy karczmie będący, aby w nim się schować. Gdy

z tego ukrycia śledzi, co się dzieje, oczy jego dopatrzyły i poznały, że stojący pan poprzed karczmą jest ów Filipowski. Wypada więc z krzaków, aby się rzucić w jego objęcia i oddać w opiekę.

Po zaspokojonem podziwieniu i ciekawości Filipowskiego zkąd on się tu znajduje i tak odarty z odzieży, przedewszystkiem ubrał go w swoje szaty i okrył naszą opończą białą z pętlicami czerwonemi. Lecz chociaż w tem przybraniu wyglądał Ochin jak polski szlachcic, ale mu to niedało i serca jego, a z takiem jak on miał, nic mu niebyło śpieszniejszego, jak tylko uciekać. Więc gdy przekonał się Filipowski, że on głuchy na wszelkie jego perswazye i upewnienia, iż na naszéj ziemi niema się czego gwałtów lękać, skłonił się do jego nalegań i ruszył w dalszą drogę — Wyjazd ten przynajmniéj o tyle utłumił w nim bojaźń, iż był w stanie słuchać i rozważać, co mu Filipowski prawił o zabiegach i frymarkach spiknionych wszystkich sekt kacerskich na wypędzenie Aryanów oddzielających się od nich. — Słysząc to, powiedział wówczas Ochin:

Jeżeli nas chcą wypędzić dla tego, żeśmy się od nich odłączyli to ja trzymam, iż Luteranie powinni być najpierwéj wypędzeni, gdyż najpierwéj oni oddzielili się od kościoła i papieża.

— Może też, mówił Filipowski, tym naszym prześladowcom nieda się to spełnić, co pragną, gdyż jak mnie upewniono i wielu panów katolików, a podobno i sam król są temu przeciwni.

— Prawicie mi, rzekł zdziwiony Ochin, niepodobne rzeczy.

— I jam tak zawołał, ale te niepodobne rzeczy stałysię podobnemi, gdy przedstawiono mi, że w naszéj obronie stanął kardynał Hozyusz.

— Co mówicie, bracie Filipowski, ten człowiek miałby być naszym obrońcą, który nietylko na téj własnéj rodzinnéj ziemi, ale po całéj Europie przeważnie walczy

i słowem i czynem z nami, cośmy bój wypowiedzieli kościołowi katolickiemu.

Niewiem czyli u was znany jest, a w Polsce używany ten sposób na wygubienie kretów, iż ich się łapie kilku i zamyka a one w głodzie jedne drugie pożerają, a ten co ostatni zostanie wypuszcza się i jest najlepszym wytępicielem kretów, gdyż tych ściga i pożera, bo mu do smaku ich krew przypadła. Otóż, drogi nam Ochinie, na podobny sposób widać, że pragnie kardynał wygubić nas w Polsce. I łatwo mu było wpaść na tę myśl, bo już widzi, że my, jak owe pochwytane krety zaczynamy się pożerać. Nadesłał też do Parczowa swe pismo, w którem na wszystko zaklina, aby niedozwolono na ten gwałt, co nam Braciom polskim chcą wyrządzić. Czytałem je i nawet przepisałem.

Wydobywając zaś odpis pisma Hozyuszowego ze swéj kaletki, powiedział: — Pokuszę się o ile mię stać będzie, aby wam być tego tłumaczem, co on pisze. — I Ochin usłyszał następne słowa:

„Niechaj się niszczą wzajemnie wszelkie sekty, bo „wojna między heretykami, jest pokojem w Kościele. „Albo więc wszystkich wygnać, albo cierpieć wszyst-„kich. Samych Trydeistów i Anabaptystów wypędzić, „znaczy to Lutrów, Kalwinów potwierdzić siłę i wzmo-„cnić i odwagę podsycić. Owszem jeżeli wam się po-„doba szaleć, jeżeli już zły duch tak pomięszał zmysły „wasze, przyjmijcież raczéj w domu wylęgłe ohydne za-„sady bezbożnego Trydeisty Grzegorza i nazwijcie je „*Wiarką polską*“.

Tu Ochin przerwał mu wykrzykując: — Więc wasz Pauli bezbożnik!

— Bluźnierstwo i nic więcéj, odpowiedział Filipowski i tłumaczył mu daléj następne słowa listu.

„Lub też, jeżeli chcecie prędzéj jeszcze i bez mozołu „dojść do doskonałości Ewangelii Luterskiéj, wyrzeczcie

„się od razu całéj wiary chrześciańskiéj i powiedźcie „jedzmy, pijmy, bo jutro umrzemy!... Kto utonął, ten „umarł a wszystko jedno, czy na dnie morza, czy pię„dzią wody pokryty.... Jeżeli się zaś o pokój w kra„ju rozchodzi, toć Lutrzy i Kalwini pierwsi wygnani „być powinni, albowiem oni a nie Trydeiści, ani Ana„baptyści w Niemczech, Francyi, Flandryi, Anglii i Szko„cyi wojny domowe wzniecili i nieszczęścia które wi„dzimy, na świat chrześciański sprowadzili. — A od „czego chroń Boże Polskę!“

— We wszystkich działaniach tego człowieka, odezwał się Ochin, widać mądrość i przezorność. Katolików szczęście że po ich stronie stoi.

— Dla tego, drogi Ochinie, choć on nas dziś broni, ja przyznaję się, że gdybym władzę miał, jego pierwszego wygnałbym z Polski.

— Bracie Filipowski, rozum tak zrobić nakazywałby, bo pozbyć się takiego przeciwnika to rzecz niemała. Ale nie mnie, wygnańcowi to mówić.

I obadwaj zamilkli i dopiero po kilkochwilowem milczeniu rozpoczęli rozmowę. Lecz my jéj ani powtarzać będziem, ani opisywać dalszéj ich drogi, którą dążyli do Pińczowa, tylko powiemy, że w tem heretyckiem mieście po ich przybyciu Ochin znów jak w Krakowie tryumfalnie był przyjmowan. Pomimo tego spieszno mu było do Krakowa, już jako ojcu do dzieci, a więcéj jako szalbierzowi marzącemu w Krakowie na obszerniejszą skalę swoje oszustwa prowadzić. Naleganiami więc swemi wymógł na Filipowskim, iż niezatrzymując go, po dwóchdniowéj bytności w Pińczowie odesłał do Krakowa. A choć dojechał przed wieczorem pod Kraków zatrzymał się w karczmie na Prądniku bacząc na to żeby za widna niewjeżdżał w miasto będąc przebrany za Polaka. Bo pomimo tego, iż już tyle światu maszkarad dotychczas wyprawiał i udawał dobrze Franciszka-

na, Kapucyna, a teraz kusego panicza, toć wiedział i czuł, że nieuda Polaka, gdyż do niego niepodobny, ani z miny ani z czupryny, więc mógłby się wystawić na pośmiewisko. A co gorzéj, że wtenczas urągających sobie trzebaby napomnieć brzękiem przy boku wiszącéj szablicy, a on tego i lękał się i nieumiał. Wieczór przeto wyjechawszy z Prądnika przybył do Krakowa już po zamknięciu bram, a niemogąc wjechać w miasto sam tylko pieszo dostał się weń Furtką Szewską i wtedy to pokazał się oczom ludzkim pod Baranami jako upiór i topielec.

Lecz zkąd się takim pokazał dla mniéj domyślnych powiemy, iż został przemienion w upiora i topielca przez towarzysza podróży Mazzego, któren gdy go porzucił w drodze, a pierwsze mu chwile przelęknienia i trwogi minęły, pomyślał o wiodącym go do Parczowa własnym interesie, w którym nic niezyskał tylko stracił. Wtedy serce jego jadzone gniewem ku Ochinowi i Paulemu, mając ich za sprawców swych strat, zapragnęło zemsty, a że mu ją kłamstwo najłatwiéj dać mogło, więc kłamstwem o wielożeństwie króla, podburzył przeciw nim Kraków. I gdy mu natem nie dość było, a nadarzyła się ku temu sposobność, więc Paulemu dokuczył jeszcze nowem kłamstwem o śmierci Ochina. Tak to godni ci siebie przeciwnicy walczyli jednakową bronią, bo okłamując się nawzajem.

Jak wy teraz, tak w ówczas dowiedziało się o tem, jakeśmy napisali, stado przestraszonych baranów w mieszkaniu Paulego. Więc wtedy na ich naradzie uchwalono, iżby sam Ochin w dniu jutrzejszym wystąpił na kazalnicę w Zborze i okazał się ludziom, że żyw i odwołał kłamstwo Mazzego o królu i jego chęciach zaprowadzenia wielożeństwa w Polsce.

Stósownie do téj uchwały, gdy w dniu następnym Ochin wyszedł przed dom na rynek dążąc do Zboru,

właśnie szli Żaki do swéj Bursy Królewsko-Jagiellońskiéj na Wiślną ulicę. Na widok tych psotników, co tyle się nadokuczają żydom i heretykom, już Ochin chciał się wracać, lecz Pauli jego towarzysz szepnął mu do ucha, że niema się czego lękać, gdyż między żakami widzi Seniora Bursy przestrzegać wszelkich gwałtów winnego, i że nietrzeba okazywać obawy. Więc obaj przybrali takie miny, jakby indyki, gdy ogony roztoczą, gardła wydmą, a nogami stąpają z góry. Lecz podczas tak napuszystego mijania Żaków, jeden z tych wykrzyknął: Ochin! A za nim powtórzyli ten okrzyk wszyscy a to nie raz lecz ciągle, i to tak wrzaskliwie, że nietylko w Rynku, ale w rozchodzących się z niego ulicach daleko był słyszanym. Okrzyk ten popłoch rozniósł, bo kto go posłyszał, to niepomnąc na Ochina myślał że to nasze krakowskie Oha! Oha! co wykrzykiwane rozlega się gdy wilki i inne drapieżne zwierzęta straszymy lub odganiamy. Przeto niemal wszyscy myśleli, że musiał chyba wilk wściekły wpaść w miasto.

Wśród takiéj pogonki Ochin z Paulem już mniej napuszysto, a szybszem krokiem uchodzą z Rynku w Sławkowską ulicę, a zniéj przecznicami dostają się do Zboru. Lecz tu drugim a boleśniejszym ciosem Ochin ugodzon został, gdy ten Zbór zawsze na jego kazania przepełniony ludem uwidział prawie pustym. Przybyło bowiem do niego tylko kilku starych kawalerów niezostających pod rządami kobiecemi, kilku z téj młodzieży, co to jak mówią: — *Pustkowie w ich głowie* — i kilka to starych, to młodych Panien, to wdów ale wszystkie podejrzanego prowadzenia. Małżonków zaledwie znalazło się dwóch, co zdobyli się na odwagę przekroczenia zakazu żon, które w dniu tym, jakby zmownie wzbroniły im iść na kazanie Ochina.

Na widok tego upadku swéj wziętości i sławy w Krakowie, aż się nie dobrze Ochinowi zrobiło, a choć po

chwili minęła słabość, ale czuł się niezdolnym prawić kazanie, więc Pauli oświadczył to zgromadzonym, a przybrawszy sobie za towarzysza do odprowadzenia Ochina jednego z tych dwóch najodważniejszych małżonków krakowskich wracać do domu umyślili.

Czas ich pobytu w Zborze wystarczył, aby wszyscy, co słyszeli to żakowskie wołanie na Ochina dowiedziel się, że to było nie na wściekłego wilka, lecz na gorszego i od takiego zwierza człowieka. Tamten bowiem jad zapuszcza w ciało, ten w duszę — tamten sprawia, iż wśród bolesnych cierpień kończym doczesny żywot, a tacy jak Ochin szalbierze narażają nasz żywot wieczny na niekończące się męki.

I spodobało się to paperstwo żakowskie niejednemu z mężczyzn, a prawie wszystkie kobiety bez różnicy wiary przyklaskując mu, jakby zmownie z niecierpliwością czekały chwili, w któréjby się znów Ochin ukazał, aby temu Włochowi wyprawić serenadę, ale na krakowską nutę. Jakoż ledwie ich heretycka trójka na Rynek wystąpiła, a tu kobiety nietylko z za straganów i kramów, ale we wszystkich domach w oknach siedzące, mając ku pomocy wrzaskliwe swych dzieci głosy krzyczeć poczęły już nie Ochin! ale Oha! Oha! jak na zwierza. Powiem wam, że niegrzmiały tak silne okrzyki na Rynku, ani wtedy ile zapamiętam, kiedy w roku 1525 Albrycht mistrz Krzyżacki zostawszy księciem lennym Prus, przybył do Krakowa i w dniu dziesiątym kwietnia Zygmuntowi I siedzącemu na tronie w pośrodku Rynku poddaństwo i wiarę zaprzysięgał. Ani w r. 1530 w dniu dwudziestym drugim lutego, kiedy radujący się Kraków z utwierdzającéj się na tronie polskim rodziny Jagiełłów witał tu i składał przysięgę siedzącemu na tronie młodemu królowi Zygmuntowi Augustowi. Ani w tym samym roku, gdy obchodzono sławne zwycięztwo Jana Tarnowskiego odniesione d. 22 sier-

pnia pod Obertynem, gdzie na czele czterechtysięcy Polaków pokonał 22000 nieprzyjaciela i zabrał mu 50 dział, które do Krakowa podczas tego tryumfu Tarnowskiego sprowadzono. Powtarzam że niegrzmiały w tych trzech razach tak silne okrzyki, chociaż cały prawie ośmdziesięciotysięczny lud krakowski okrył Rynek i sąsiednie ulice i wykrzykiwał radosne wiwaty. Ale to wykrzykiwanie było jakoś poważne i uroczyste, a krzyk tych kobiet na Ochina miał w sobie coś, że tak powiem szatańskiego, gdyż darły się, jakby je ze skóry darto.

W takiéj chwili ma się rozumieć nie mogły zostać bezczynnemi nasze krakowskie paupry śmiałe i zwinne, przebiegłe i wesołe, a srodze dokuczliwe tym których wybierą za przedmiot swych szyderstw, Niemała zgraja pauprów okoliła tę, jak nazwaliśmy heretycką trójkę, a wykrzykując, wyskakując i wyrzucając w górę to czapkami to trzewicami odprowadzili ich aż do domu.

Ale pragniecie pewnie wiedzieć, jak te ofiary szyderstwa oburzeniem ogólnem wywołanego w tem pochodzie wyglądały. My to pojmujem, lecz nam brak porównania stawiającego ich przed wasze oczy. Chyba zapytamy czyli widzieliście stado lękliwych kuropatw, kiedy ponad niemi na wartkich skrzydłach unosi się krwiożerczy jastrząb a one w swéj głupocie myśląc, że gdy niewidzą go, że i on ich niezobaczy, kryją łebki pod skrzydła. Tak też i oni zwiesiwszy nadół głowy i niewidząc nikogo na drżących nogach od strachu prześli wśród tego urągowiska przez Rynek i dostali się do domu. Wdawszy się zaś w porównania dopowiemy, że dostali się pod Barany z tą radością, jak owe zdradliwe a spłoszone lisy do swych jam.

W tej jamie siedział w ukryciu Ochin przez kilka dni myśląc, że czas, co nie takie rzeczy w niepamięci pogrąża wyswobodzi go z tego rokoszu podniesionego

przeciw niemu przez kobiety krakowskie. Lecz się zawiódł, bo po tygodniu, gdy chciał wyjść z domu, a ledwo nos za jego bramę wystawił już usłyszał ze stojących najbliżéj Baranów kramów cechu iglarskiego kilkokrotne wołanie Oha! Oha! Oha!

Jedno takie zawołanie jużby było wystarczającem, aby niem spłoszony Ochin cofnął się i schował, a tu za tem jednem słyszeć się znów dały krociowe okrzyki. Posłyszawszy je, co tchu nawraca i spieszy w mieszkanie Paulego, aby mu wypowiedzieć powzięte w onczas postanowienie, że niebawem Kraków opuścić pragnie. Żal Paulemu było wypuścić nie już z Krakowa, ale z Polski tak silnie z nim działać mogącego sprzymierzeńca, przeto po długich perswazyach i naradach uchwalono, żeby tymczasowo opuszczając Kraków schronił się do Pińczowa w dom Filipowskiego. Uchwalono i wykonano gdyż już na drugi dzień jechał tam Ochin ze swemi dziećmi.

Pod ten czas przybył do Krakowa z Parczowa pan Wielkorządca Maciéj Błeszyński i przywiózł nowinę, jak tam Ochin był przyjęty od króla, co uśmierzyło frasunek i niepokój kobiet krakowskich a spokojność na łono niejednéj rodziny wróciło.

Na tem skończony był opis téj sprawy o wielożeństwie, bo naszem zamiarem jest zbierać tylko, co się Krakowa i jego mieszkańców tyczy. Lecz w kilka lat, gdy przeczytała ten opis jedna z moich znajomych rzekła:

— Jeżli to ogłoszone będzie kiedy drukiem, wtedy niejedna kobieta, jak ja dziś poweźmie sprawiedliwy żal do was, żeście niezawiadomili, co porabiał dalej w Polsce ten nieprzyjaciel kobiet.

Usłyszawszy tę jéj przyjacielską radę pomyślałem, gdy ona tego ciekawa, toż i drugie być mogą. I że obudzić w kobiecie ciekawość a niezaspokoić, wiem jak je

gniewa. Gdy zaś każdą przykrość wyrządzoną kobiecie przez mężczyznę potępiam, bo to jest pogwałcenie prawa słabszego przez mocniejszego, więc ztąd macie, że go tak nazwę, ten przypisek.

Lecz niemożecie wymagać po mnie, abym wam w takim przypisku opisywał po tem wyjeździe z Krakowa Ochina, jego zgryzoty z tego poniżenia, wzgardę dla siebie samego, nienawiść ku sprawcom zguby swojéj, a większą jeszcze ku sobie samemu. Ani niewypowiedzianą boleść wygnańca, a niepojętą rozpacz potępieńca, te furye piekielne nawiedzające naprzemian duszę jego, aby ją coraz nowemi boleściami udręczyć i umęczyć.

Jak okropne te cierpienia być musiały pojmiecie, kiedy wam powiem, że niemógł już uczuć najboleśniejszych cierpień dla serca człowieka bo cierpień ojcowskich po stracie dwóch synów i córki, które zabrał mu Bóg wśród zarazy morowéj, która się pojawiła w Pińczowie za jego tam przybyciem.

W takim stanie aż litość dla niego budzącym, odbiera jeszcze Filipowski wiadomość z Parczowa, że jego starania kiedy tam jeździł, ani późniejsze innych niepomogły i zapadł wyrok w dniu siódmym sierpnia następujący: — Cudzoziemcy, którzy dla religii z inszych królestw zbiegli, a którzy się od powszechnéj chrześciańskiéj wiary odłączywszy nową jakąkolwiek naukę około wiary tak w osobności jako i Zborze, tak słowy, jako i pismem podawają, mają w trzech dniach po św. Michale ustąpić z Polski.

Niemożna było taić przed Ochinem tego wyroku, ale dla pocieszenia obiecywano wyjednać mu pozwolenie od króla na pozostanie. W nienawiści zaś swéj ku głowie kościoła naszego prawili wówczas heretyki: Bądźcie pewni, że nikogo niedosięgnie miecz poświęcony przez Pawła III papieża Augustowi w darze przysłany.

Tak prawili, jak gdyby na to był przysłany od głowy tego kościoła, który mieczem niewojuje.

Przecież oczy nasze widziały, jak w r. 1540 w miesiącu lutym przybyły do Krakowa Legat Apostolski Hieronim Rosarius w kościele katedralnym w przytomności jeszcze rodziców doręczał Augustowi ten miecz i kapelusz.

A uszy nasze słyszały, jak go ten Legat w imieniu papieża zaklinał tylko, ażeby opiekował się wiarą ojców swoich. A w pamięci naszéj wyryły się te słowa odpowiedzi Augusta: „Iż składa dzięki Bogu, że go raczył światłem wiary katolickiéj oświecić, i że zrodzon na łonie prawowiernego kościoła spodziewa się za łaską Bożą do ostatniego tchu życia wiernym mu pozostać“.

Ale cóż my się nad tem rozpisujemy uniesieni gniewem na to bluźnierstwo heretyckie, nie pomnąc, że oni nie gniewu, ale litości tylko są godni. Więc wróćmy do tych pocieszycieli Ochina, a zwłaszcza Filipowskiego, któren go upewniał, że jak mu to już mówił, tak znów mówi, iż utwierdzon został odebranemi wiadomościami, że król idąc za radą kardynała Hozyusza wstrzyma wykonanie tego wyroku. Co się też tak w rzeczy saméj stało.

Lecz Ochin był głuchy na te wszelkie perswazye, bo przed oczami jego stał jeszcze rozgniewany nań król August i brzmiało mu w uszach to wołanie krakowskich kobiet Więc po zniknych nadziejach obałamucenia króla, po doznanéj od ludu wzgardzie, niemogąc marzyć aby duma jego zasyconą w Polsce została, gdzieindziéj jeszcze dla niéj strawy poszukać umyślił. A z téj niedającéj się w nim utłumić żądzy czyniąc cnotę powiedział:

„Że krajowéj zwierzchności należy podlegać, i że jéj

„wypełni rozkaz, by mu też gdzie w lesie lub na polu „przyszło uskwierknąć.“

Lecz z tych zgryzot i cierpień popadł w chorobę, która go powstrzymała w Pińczowie, aż do ostatnich dni kończącego się roku 1564. Ale gdy tylko po przebyciu jéj pokrzepił siły swoje opuszcza tę jaskinię heretycką żegnając Filipowskiego temi słowy malującemi nam i w tem nawiedzeniu tę jego z zarozumienia pochodzącą pychę, która go do upadku przywiodła. Rzekł on bowiem wtedy:

Bracie Filipowski uderz czołem przed Majestatem Stwórcy Wszechmocnego, że cię godnym uczynił Ochinowi w ciężkim razie dobrodziejstwo wyświadczyć.

Niewiemy czyli to ten zagorzały heretyk zrobił, ale to wiemy, że niejeden katolik miłujący swych bliźnich, uderzył czołem przed Majestatem Stwórcy Wszechmocnego, że wyswobodził Polskę od tak zgorszenia siejącego człowieka.

Wyjechał Ochin, mając jeszcze dla siebie jakieś nadzieje, lecz gdy zajechał do Morawy i stanął w Słuchowie odebrał list nadeszły do Pińczowa a stósownie do umowy przesłany mu tam przez Filipowskiego. Byłto list jego przyjaciela a księgarza Piotra Perny donoszący tę okropną wiadomość, że gdziekolwiek zgłaszał się z prożbą o przytułek dla niego, wszędzie mu go odmówiono, i że radzi aby w Polsce pozostał.

Na tę wiadomość piekielna rozpacz tłumi ostatnią w nim iskrę nadziei, a na serce jego rzuciły się węże i żmije, bo czyliż nie tak srogie są, jak te jadowite potwory ten gniew, ta zemsta i ta nienawiść ludzi, które w ówczas dręczyły jego serce.

I chwila łaski Boskiéj przeminęła dla tego człowieka, gdyż bez upamiętania, skruchy i żalu, pasując się ze swemi cierpieniami zakończył życie doczesne, aby roz-

począć życie wieczne. A jakie, sami orzeczcie rozważając karę za grzech aniołów, które Bóg ubogacił nad wszystkie stworzenia darami swéj łaski, a te zbuntowawszy się przez pychę, odmówiły Mu służyć w sposób, w jaki chciał aby Mu służyły, i za to w mgnieniu oka jako błyskawica strąceni zostali do piekła.

KONIEC.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Dokończenie uwag nad Felicytą. Akt trzeci — czwarty i piąty.—

Początkowe cztery sceny trzeciego aktu są odbiciem się wrażenia o wiadoméj ucieczce Felicyty do pieczar Chrześciańskich, na umysłach i charakterach że tak powiem: urzędowego świata rzymskiego. Olimpiusz zrazu zostający w niepewności o losie córki arcykapłana Dyanny, robi sobie nadzieję, że ojciec ją odszuka i że będzie mógł przyprowadzić zamiar swój do skutku, i pojąć ją za żonę. Co się zaś tycze dalszego postępowania w urzędzie prokonsularnym, powiada że nieodstąpi od raz przyjętéj maxymy: łagodnych i wyrozumiałych rządów i dla tego właśnie na dzień następny nakazał publiczną ofiarę, aby donosicielom niewiele zostawić czasu do robienia donoszeń, bo jak mówi:

Tak i Cezarom oddam hołd powinny,
I rąk mych we krwi niezbroczę niewinnéj.

Asper przyjaciel jego, rodzaj malkontenta, nalega nań aby zaufał przychylnym legiom, zrzucił jarzmo i ogłosił się niepodległym panem, co prędzéj później musi nastąpić zwłaszcza że dzisiejsi Cezarowie krwi pragnący nie dadzą mu rządzić po sprawiedliwości. Przybycie Vulpiska, tego ajenta dworu Rzymskiego, potwierdza tę konieczność — donosi on bowiem, to co już wiemy z drugiego aktu, że w skutek łagodności dla Chrześcian sekta ta zaraziła same legie, a nawet, o zgroza! córka Arcykapłana znalezioną została śród zgromadzenia Chrześcian! — Olimpiusz nazywa to fałszem, lecz wpadający Arcykapłan wyznaje co go spotkało: córka jego została za pomocą czarów zwiedzioną przez Chrześcian... Niepozostaje nic innego, tylko wyrwać ją z błędu! Biedny ojciec wzywa promieni Feba, aby rozproszyły jéj ciemności... Olimpiusz w rospaczy: naciskany od Vulpiska, nie ma sposobu uniewinnić Felicyty: oskarżona o należenie do wyznawców Chrystusa, musi ponieść śmierć niechybną — lecz chyba jedna miłość ocali ją... Rozkochany Prokonsul wyobraża sobie że to ziemskie uczucie wyrwie tę nową Eurydykę z przepaści Plutonowych. Wyprawia zatem Aspera, aby Arcykapłanowi raz jeszcze powtórzył, że Felicytę chce pojąć za żonę — W jego rozumieniu szczęście być przezeń kochanym, powinno przeważyć w umyśle dziewicy ów nierozsądny, rozpaczliwy krok rzucenia się w potępioną sektę.

Sceny te uzupełniające myśl poprzedzającego aktu, lubo przyczyniają się do wybitniejszego odznaczenia charakterów, lubo nastręczają moment dramatyczny w którym Olimpiusz walczy z powinnościami powierzonéj mu władzy a skłonnościami serca — wszelako w dramacie ściśle pisanym dla sceny, niemogłyby się ostać,

z tego powodu że widz wprzódy już wiedział o całem zdarzeniu z Felicytą, zanim się Olimpiusz i inni Rzymianie dowiedzieli o niem.

Tutaj niech mi wolno będzie zrobić uwagę co do dramatów-poematów, czyli poematów dramatycznych w ogóle: jest to rodzaj całkiem dzisiejszy — to prawda, — ale wynalazek téj nowéj formy w poezyi, nie wielki przynosi zaszczyt nowożytnéj twórczości, dla tego że właściwie nie jest żadnym wynalazkiem, tylko pomięszaniem wyobrażeń ścisłych o naturze pewnych gatunków i form w poezyi. Wiadomo że właściwy dramat pilnuje tylko saméj rzeczy czyli akcyi; wszystkie podobne opisy, refleksye, rozumowania, jeżeli się nie łączą wprost z głównym interesem, zostają obojętne dla widza. W opowieści czyli w epos, interes może się dzielić, gdyż nic nie nagli do pośpiechu tam, gdzie się całe życie rozwija przed nami, przeciwnie w dramacie momenta są policzone. Arystotelesowe przepisy tak są wyssane z saméj natury naszéj, że chociaż lekceważy je jaka generacya, to następna rehabilituje. — Toż i Felicyta o wiele byłaby zyskała przez ujęcie tego przedmiotu w ramy ścisłego dramatu; nigdy bowiem choć najpiękniejsze, lecz luźne obrazki dramatyczne, nie robią tak potężnego wrażenia, jak kiedy konieczność snuje scenę ze sceny, i tworzy skończoną, harmonijną całość.

W Felicycie częste przerzucania sceny na różne miejsca, sprawują pewien zamęt i osłabiają znaczenie głównych figur. Po takiéj katastrofie jaka zaszła w końcu drugiego aktu, kiedy Arcykapłan znalazł swą córkę wpośród zgromadzenia Chrześcian, oczekujemy teraz walki między ojcem a córką, między poganinem a chrześcianką — któraż strona wyjdzie zwycięzko? — Felicyta w więzieniu modli się — ale z takiem poddaniem się jakby już była wytrawną Chrześcianką, co wszystkie uciechy i burze ziemskie poświęca w pokorze i prosi

tylko o śmierć, w nadziei, że jéj krew obróci się w zdrój nawrócenia dla obu: to jest dla ojca i Olimpiusza... Przypuszczam że za łaską boską może być prędkie i cudowne nawrócenie, lecz biorąc rzeczy po ludzku, zdawałoby się, że Felicyta powinna była silniejszą staczać walkę z ziemską namiętnością dla Olimpiusza; wszak i zwycięztwo zaszczytniejsze jest, im większą ponosi ofiarę. Poeta trudności te ominął tym sposobem, że Felicycie włożył w usta bierną modlitwę w któréj nie ma nawet przygotowania się do tego, co musi nastąpić, to jest do rozprawy z ojcem. Jakoż w następnéj scenie widzimy Arcykapłana przychodzącego z wyrzutami. — Słabe są jego argumenta co do wyższości religii oficyalnéj rzymskiéj nad chrześciaństwem i prędko z niemi kończy, za to probuje poruszyć ją w imie rodzicielskich uczuć: wszak od dzieciństwa zastępował dla niej miejsce matki, a jeżeli co sobie ma do wyrzucenia, to chyba

...że dar Bogów w tobie (w córce)
Więcéj niż dawców nieraz ważył sobie.

Obudziwszy te najtkliwsze struny miłości dziecięcéj, robi zwrot wymowny i pyta:

...Córko! czem jest ten Bóg, który
Każe rwać węzły najświętsze natury,
Pozwala dziecku, by samo bezkarnie
Skazało ojca na żal i męczarnie...
Córko! co zbrodnią byłoby we wrogu,
Czem to zwać będziesz w nowym swoim Bogu?

Odpowiedź ugodzonéj tém pytaniem Felicyty należy do miejsc szczęśliwie i głęboko pomyślanych. Pada mu

do nóg i przyznaje się że tylko samolubna bojaźń przywiodła ją do tego kroku.

Nie Bóg mi kazał uchodzić od ciebie.
On mi przed tobą kazał wyznać Siebie,
Wyznać ci prawdę, znieść wszelką mą dolę,
I w nim zaufać pełniąc Jego wolę.
A ja się bojąc twych uczuć wybuchu,
O wsparciu Jego zwątpiłam w mym duchu;
I śmiałam stanąć w świętym Jego progu,
Niewdzięczna ojcu, nieposłuszna Bogu!

Lecz Bóg pewnie jéj ten grzech przebaczył — teraz niech i ojciec przebaczy, a przekona się, jaka to cześć córki chrześcianki dla rodziców, bo ta religia nietylko każe kochać ojca, ale nawet wroga,

i nic nie rozrywa,
Lecz tylko wszystkie uświęca ogniwa.

To wszystko przecież nie jest zbrodnią, aby ją miano wlec na pożarcie zwierzętom — i ty sam ojcze! nie znajdziesz nic zdrożnego w téj nauce... Do tych argumentów mogących rozbroić nietylko ojca lecz najsurowszego sędziego, przybywa jeszcze ostatni: Felicyta wyznaje że Pan Bóg może przeznaczył jéj skończyć to, co jéj matka zaczęła — była bowiem Chrześcianką... Arcykapłan wybucha i zadaje jéj kłam — lecz Felicyta pokazuje własnoręczne pismo nieboszczki matki, która poleca córce, aby służąc prawdziwemu Bogu, cnotami swemi i miłością nawróciła ojca. Tyle dowodów zachwiało do reszty słaby charakter i słabszą jeszcze wiarę Arcykapłana Feba — z gwałtowności przechodzi w miękką prośbę i pozwalając córce wyznawać nową wiarę, błaga ją, aby ochraniała zwątloną jego starość, wszak jest

dla niéj droga ocalenia; Olimpiusz ją kocha i prosi o rękę...Z wykrzyku Felicyty: „On? o mój Boże!“ odgaduje uszczęśliwiony ojciec że jest nadzieja wyrwania ją prześladowcom... Skłonność serca zagadała tak głośno w wejrzeniu Felicyty, że starzec bojąc się aby ta zbawcza nić nierwała się w rozprawach o wierze, porzuca więzienie i zostawia ją rozmyślaniu i samotności.

W całym trzecim akcie właściwie jedna ta scena: ojca z córką ma znaczenie; inne sceny są tylko amplifikacyą poprzedzającego aktu.

Lirycznym monologiem Olimpiusza zaczyna się czwarty akt. Prokonsul Rzymski melancholizuje jak sentymentalny kochanek skarżąc się na marność sławy wojennéj, na nicość zaszczytów obywatelskich, zgoła na marę wielkości opartéj tylko na człowieku — filozofom wyrzuca, że struli w nim wiarę, poetom że w jego sercu zapalili nieczyste ognie rozpusty— tak, iż teraz czcze i przesycone, nie jest w stanie wznieść się do jasnoskrzydłéj Felicyty pierzchającéj przed nim... Przyznam się, że zamiast tych lirycznych apostrof wiotkich jak pajęczyna, wolałbym był chwilkę hamletycznéj refleksyi godnéj męża władającego częścią ogromnego Imperium, byłoby się to lepiéj zgadzało z jego stanowiskiem i charakterem, tem bardziéj, że Olimpiusz jak to sam powtarza, ma się za Rzymianina w całem historycznem znaczeniu tego wyrazu. W następnéj scenie przybywa powiernik jego Asper, naradzają się nad środkami ocalenia Felicyty — Asper upewnia go, że Legiony i lud są za nim, byle miał szczery zamiar posiąść tron Cezarów, a każdy za niego krew przeleje — przeciwnie gdyby się domyślano że celem powstania jest tylko ocalenie dziewicy, nieręczy za gotowość. Olimpiusz oburza się; dla podłéj zgrai co nic nie umie poświęcić, on miałby poświęcić miłość, szczęście i kochankę?

Przez wszystkie Bogi! Cóż mię może nęcić?
Sława?— widziałeś żem miał jéj dowoli.
Władza?— Pół świata słucha mojéj woli.
Szczęście narodów?— O był czas, że szczerze
Wierząc w nie, krew dłań lałem, gdym w Sewerze
Rękojmię jego mniemał jednać światu!
Lecz dziś znam wartość Romy majestatu:
Wartość jéj właści i jéj władzy, w. któréj
Więcéj jest wstydu i krwi, jak purpury:
Bym pierwszy tylko w niewolników tłumie
Chciał, służąc wszystkich chciwości i dumie,
Drżeć przed wszystkimi: By Didius nowy
Na wagę złota niekupił mej głowy,
Lub pretor w prochu nie skalał przed gminem?—
O! nazbyt jeszcze jestem Rzymianinem!
Niech idą za mną z miłości i wiary,
A prócz niéj— wszystkie poniosę ofiary;
Niech mi w niéj dadzą szczęście: a ich prace
Szczęściem ich samych i świata odpłacę.

Piękny to jest wybuch szlachetnego serca, lecz więcéj młodzieńcowi przystojny, niż prokonsulowi Afryki, który przecież powinien był znać ludzi, a jeszcze pogan, w chwili zwietrzałych cnót butwiejącego Rzymu; jest w tem nawet pewna niekonsekwencya: wprzódy bowiem jaskrawemi farbami maluje nikczemność tłumów niepojmujących żadnego wyższego celu — a następnie chciałby żeby ten sam tłum szedł za nim z *miłości i wiary*...

W sali tronowéj spaniale przybranéj, widzimy wchodzącą Felicytę przyprowadzoną pod strażą z więzienia. W monologu opowiada, jak umyślnie dla próby, czy urągowiska, wiedziono ją około cyrku gdzie widziała przygotowane stosy i narzędzia męki; słyszała ryk zwierząt dzikich mających rozdzierać ofiary... Któż chciał

ją przerazić tym widokiem? Oto Olimpiusz, sam to wyznaje w najbliższéj scenie, lecz niechciał on przerazić ją strachem, bo wie, że nieulękniona — tylko odsłonić prawdę nagą i drugą prawdę swego serca:

o! ja kocham ciebie!
Tyś rozjaśniła pomrok duszy mojéj,
Tchnęła w nią świętość niewinności swojéj;
Samym mym wstydem i żalem zgryzoty,
Tyś mię z miękkości zbudziła do cnoty;
Przez ciebie znowu jestem Rzymianinem.
O skończ twe dzieło!...

Felicyta.

Bądź Chrześcianinem,
Olimpiuszu! a Bóg przez mię skończy,
Wszystko co jeszcze z tym światem mię łączy.

Tu się rozwija walka między Felicytą a prokonsulem. Oboje wiedzą o wzajemnem przywiązaniu do siebie, ale dziewica Chrześciańska niepojmuje innéj miłości tylko w połączeniu się duchowém przez uznanie jednego z nią Boga. Olimpiusz przepojony pogańskiemi wyobrażeniami, zastawia się argumentem, że on bóstwo czci w blasku jéj oka, w stworzeniu. Wyborną daje mu na to odpowiedź, która i dzisiejszych panteistów wymownie ściera:

O! znam ja waszą cześć Boga w naturze,
W cudach sztuk waszych w płutnie i marmurze;
Cześć pychy ludzkiéj, któréj Bóg widomy:
W stworzeniu. Człowiek ludzkości, pan Romy.

Nie o takim ona Bogu mu obwieszcza, ale o żyjącym, w sobie, udzielnie, przedwiecznie i wszędzie. — Olimpiusz przyznaje, że każdy człowiek czci takie bóstwo.— Felicyta przeczy, powiadając, że Boga nikt nie pojmie przez siebie, przez rozum, bo ci co go tak pojmowali oddawali tylko cześć grzeszną kruszcom, bydlętom, płazom. Bóg Chrześciański zstąpił na ziemię i objawił prawdę, i własną krwią odkupił grzeszny ród ludzki.

W Imię Jego
Uwierz! a poznasz Ojca Niebieskiego
A Duch — Bóg z Boga, w Trójcy Nierozdzielny,
Zstąpi w twą duszę, jak dzień nieśmiertelny.

Olimpiusz.

Któż mi rozjaśni ten labirynt ciemnic?
Kto da moc pojąć prawdę tych tajemnic?

Felicyta.

Łaska Jezusa Chrystusa! o którą
Błagaj z miłością, a czekaj z pokorą.

Olimpiusz.

Uczże mię błagać, o ty! czy natchnięta,
Czy obłąkana, lecz wzdy niepojęta!
Wzdy najpiękniejsza i równie mi droga!
Kochasz mię?

Felicyta.

Kocham w Bogu i dla Boga.
Kocham, jak z ludzi nikt niekochał ciebie.

Olimpiusz.

Bądź moją!

Felicyta.

Jestem — na ziemi i w Niebie,
Uwierz!

Olimpiusz

Dziewico! w twych słowach i wzroku
Czuję dwuznaczność ciemnego wyroku.
Krótko i jasno: oddaj mi twą rękę.

Felicyta.

Uwierz!

Olimpiusz.

To znaczy: idź na śmierć i mękę.

Felicyta.

Pójdziemy razem, i chwilą gorzkości
Okupim wieczność szczęścia i miłości.

Cała ta scena, z której podałem powyższy ustęp jest streszczeniem walki ducha chrześciańskiego ze zmysłowością pogańską; dziewica wszystko gotowa poświęcić dla Chrystusa, nawet najmilsze uczucie miłości dla ukochanego. — Olimpiusz wszystko pojmuje, na wszystko się zgadza, ale pojąć nie może, jak szczęście miłości można oddać za duszne zbawienie, jak śmierć ponosić doczesną, dla wiecznego żywota. Jakoż pośredniąc obie-

rając drogę, powiada jéj: jeżeli Bóg twój patrzy w głąb serca, tedy niepoczyta ci za występek jeżeli dla pozoru rozbroisz prawo, i rzucisz bałwanom szczyptę kadzidła. Chrześcianka odpycha ten niegodny jéj wybieg.

Stało się! żegnaj! Tyś sędzia, jam branka.
Sądź jak syn Romy! ja, jak Chrześcianka
Zniosę sąd; o nic niebędę cię winić.
Czyń, co rozumiesz, żeś powinien czynić.
Lecz gdy próśb moich Pan wysłucha w Niebie,
Olimpiuszu! krew ma zbawi ciebie.

Felicyta oddala się do więzienia; Olimpiusz w rozpaczy, że nie może pojąć Boga Chrześcian; a choćby go i pojął, czyż podobna dla rozognionéj wyobraźni niewieściéj skazywać się na śmierć niechybną?

Bardzo trafnie schwycony tu rys ówczesnego pogaństwa nieuznającego jeszcze w kobiecie istoty równéj mężczyznie; wierzono w potęgę rozumu, potęgi ducha nieznano, i dopiero z uznaniem jéj niewiasta podniesioną została do godności nowożytnéj.

Przybycie Aspera, tego wyobraziciela siły ziemskiéj, który w swych rękach trzyma nić spisku, pokrzepia Olimpiusza; droga ofiary zdaje mu się niepodobną, szaloną, zgubną — pozostaje zręcznie ukartowane porwanie Felicyty z placu kary. Stanęła więc narada, że za pomocą Pomponiusza legionisty, którego żona chrześcianką i skazaną na śmierć, plac męczeński otoczony zostanie przychylną strażą, aby pod jéj zasłoną tem łatwiéj powiódł się zamiar uprowadzenia Felicyty.

Cały ten plan porwania zdaje się tak niepewnym, tak skomplikowanym, że czytelnik zaraz przewidzieć może nieudanie się. Olimpiusz jednak widocznie uspokojony, poddaje się nadziei.

W końcu tego aktu przenosi nas poeta do więzienia napełnionego Chrześcianami. Pudens dozorca więzienia oznajmia skazanym, że podług praw Rzymskich każdy zbrodniarz dniem przed śmiercią może zażądać wszystkich przyjemności, aby sobie osłodzić ostatnią kroplę życia. Widok śpiącego Satura, starca z pogodnem obliczem przejmuje go:

Nie! to nie może być śmiertelny człowiek!

Klęka razem z innymi więźniami i zostaje widokiem tym nawrócony.

Odtąd zaczyna się zwycięztwo Chrystusa nad pogany nie już siłą przekonań, nie słowem natchnionem, ale czynem i przykładem. Satur przyjmując nowo nawróconą owieczkę, odrzuca zwykłą rzymską wieczerzę, a natomiast każe Pudensowi przynieść wina i praśnego chleba, poczem opowiada widzenie swoje prorocze we śnie w którem maluje przejście ducha na łono wieczności. Wspaniały to obraz! Poeta skreślił po mistrzowsku duszę ulatującą w niebo.

Poczułem tylko, jakby z myśli głowa,
Pierś spadła z serca: ze mnie moje ciało.
A jam wciąż czując sam siebie i życie,
Rozwiał się, zda się, jak w Niebios błękicie,
Jak w świetle słońca, jakby w wiatrów tchnieniu
Byłem we wszystkiem i wszystko w stworzeniu.
Widziałem razem i jakby wszystkiego
Pięknośċ i zgodnośċ śród siebie samego
Czułem, wiedziałem, że jest dziełem Pana.
A taka radość niewypowiedziana,
Takie zdumienie, takie uwielbienie,
Taka cześć, miłość, wdzięczność, zachwycenie,
Niosły mię w górę: żem jak śpiew natchnięty
Czuł i brzmiał tylko: Swięty, Swięty, Swięty!

I wszystko w koło, i przy mnie wy wszyscy,
Co choć niewidząc, czułem żeście bliscy:
Wszystko to razem było jednem pieniem
Światłością, wonią — jabby jednem tchnieniem
Boga! — co każdy z nas, wszystkich myślami,
Czuł, widział, żeśmy w Nim, a On w nas, z nami.

Widzenie to całe jest najszczytniejszą poezyją prawdy chrześciańskiéj. Miejsc takich nie brak w Felicycie, która choć niezawsze pod względem artystycznym wolną jest od zarzutów krytyki, ale wartością swoją wewnętrzną będzie zawsze należeć do prawdziwych klejnotów literatury naszéj. Dla takich to właśnie miejsc, prawdziwie namaszczonych niebiańskiem natchnieniem, jak i dla całéj dążności przeprowadzonéj w tym dramacie, ustępują zwykłe literackie i estetyczne uwagi, bo tu o coś większego idzie niż o sztukę — to jakby hymn na cześć Zbawiciela; wtorujmy mu do chóru, oceniajmy i pojmujmy uczuciem, ale nie podciągajmy pod przepisy krytyki, bo takowe nie śmią się ocierać o to, co już wchodzi w dogmata wiary, chyba w takim przypadku, jeżliby poeta pozwolił sobie pojmować je i wystawiać inaczéj, niż je pojmuje i wystawia Kościół. Gdy zaś w Felicycie nigdzie poeta nieodbiegł od żywych prawd i obrzędów kościoła, jeżeli w czem pozwoliłem sobie zrobić uwagę, to tylko w ustępach przedstawiających grę charaktetów i namiętności ludzkich. — Akt ten kończy się jak był zwyczaj u pierwszych Chrześcian, gotujących się na męczeństwo, wspaniałym obrzędem przyjęcia Ciała i Krwie Pańskiéj, poczem chór przyszłych męczenników zanucił hymn, a raczéj parafrazę modlitwy Pańskiéj, pełną wysokich lirycznych piękności i prostoty, niezbędnéj tam, gdzie rzecz sama obejść się powinna bez wszelkich ozdób.

Tłum ludu na forum. Poeta trafnie otwiera piąty akt objawieniem opinii publicznéj w gronie obywateli rozmawiających przed świątynią Feba o mającéj się spełnić karze na Chrześcianach. Niektórzy cieszą się z téj kary drudzy obawiają się poruszenia ludu; inni znów wychwalają ten zapał religijny w Kartadze — najmądrzéj jednak odzywa się obywatel:

Lud w moich oczach, jest to obłok czarny,
A czarny na wpół z ciemnoty, w pół z brudu.
Wrzask, to grom jego; myśl, to miech Eola,
Zkąd wszystkie wiatry na wsze świata strony
Dmą wszystkie razem: Eury, Akwilony,
Czasem i Zefir. A zaś jego wola,
To istne morze; — gdzie je wiatr popędzi,
Wre, szumi, huczy, pryska w nieba stropy,
A w koło pierwszéj wyższych skał krawędzi,
Już tylko skacze i liże jéj stopy.

Słowa te charakterystyczne i pełne prawdy; — historya stwierdza je tak często, a mimo tego bożyszcze to bywa stawiane na ołtarzu, ale jak zasłona, za którą zwykle ukrywa się jakaś ambicya lub zbrodnia używająca ludu za narzędzie.

Cały początek aktu poświęcony przygotowaniom do uroczystości — Pomponiusz z żołnierzami toruje drogę dla kapłanów, którzy idą processyonalnie niosąc swoje bożyszcza — Arcykapłan, nieszczęśliwy ojciec, wzbudza politowanie w tłumie, a choć słychać z ust jego bluźniercze słowa, nikt się niemi nie gorszy.

Bo nie nam sądzić, kto tu winien raczéj:
Czy ten co cierpi, czy co prześladuje.

Zjawia się Olimpiusz — krótkiem słowem: Ona nie umrze! uspokaja Arcykapłana i każe mu rozpoczynać obrzęd. Chóry kapłanów i kapłanek śpiewają hymn:

Jo Pean! Boże Febie!

Po skończonym hymnie Olimpiusz wydaje rozkaz przyprowadzenia więźniów;

Niech Bóstwu Sewera
Każdy lub złoży swą cześć lub umiera.

Orszak Chrześcian nadciąga śpiewając:

Za śladem Twoim Panie!
Krzyż Twój niesiemy w duchu;
Wrogów Twych urąganie
Głos nasz tłumi w ich uchu.
Lecz Ty go usłysz w Niebie,
Odpuść temu ludowi,
I niech śmierć z nas jak z Ciebie
Prawdą do serca przemówi.

Vulpiskus każe mu milczeć, występuje przeciw niemu Kwintus ów młodzian, karcony dawniej za swoją zapalczywość przez Satura i oskarża Vulpiska jako go namawiał w więzieniu do krzywych świadectw tak przeciw współbraciom, jak przeciw Olimpiuszowi. Vulpiskus prosi Olimpiusza aby mu oddał sąd nad Kwintusem — i obracając się do żołnierzy powiada: niech umiera! — Kwintus szydząc z tyranów Romy, obraca się do swoich i mówi:

„Bracia! jak umrzeć bierzcie wzór z Kwintusa.—

Satur.

Ach! on chce wsławić siebie, nie Chrystusa!
Módlmy się bracia! bo o mocy swojéj
Kto zbyt w niéj ufa, w próbie nie dostoi. —

Pyszny młodzian w rzeczy saméj odwołuje wszystko na torturach — Epizod ten wzięty także żywcem z natury, z przykładów może świeżych, miał jak słyszałem pogniewać pewną młodzież na poetę, która w tem widziała wyszydzenie jéj zapału. Jeżeli to prawda, fakt byłby zasmucającym; miałażby niecierpliwa porywczość, chwilowa zapalność, chętka odznaczenia się, buta młokosia, więcéj wzbudzić czci, niż spokojny, wytrwały, cierpliwy, pokorny charakter chrześciańskiego męża, który niewyzywa prześladowań, ale gdy nań spadną, znosi je i nigdy się nie zaprze swéj wiary? — Takie skrzywienie najprostszych pojęć zapewne było wynikiem chwilowéj gorączki, która aż podszeptnęła zabawną zemstę zakupna pierwszéj edycyi Felicyty i skazania jéj na *auto da fe*. W rzeczy saméj pierwsza edycya należy dziś do rzadkości, a sposób wytępiania szkodliwych książek przez ogień, tak wyszydzany, kiedy go używała inkwizycya, nieznalazł ani jednego głosu karcącego, kiedy obałamucone głowy niszczyły najlepszą może książkę, jaka w tych czasach wyszła. Szczęściem edycya zrobiona w Poznaniu, unieważniła tę zemstę, która oby należała do bajecznéj historyi naszych czasów!

Tu następuje miejsce najwięcéj mające dramatycznego żywiołu w Felicycie. Olimpiusz zapytuje z urzędu każdego z przyprowadzonych Chrześcian czy chcą wykonać ofiarę na ółtarzach Romy: Nie jest to jednak zimne, surowe, przemówienie władzcy, ale słowa przyjaznéj perswazyi, mogącéj rozbroić wszelką zaciętość i upór zbrodniarza, ale nie świętych wyznawców wiary

Chrystusa. Szczytne są odpowiedzi Chrześcian, zacząwszy od Satura, do którego się odzywa:

Starcze! znam w tobie i ważę człowieka,
Wiem, słowo twoje jest u nich powagą;
Cnotliwym mędrcem zowie cię Kartago.
Sprawdź to dziś czynem; mów! Zbaw ich od kaźni.
Mów, niech szaleństwo potęgi niedrażni.

Satur.

Bóg jest potęgą, któréj kto się boi,
Olimpiuszu! niezna obaw innych:
I tam przed sądem śmiało nawet stoi,
Gdzie sędzia nieśmie uznawać niewinnych.

Olimpiusz (do Deodata).

Żołnierzu Romy! tyż wieńczone skronie
Dasz pod miecz hańby, w walce tak niegodnéj?

Deodatus.

Potomku Prisków! zajrzyj mi na tronie,
Że ginąc w więzach, czuję, żem swobodny.

Olimpiusz (do Artaxiusza).

Artaxiuszu! ty mię pojmiesz przecie;
Ty wiesz, że pozór prawdy nie stanowi.

Artaxiusz.

Bóg zstąpił z nieba, by swój czyn na świecie
W śmierci za Prawdę wskazać człowiekowi.

Zawiedziony w oczekiwaniu Prokonsul, który jak wiemy niczego bardziéj nie pragnął jak bodaj pozornego zaprzania się chrześcian aby tym sposobem ocalić Felicytę, uniewinnia się, a tych, jak powiada: szaleńców, robi winnymi losu, jaki sobie sami zgotowali i poleca spełnić na nich wyrok.... Tych samych słodkich sposobów używa obracając się do Felicyty.... Chwila to okropnéj próby w obec starego ojca i kochanka.

A ciebież niewzruszy
O! nie już miłość — lecz patrz! ta wpół żywa
Na licu starca bladość przeraźliwa?
Te łzy wstrzymane w osłupiałem oku,
Oczekiwaniem, jak gdyby wyroku
Słowa z ust twoich — z ust swego dziecięcia?

Felicyta (rzuca się ku ojcu).

Puśćcie mię! — Ojcze!

Arcykapłan.

O! pójdź w me objęcia,
Pójdź, córko moja!

Olimpiusz (wstrzymując go).

Stój! niech wprzód obwieści
Że chce żyć dla nas.

Felicyta.

O Matko boleści!
Wspieraj mię! ból ten przeszedł moje siły.

Łzy się rzucają z ócz Felicyty — Olimpiusz nabiera otuchy że serce jéj zmięknie w dziecięcym płaczu, każe z niéj zdjąć kajdany i podać jéj lutnię, aby na cześć Feba zanuciła hymn, który wyjedna jéj przebaczenie... Tu następuje śpiew, w którym opiewa chwałę Chrystusa, są w nim miejsca ożywione liryzmem, ale to wszystko ciągnie się przez cztery kartki, i pretensyą do szczytności jest zbyt za długie, zwłaszcza w chwili w któréj się dzieje, a również wśród słuchaczów jakiemi była otoczona, każde bowiem jéj słowo od samego początku było bluźnierstwem w uszach pogańskich kapłanów i kapłanek. Jedną uwagą możnaby to usprawiedliwić, że sami poganie tak zostali porwani boskością jéj natchnienia, iż dopiero gdy skończyła, opamiętali się i zawołali chórem:

Bluźnierstwo! — na śmierć, na śmierć ją! Znieważa
Natchnienie Feba!

Zapewne byćby to mogło, lecz mgliste, symboliczne, mistyczne obrazy i przenośnie, niewiem, czy łatwo mogły słuchaczy tak owładnąć aby cierpliwie dosłuchali do końca téj improwizacyi w guście Deotymy... Tego rodzaju długości aczkolwiek piękne, przeszkadzają czytelnikowi, że mu trudno znaleść się w całym tym dramacie.

Lud chce się rzucić na bluźniącą Felicytę, Olimpiusz wstrzymuje go, i wybucha przeciw Vulpiskowi, który usprawiedliwiając gniew tłumu, prokonsula podejrzywa o zdradę — Tymczasem Chrześcianie zostają odprowadzeni przez Aspera na miejsce, gdzie mają uczcić posąg Sewera, lub ponieść śmierć męczeńską. Następuje scena między Olimpiuszem, Arcykapłanem i Vulpiskiem; w chwili téj rozstrzygającéj o losie drogich osób, spadają maski — w Arcykapłanie odzywa się krew ujarzmionéj Kartagi, przeklina panowanie Romy. — Vulpi-

skus każe go imać jako zdrajcę — Olimpiusz zasłania starca powagą swoją, i gotów jest w téj chwili rozwinąć chorągiew buntu na czele przychylnych sobie legionów.... Tymczasem w zamięszaniu tem przybywa Dekurion po Dekurionie i opowiada jak śmierć męczeńską ponosili w Hipodromie Deodat, Artaxiusz, Satur a nareszcie Felicyta i Perpetua... Gdzież Asper ów przyjaciel Olimpiusza, co miał porwać i uprowadzić Felicytę?— Asper wchodzi — Olimpiusz rzuca się nań z mieczem i woła: Zdrajco!

Asper.

Masz, uderz! lecz wierz, jest Bóg żywy
Bóg Chrześciański! Słyszałem straszliwy
Głos jego w sobie; spełniłem głos Boga.
Każ mię wieść na śmierć! — Świętych niewiast droga
Jest drogą moją. Biada naszéj dumie,
Że chcemy Boga szukać w swym rozumie!
On tam!— moc jego przyszła na mnie z góry.
Każ mię wieść na śmierć! W męczarniach tortury
Wyznam Go. Dla mnie niema już nic, czego
Mógłbym tu żądać — prócz śmierci dla Niego.

Tryumf zupełny Chrześciaństwa, nawrócenie pogan, mieści się w tych słowach, reszta jest tylko parafrazą téj myśli. Lud Kartagi oświecony widokiem świętych ofiar, przejrzał i skruszył bałwany, którym przed chwilą cześć bałwochwalczą oddawał.

Poeta w całym tym ostatnim akcie zamknął i duchową i historyczną prawdę początków Chrześciaństwa — Widok męczenników i męczennic idących na śmierć jak na rozkoszne gody, z uśmiechem na ustach, z niebiańską pogodą w oku — więcéj zyskiwał nawróceń,

jak świadczą dzieje, niż najgorliwsze słowo. Czyn poświęcenia się najwymowniejszy apostoł.

Kończąc przegląd tego znamienitego utworu Odyńca, to tylko dodam, że jakkolwiek nie jest on ujęty w karby ścisłego dramatu, mimo tego nieprzestanie być wspaniałym szeregiem obrazów przenoszących czytelnika w owe wieki walk duchowych, które mniéj są od nas odległe, niż uczy chronologia, a więcéj zrozumiałe i budujące, niż niejeden systemat ulęgły w głowie świat przerabiającego pyszałka.

Praktycznie święta myśl: że udoskonalenie wewnętrzne zdolne jest złamać cielesną władzę szatana, i zapewnić tryumf prawdzie, nietylko obudza się i utwierdza w duszy czytelnika po odczytaniu Felicyty, ale nadto wskazuje mu drogi do tego doskonalenia się, stawia wątpliwości i sidła — i uczy pokonywać je głębokością przekonań i wiarą. Niektórzy spokój chrześcianina, cierpliwość i pokorę — radzi nazywają: biernością, kwietyzmem, negacyą czynu i t. d. — a zalecając ruchliwe szamotanie się w czczości, zapominają, że takowe nigdy nic nierozstrzyga — jak niebyłoby rozstrzygło tryumfu krzyża nad pogany.

Lucyan Siemieński.

RUCH SPÓŁECZNY W POLITYCE.

W chwili gdy zwołane być mają konferencye paryskie, społeczność europejska ciekawy przedstawia obraz. Konferencye, to jakby ogromna arena, gdzie zapaśnikami mocarstwa, a widzem cała Europa. Prawda, że w zapasach tych niewolno używać innéj broni prócz gałązek oliwnych, że wymówiono sobie iż w końcu nie będzie i być nie może ani zwycięzców ani zwyciężonych; prawda, że zapasy są tylko pozorne, bo istotna walka odbywa się za kulisami dyplomatycznemi, a gladyatorowie z ułożonym już naprzód programatem wstępują w szranki — publiczność wszakże nieświadoma programatu, bo za owe kulisy ledwie niekiedy przedrzeć się zdoła niedyskretnem okiem, z zaostrzoną ciekawością oczekuje rezultatu zapasów, przekonana ostatecznie, że pomimo wszelkich układów, nie musi tam być zupełnéj zgody, bo wtedy nie byłoby konferencyj.

Taką jest chwila obecna.

Europa gotuje się po raz trzeci na to widowisko, gdzie reprezentanci mocarstw ważą losy nie tylko po-

jedynczych narodów ale i ogólnego pokoju, który jak tylekroć powtarzanem bywa, jest konieczną potrzebą całéj społeczności.

Ztąd w ogóle ciekawość. Lecz nie idzie zatem aby wszyscy widzowie te same podzielali uczucia. Dzielą się oni głównie na dwa oddziały.

Jedni, lubo nie są aktorami w politycznym dramacie są w nim jednakowoż mocno zainteresowani. Chociaż nie biorą udziału w zapasach, przegrana lub wygrana téj lub owéj strony bezpośrednio ich obchodzi. Zmiany odbiją się w ich położeniu, stanowisku; postanowienia wpłyną dotkliwiéj na ich kieszeń aniżeli na kieszeń ogółu. Dla tych konferencye są rzeczą wielkiego zajęcia: każdy domysł jest ważny, każdy wypadek nie tylko że nie jest obojętnym, ale budzi obawy, powątpiewania lub nadzieje. Ci przeto przypatrują się przygotowaniom i samemu dziełu z punktu przedewszystkiem politycznego, czyli praktycznego. Nie chodzi im bynajmniéj dla czego się to dzieje, lecz o to tylko co się dzieje i co się stanie.

Drudzy, co żadnych do konferencyj nie wiążą nadziei co się nie lękają rozczarowania, dla których wypadek jakikolwiek on będzie, żadnéj nie przyniesie zmiany przynajmniéj bezpośrednio wpływu mieć na nich nie może, ci więcéj badawczem niż ciekawem spoglądają okiem. Konferencye zajmują ich o tyle, o ile są odbiciem ruchu społecznego w polityce, formą, którą ruch ten w politycznych kwestyach, przybiera. Konferencye nie są wypadkiem opatrznym, niespodziewanym, nieobrachowanym w swych następstwach, zgoła takim któregoby dążność ostateczną do wyższéj woli kierującéj losami ludzkości odnosić wypadało. Wolno dociekać jego przyczyny, jak wolno odgadywać lub przewidywać następstwa. Powodem głównym tego zjawiska, które dziś zamieniło się w system polityczny, z całą wystawą i

organizacyą trybunału, do którego odnoszą wszystkie niemal sprawy, na który powołują się i rządy i ludy, jest kierunek ruchu w jakim postępuje cała społeczność.

Cóż przedewszystkiem uderza w tym ruchu? jakaż główna jego cecha?...

Oto naprzód wszystko się powiększa, rozszerza, wszystko przybiera ogromne rozmiary, albowiem masy wchodzą coraz bardziéj w życie publiczne. Wprowadzenie to ogółu w życie publiczne, musiało wypaść na szkodę życia prywatnego. Wszystko też dąży jakoby do powiększenia dobra ogółu: wszędzie korzyść publiczna jest przyjętem hasłem i przeważa dogodności a nawet prawa życia prywatnego.

Na téj drodze indywidualizuje się spółeczność, lecz oraz im daléj na niéj postępuje tem mniéj widać indywiduów. Indywidua giną, masy tylko zajmują. Powiedzieć można, że niema już indywiduów. Największa, może nawet jedyna indywidualność w Europie, ma tylko siłę przeczącą. Nic zbudować nie jest w stanie, odznacza sią tem tylko czego nie dopuszcza, na co nie pozwala.

W skutek rozczłonkowania spółeczeństwa, indywidua coraz więcéj mięszają się z sobą, przechodzą w masy, spływają w ogół i wkrótce nie będzie można żyć tylko ogółem, w ogóle i dla ogółu. Z każdym dniem staje się to wydatniejszem: z każdym dniem mniéj znaczą indywidua, bo nie reprezentują nikogo, z każdym dniem masy nabierają większego znaczenia. Wpływy pojedyncze słabną w prostym stosunku do przewagi coraz wzrastającéj wpływów ogólnych.

Prąd niepowstrzymany pędzi spółeczność do jedności, czyli po prostu do kosmopolityzmu, a w tym prądzie interes tak zwany ogółu, interes publiczny, spółeczny, będzie coraz więcéj gnębił interes prywatny, indywidualny. Wszystko zmierza ku temu: obyczaje, instytucye, ustawy, wynalazki, nauki, wszystko zgoła przychodzi

w pomoc temu ruchowi społecznemu. W tym kierunku idzie i chce iść społeczność, bo teorye idą daléj niż praktyka. Zasady sięgają daléj niż wykonanie. Państwo, forma społeczności w tym ruchu, nie może odpowiedzieć wymaganiom równości bezwzględnéj, niwellacyi, rozczłonkowania i centralizacyi stawianych przez ogół; nie może przyjąć na siebie wszystkich obowiązków wypływających z praw, które mu w rękę wciska społeczność, wyzuwając się z nich na jego korzyść. Czegoż dziś nie żąda od państwa społeczność? Doszło już do tego, że częstokroć nie tylko po niem wymaga, aby urządzało własność, ale nawet aby wychowywało rodzinę. Państwo hamować więc musi ow ruch zbyt pospieszny: lecz jak dalece hamować go jest w stanie?...

Posuwa się więc społeczność na téj pochyłości, czyli zdaniem powszechnem, na drodze postępu i cywilizacyi. Ruch przyśpieszony ma być na korzyść ogółu. Czy tak będzie ostatecznie — rzecz sporna. Przyszłość dopiero rostrzygnie. Ale to pewna, że czy ogół zyska lub nie indiwiduum straci. Utraci ono w ruchu tym wolność, prawo i siłę. Dziś rzecby można posiada już tylko tyle tych trzech żywiołów składających jego istotę, ile jéj państwo z takowych udziela. Czy to dobrze lub źle — napróżno rozbierać, bo rzecz nieunikniona, jakby przeznaczenie. Oburzać się byłoby niedorzecznem — poddać się jest koniecznością.

Utrzymuje wielu, że indiwiduum nazbyt wielką odgrywało rolę w społeczności, że za nadto żyło dla siebie. Może teraz nie znajdzie wcale miejsca w życiu społecznem, może nie będzie mogło żyć dosyć dla siebie. Bo w społeczeństwie, gdzie wszystko dzieje się w imie ogółu a nic dla indywiduów, równowagi interesów zachować nie można. Jedne gnębić muszą drugie a wiadomo, że niema nic samolubniejszego względem interesów prywatnych jak interes publiczny. Lecz jako

żyjąc z ludźmi trzeba przyjąć ich takich jakimi są, tak i na czasy wyrzekać nie należy, skoro ich nikt odmienić nie zdoła.

Że ruch tak silny, wyraźny, tak głęboko zmieniający dawne stosunki społeczne, wpłynąć musiał na politykę czyli na stosunki jednych państw z drugiemi, to wynika z saméj natury rzeczy. Kierunek polityczny musiał stanąć w pewnéj harmonii z kierunkiem w jakim postępuje cała społeczność. Owym kluczem, który stosunki społeczne w szczególności i stosunki państw, czyli całéj społeczności w ogóle nastraja do jednego kamertonu, są właśnie konferencye. Zebrania te, uważane jako nowa instytucya polityczna, noszą zupełnie te same cechy co ów ruch społeczny o którym mowa.

Podstawa ich, wspólność zasad i solidarność interesów, odpowiada całkiem owéj dążności kosmopolitycznéj znamionującéj dzisiejszą społeczność. Narodowości odgrywają w konferencyach rolę indiwiduów; niema też wcale o nich mowy. Państwa reprezentują masy; razem wzięte stanowią ogół. Wszystko też dzieje się dla ogółu: konferencye znają tylko interes europejski. Interes ten ma górować ponad wszystkie inne: w jego imię wymaga się poświęcenia interesów szczegółowych. Nikt dawniéj zapewnie nie sądził, aby można utworzyć sztucznie pokój europejski, aby go można sztucznie utrzymywać. Pokój był w Europie bo był, bo nie było wojny. Dzisiaj pokój jest dla tego, że państwa na konferencyi uważają utrzymanie pokoju za konieczną potrzebę. Pokój utrzymuje się istotnie tylko dla tego, że zapisany na papierze; że na wojnę zezwolić państwa nie chcą, bo do prowadzenia wojny wola dwóch państw już dzisiaj nie wystarcza. Byłoby to uznaniem niejako indywidualności w polityce, a powinna w niéj być tylko solidarność. Zresztą, podobnie jak państwa pojedyncze nie mogą przyjąć wszelkich praw, które im ruch społe-

czny poruczyć i oddać usiłuje, tak też i konferencye nie chcą się zajmować wszystkiemi sprawami, które przed niemi różne państwa wytoczyć usiłują. Bo nic już się teraz nie stanie w Europie, niemasz jednego sporu, jednéj sprawy, którąby natychmiast pod trybunał konferencyj oddać nie chciano. Czy rzeczywiście wypadek zawsze obie strony sporne zadowolniający jest tego przyczyną? Nie zdaje się, ale taki jest prąd, taka kolej w ruchu społecznym, którego odbicie w polityce przedstawiają konferencye.

Czy cała Europa w politycznem swem rozwinięciu zyszcze wiele na ustanowieniu takowego Trybunału — to znów kwestya przyszłości. Ale to pewna, że pojedyncze państwa tracą na godności, niepodległości, a zwłaszcza narody w indywidualności swéj szwankują. Gotuje się wielki europejski Kosmopolityzm, którego jak dotąd pieniądz jest jedynem bożyszczem. Siła i przewaga jaką dają pieniądze, jakoteż finansowe kwestye, są głównem źródłem anomalij rażących w tym ruchu społecznym Stąd nierówności, opór, ścierania się, sprzeczność interesów, obawy i niespokojności, niedające się niczem uciszyć. Trudniejsza do załatwienia, każda sprawa zagrażająca przesileniem finansowem, aniżeli najzawilsza sprawa na podstawie prawa narodów oparta.

W końcu, tak jak ruch społeczny nie zdołał jeszcze wciągnąć w swe koło wszystkich żywiołów, tak aby już żadnéj nie znalazł opierającéj się indywidualności, bądź w tradycyi, bądź w instytucyi, bądź w przyrodzonem jakowem prawie, tak też i w konferencyach niemasz zupełnéj równości, a nawet i zupełnego w Europie uznania. Nie wszystkie państwa do nich należą, nie wszystkie też poddać się chcą wyrokom tego trybunału, gdzie ostatecznie społeczność polityczna europejska reprezentowana jest przez pięć wielkich mocarstw.

Na tę stronę społeczną konferencyj zapatrują się przedewszystkiem ci, którzy nie biorą w nich innego udziału prócz tego, jaki wziąść musi każden członek społeczności europejskiej. Strona polityczna konferencyj nierównie jest rozmaitsza a oraz ruchliwsza. O téj nic naprzód powiedzieć się nie da. Każde nowe konferencye nowe mogą mieć polityczne znamiona. Lada nota dyplomatyczna lub interpellacya w parlamencie angielskim, może zburzyć całą choćby najskrupulatniej i na najprawdopodobniejszych domysłach wzniesioną budowę. Wypadku więc trzecich konferencyj paryzkich czekać należy, aby ich polityczną fizyonomię i doniosłość nakreślić można.

MAURYCY MANN.

KRONIKA.

Kraków w maju.

Zamknięta wystawa obrazów, teatr wybrał się na letnią wędrówkę; resursy, kawiarnie i piwiarnie wyludniają się; mieszkańcy zaczynają używać przechadzki po plantacyach, albo w liczniejszych teraz niż kiedykolwiek ogródkach szukać „ochłody“; wycieczki niedzielne za miasto już się rozpoczęły, kurz biały wapienny osiada na sukniach i płucach, słowem mnóstwo tych i tym podobnych zdarzeń wskazuje, że w mieście już wiosna. Wiosna w mieście a na wsi, to nie zupełnie to samo. Na wsi liczy się ją wedle stanu powietrza, atmosferycznych jego przygód i stanu roślinności; w mieście trzyma się ona ściśléj kalendarzowego rozkładu i przepisu żurnalu mód. Kiedy żurnal przychodzi z Paryża, to tuż za nim przybywa i wiosna. Nieraz dobrze jeszcze zimno, cóż kiedy zamiast futrzanego zarękawka, przepisała moda tiulowe nadęte rękawki, podobnie jak kapelusze z odkrytem naczółkiem na 20 stopni mrozu. Maj w naszym kraju nie jest bynajmniéj synonimem wiosny: śnieg w dzień św. Stanisława nie liczy się do nadzwyczajności. Parę dni pięknych i ciepłych, wyjątkowo da-

ły nam uczuć, czemby wiosna być powinna, gdyby się ściśle trzymała swojéj poetycznéj definicyi.

Z pośpiechem też chciano korzystać z pogody i ciepła w pierwszym dniu Zielonych Świątek. Bielany, zwykły w te święta cel wycieczek, zaległy tłumem pieszych wędrowców, dorożkami i wozami chłopskiemi, szałasami i namiotami żydów, szynkarzy i przekupniów, odpustowemi żebrakami i mnóstwem koczujących na trawie i wśród lasu rodzin, otoczonych koszami jadła i napitku i gronem wesołych przyjaciół.

Bielany w Krakowie, a Bielany w Warszawie, to zupełnie co innego. Tam jedzie się na to, żeby się pokazać: nie Bielany przeto są celem przejażdżki, ale droga do Bielan wiodąca; tu jedzie się, żeby się wychuśtać, jeść i pić rozciągnięty na trawie i wyszumieć prędzéj na wolnem powietrzu. Droga do Bielan gościńcem, to podróż przez Arabię skalistą, a potem przez Arabię piaszczystą. Chcąc się tamtędy dostać na Bielany bez szwanku sukien i zdrowia, trzebaby jechać w szczelnie zamkniętéj karecie. Mimo tego jednak niewidać na naszych Bielanach karet, ale za to co niemiara wozów chłopskich, wiozących przypadkowo zebrane towarzystwo.

Kto wszelako pragnie użyć prawdziwie wiosennéj wycieczki i nieobarczony koszami jadła i familią, nasycić się zapachem lasu i rozweselić oko widokiem hałaśliwej rzeszy i świeżéj przyrody majowéj, a nie lęka się parogodzinnéj pieszo wędrówki, mniéj wprawdzie wygodnéj niż bitym gościńcem, ale za to nie tak jednostajnéj, ten powinien chodzić zawsze na Bielany przez Wolę i Panieńskie Skały. Przebywszy błonia, idzie się to ogrodami i polami, to wąwozem rozdartéj góry, którą jakieś gwałtowne przed wiekami wstrząśnienie rozczepiło na dwie połowy i stoczyło w tę rozpadlinę skaliste urwiska, to pachnącym lasem, to stromą górą do niedawna jeszcze pokrytą różnego rodzaju drzewami liściowemi i iglastemi, a dziś smutną i nagą; aż wreszcie wchodzi się w prawdziwy las bielański, z którego nagle na skręcie dróżyny wychylają się wieże kamedulskiego klasztoru. Jeden z wielkich miłośników przechadzek górzystych, zalecał tę drogę z Panieńskich Skał na Bielany pod górę, jako najzbawienniejsze lekarstwo dla wygodni-

siów miejskich, nawykłych tylko chodzić po woskowanych posadzkach i wygładzonych marmurowych chodnikach rynku. Las do Woli Justowskiéj należący, padł już pod siekierą handlarza drzewa, oby taki los nie spotkał lasu bielańskiego, który już przed kilku laty stracił najwspanialsze dęby swoje.

Znaczna część osób przybywa na Bielany jedynie ze względu na odpust. Rozrywka lub spoczynek służy dla nich tylko jako pauza, między nabożeństwem rannem a południowem. Dla takich, zgorszeniem jest wszelka zabawa powadze dnia uwłaczająca, a szczególniéj pijatyka. Wszelako ogólną cechą zbiegowiska bielańskiego jest w tym roku bardziéj jeszcze niż lat poprzednich: cel pomnożenia dochodów propinacyi. Jeżeli więc Bielany warszawskie wyglądają jak wielka wystawa strojów — Bielany krakowskie podobne są do karczmy.

Maj jest głównym miesiącem nabożeństw w świecie katolickim. Kraków, który co do religijności swojéj przewyższa wiele innych miast polskich, modli się przez ten miesiąc nietylko po licznych kościołach swoich, ale i po ulicach. Wieczorne śpiewy rozlegają się pod kościołem Maryackim, przed Kapucynami pod posągiem N. P. Maryi, na Piasku i na wielu innych miejscach. Lud przechodzący skupia się około figur i ołtarzy zewnątrz kościołów i wtoruje śpiewakowi, a przytem rzuca grosze na światło. Przewodnik śpiewów trzymając się téj zasady, że kto kościołowi służy, to z kościoła żyje, przedłuża samowolnie majowe nabożeństwo tak długo, dopóki tylko grosze sypią się na talerz, do późnej więc jeszcze jesieni słychać rozlegające się pobożne śpiewy. Ustają one wtedy, gdy deszcz i śnieg zmniejsza liczbę zatrzymujących się a zarazem i liczbę groszy. Tak więc i na Bielanach i przed kościołem maryackim z nabożeństwem łączą się świeckie i nazbyt świeckie cele.

Przez Kraków przeciąga teraz wędrowne ptactwo, tem od pospolitego różne, że na zimę wraca do domu, a lato spędza w odległych stronach. Znaczniejsza część tych wędrowców omija miasto nasze, bo im tak pilno za granicę, że uważaliby ten dzień za stracony, który ich od obczyny przedziela. Rzadki gość co wyjątkowo tu zboczy.

Zapisujemy też pilnie w codziennej dziennikarskiéj kronice przyjazd i wyjazd każdéj „illustracyi“ literackiéj, bo nieposiadamy prawie innych prócz literackich znakomitości. Był tu Wojcicki, Moniuszko, Kraszewski, ma być Syrokomla W Polsce autorem tylko być warto, a jeżeli nie autorem, to chociaż artystą. Nie uwłaczając zasługom wymienionych tu osób, zastanowić się warto nad tem, jaki urok wywiera zawsze u nas imię wydrukowane. Imię autora choćby najdrobniejszéj i najmniej znaczącéj książeczki, stoi zapisane nietylko na jéj okładce, ale po wszystkich spisach bibliograficznych, po katalogach księgarskich służących za ważny materyał do historyi piśmiennictwa, po czasopismach literackich, owych homeopatycznych rozkrzewicielach oświaty. Choćby po pewnym lat przeciągu zapomniano je na chwilę, wydobędzie ono się w późniejszych czasach jako pożądane odkrycie bibliograficzne, jako jedna z tych licznych, choćby drobnych cegiełek, z których skrzętni budownicy pragną wystawić, o ile można jak najwspanialszy i najrozleglejszy gmach sławy narodowéj. Przy budowie gmachu tym kładą na froncie piękne ciosy, ale w uboczne mury tłoczą bezładnie surowy kamień i drobne okruchy cegły.

A cóż tu mówić w porównaniu z tuzinkowemi pisarzami, o autorze książki zasługującéj na uznanie krytyczne, na umieszczenie w arystokratycznym szeregu wybrańców! Choćby autor dzieła lub dziełka zataił nawet imie swoje, choćby je okrył grubą zasłoną imienia przybranego, znajdą się pilni i troskliwi szperacze, literackie szpiegi, co zajrzą pod zasłonę pseudonymu i tajemnicę odkryją.

Wszelka inna praca umysłowa niedaje tego przywileju, niedaje go nigdzie, tem mniéj w kraju naszym; praca nawet dziennikarska tyle z nią wspólnego mająca, nie otwiera jeszcze wstępu do tego koła wybranego. Bo dziennikarz choćby rok rocznie tyle napisał, iż złożywszy to na format ósemkowy, utworzyłoby się kilkunasto lub kilkudziesięcio tomowe dzieło, dzieli on los owego więźnia sybirskich kopalń, co przykuty do taczek, pozbawiony jest imienia. Dziennikarz, podobnie jak on dzień i noc przykuty, nosi tylko znak odróżniający go od innych. Nie może on być wolnym pracownikiem

jako każdy inny na rozległéj niwie piśmienniczéj, lecz miewa sobie wskazany celem i okolicznościami zakres pracy, a podobny znów z innej strony do fabrycznego wyrobnika, obowiązany jest dostarczać codziennie potrzebną ilość wyrobu swojego, bez względu na to, czy pióro jego radeby się rozmachać i rozpostrzeć, lub czy mu myśl albo ręka ciąży ołowiem, bez względu czy go przedmiot zajmuje i nęci, czy trudzi i nudzi. I w tem jeszcze dziennikarz ma podobieństwo z wyrobnikiem fabrycznym, że nie dla imienia swego, lecz dla imienia firmy fabrycznéj, dla sławy dziennika pracuje.

Rzadki też przykład, by który z współpracowników dziennika, ze sprawozdawców i korespondentów jego wydobył się tak na wierzch, iżby własne prowadził sam przez się jestestwo, nieprzestając zarazem należeć do składu spółki dziennikarskiéj. Potrzeba na to daleko więcéj talentu, niż dla zdobycia sobie wziętości w innym zawodzie pisarskim, potrzeba nadto okoliczności sprzyjających — że nie powiem potrzeba przedewszystkiem przepisu francuskiego prawa drukowego, które autorom artykułów gazetowych podpisywać się każe. Z drugiéj zaś strony, ta jawność dziennikarstwa francuskiego rozbiła je na jednostki, i potęgę jego do maluczkich osobistych sprowadziła rozmiarów; instytucyę dzienników zamieniła na spółkę pisarzy, z których każdy oprócz ogólnego interesu dziennika przy którym pracuje, ma jeszcze swój odrębny interes, interes osobistego odznaczenia się, bez względu częstokroć na wspólne cele całości.

Jeżeli w dzienniku poświęcono indywidualność dla dobra i powagi ogólnej firmy i dla większéj niepodległości zbiorowéj myśli nad pojedynczą, to w niniejszym *Dodatku* miesięcznym, mającym raczej cechę pisma zbiorowego, jakkolwiek jedną kierowanego dążnością, reprezentują się imiona jako autorstwa. Kronika w Dodatku więcej się do dziennikarskiej zbliżająca formy, podziela bezimienność i chwilowość dziennika. Ta jéj chwilowość stawia ją na rozdrożu pomiędzy zbiorem wiadomostek przemijających, zdarzeń rozleglejszy wpływ wywierających, a względami na jej trwalsze przeznaczenie jako pisanéj do książki a nie do dziennika. W tem jéj nieokreślonem stanowisku leży przyczyna, dla czego Kronika krakowska nie ma tak lokalnéj cechy, jakby

ją mieć mogła, a przynajmniéj powinna pod świeżym wpływem okoliczności. Ażeby ją zapełnić rzeczami miejscowemi, a uniknąć przejścia w lesażowe obserwacye, trzebaby albo wkroczyć w zakres wyłącznie dziennikarski, albo zrzec się cechy lokalnéj, jaką mieć powinna kronika, skoro ma sobie naznaczoną miejscowość, albo.....

Wiedeń w maju.

Odżyła natura i miasto przybrało inną postać. Wspaniale rozzielenione i ukwiecone przechadzki i ogrody, przyciągają tłumy szukające świeżego powietrza i ochłody w cieniu. Upały mieliśmy już nieznośne, a potem zimna przejmujące. Wszakże większa część ranków i wieczorów oddychała prawdziwem majowem tchnieniem. Publiczność zaczyna się krzątać około przyborów do wyjazdu na wieś. Okolice Wiednia już są prawie zupełnie zajęte przez miejskich wędrowców. Jak zwykle, Baden, Brühl, Brunn, Mödling i Hitzing trzymają w tem przesiedleniu pierwsze miejsce. Od strony Dunaju, Döbling, Dornbach, Sievering zdają się być w tym roku więcéj zaludnionemi niż w przeszłym. Mieszkania miejskie znacznie wszakże podrożały i krzyk na brak pieniędzy ogólny Jak rozum Wiedeńczyków wychodzi w téj arytmetyce na swoje, pojąć trudno. To pewna, że w życiu zewnętrznem jest więcéj ruchu, blasku, a nawet tu i owdzie wystawy jak dawniéj.

Mieliśmy właśnie sposobność przypatrzenia się temu postępowi na wyścigach konnych. Przed trzema, jeźli się nie mylę laty, zabawa ta odbyła się z nadzwyczajną pod wszelkiemi względami skromnością i oszczędnością. Naprzód konie same zaledwie warte były widzenia. Potem, publiczność zwołana na widowisko, zamykała się prawie wyłącznie w arystokracyi, dla któréj *Prater* jest zwykłą codzienną przechadzką. Ludność miejska niemiała można powiedzieć żadnego udziału. Przeciwnie w tym roku, wyścigi stały się widowiskiem tak popularnem, iż Anglicy dość liczni, wyznawali z pewnym rodzajem narodowéj dumy i osobistego zadowol-

nienia, że Wiedeń i w tym względzie dobrze robi biorąc za wzór ich niezrównaną ojczyznę. I w rzeczy saméj, nie tylko zapał widzów, których jak powiadam, massa zaległa obszerny plac przeznaczony na wyścigi, ale i wszystko inne było albo angielskie, albo przynajmniéj na krój angielski. Sławny w ostatnich wyścigach angielskich „St. Giles“, czteroletni brunatnéj maści ogier, który kosztował hr. Henckla 15,000 zł. reń., wygrał wielką 1,000 dukatów wynoszącą nagrodę. Druga również rządowa nagroda z 600 dukatów przyznaną została 4 letniemu angielskiemu ogierowi „Harlekin“. Inne mniejsze nagrody dostały się również koniom angielskim. W drugich wyścigach, które odbyły się nazajutrz po pierwszych, najwspanialsza nagroda wartości 2,300 złr. podniosła w oczach widzów do godności folblutu dość ładnego konia pochodzenia angielskiego, lecz wychowanego w Austryi. Nagroda ta przedstawiała znacznéj wielkości misternie ze srebra ulaną i rzeźbami przyozdobioną zastawę stołową w kształcie rydwanu: w środku na piedastale osoba olbrzymia wyobrażająca bożka burzy, z płaszczem rozdętym wiatrami, z pochodnią zapaloną w ręku jednem, a drugą ręką wstrzymująca wodzami cztery dzielne rozpędzone rumaki. Na krawędziach rydwanu cztery wielkie figury wyobrażające cztery pory roku. Dzieło to, godne wspomnienia pod względem nawet artystycznym, wyszło z pracowni pp. Mayerhoffera i Kinglofa. Trzecie wyścigi odbyły się w dzień następny z końmi kłusowemi zaprzężonemi do lekkich małych powozików. I tu koń rodu angielskiego otrzymał pierwszeństwo, przebiegając na Praterze przestrzeń prawie dwóch mil angielskich w 8⅓ minutach, gdy koniom austryackim, węgierskim i t. d. trzeba było aż do dziesięciu minut. Ostatnie wyścigi z przeszkodami odbędą się w Pottendorff u księcia Pawła Esterhazego, i przedstawią zapewne widok jeszcze ciekawszy. Jednem słowem, publiczność wiedeńska zaczyna się tego rodzaju widowiskom z upodobaniem przypatrywać. Rząd ze swojéj strony znacze zrobił towarzystwu zajmującemu się urządzeniem takowych, ułatwienia. O ile jest rzeczą pożyteczną dla kraju pod względem chowu koni, zwyczaj wyścigów w ogólności, i o ile w szczególności może odpowiadać temu celowi w Austryi, o

przypuszczeniu do takich zapasów koni kupionych w Anglii po prostu dla wygrania zakładów i nagród, wyrokować nie chcę. Zdaje mi się wreszcie, że czytelnicy *Czasu* widzieli tę kwestyę dokładnie i gruntownie rozebraną w listach księcia Wład. Sanguszki.

Po wyścigach najwięcéj zajmowała w tym miesiącu ciekawość publiczną, wystawa obrazów w *Kunstverein*, która istotnie odznaczała się od wielu poprzednich nie tylko dobrym zbiorem prac krajowych, ale i niepospolitym zasiłkiem pierwszych talentów malarskich z zagranicy. Dwa obrazy p. Gallait z Belgii, jeden przedstawiający Tassa w więzieniu, drugi zeznanie jednego z przyjaciół hr. Egmonta przed księciem Alby w procesie, który stał się historyczną zbrodnią, — uderzają rzadką pięknością tak pod względem pomysłu jak i wykonania. Piewszy z tych obrazów kupionym został przez księcia Demidowa za 8,000 złr. i przewiezionym będzie do sławnéj galeryi, którą ten bogaty mecenas posiada w swéj przepysznéj willi St. Donato przy Florencyi. Znakomity i już oddawna zakupiony obraz p. Winterhaltera przedstawiający grupę kobiet przy jeziorze z opowiadania Boccacia w Dekameronie, uderza czystością rysunku, harmonią układu i przezroczystością kolorytu. Krytyka tutejsza często płytka i pozioma, a zawsze realistyczna więcéj niż idealna, zarzucała mistrzowi, że w ciałach prawie odsłonionych tych kobiet nie wydał dobitniéj naturalnéj i koniecznéj jednych od drugich różnicy, albo raczéj, że oddał je wszystkie za nadto wiernie, biorąc za wzór jeden i ten sam model który bez sprzeczki był doskonałym. Sądziłbym raczéj, że Winterhalter nie robiąc portretu tych kobiet, lecz oddając myśl idealną, trzymał się nie samego modelu który miał przed oczyma, lecz własnego uczucia i pojęcia o piękności form estetycznie uważanych. Różnica w płodach płynących z takiego pojęcia jest zanadto delikatną, żeby je lada oko schwycić mogło. Lecz urok sprawiony na umysłach wprawionych do badania tajemnic sztuki jest tem czystszy i przyjemniejszy. Jak ciała tak i twarze lubo niepodobne do siebie, tworzą każda osobną charakterowi swemu odpowiednią i pod względem artystycznym doskonałą całość, a grupa jest pełną życia, harmonii i ujmującego wdzięku. Kilka figur jest oświe-

conych przedzierającym się przez rozłożyste drzewa promykiem słońca, inne są w cieniu. Koloryt z tego powodu trochę za zimny, ale niemniéj wielkiéj pod względem wykonania wartości. W téj saméj sali obok Winterhaltera, uderzał swą pięknością ogromny krajobraz Auerbacha z Düsseldorfu, przedstawiający wiejskie ustronie w wiosennéj porze roku. Drzewa, domki, rzeka, młyn, mosty, niebo i ziemia są oddane z rzadkim naśladowania upięknionéj natury talentem. Obraz ten kupionym został jak mówiono, za sześć tysięcy talarów. W znacznéj liczbie innych mniejszych płodów, napotkać można było nie jeden niepospolitéj wartości artystycznéj. Przy szczupłych funduszach, które posiada towarzystwo, wystawa tak zajmująca, jak tegomiesięczna, dowodzi zręczności i świadczy o rozległości stosunków z artystami tak krajowymi, jak obcymi. Życzyćby należało, żeby rząd przyszedł nareszcie tym chwalebnym usiłowaniom w pomoc.

Roboty około walenia bastyonów postępują bez przerwy. Nowa ulica przy Dunaju zupełnie ukończona. Widok z téj strony na kanał i w odległe góry, jest wspaniały. Brama czerwona już znikła, i druga prowadząca do koszar Franciszka Józefa I, zostanie w tych dniach ukończoną.

Opera włoska zajmuje ciągle uwagę licznéj i wyborowéj publiczności. Jest to najlepsza na chłodne dosyć jeszcze wieczory rozrywka. Nowe przedstawienie znakomitego dzieła Mozarta: „Cosi fan tutte“ pozwoliło przez doskonałość wykonania ocenić dokładnie wartość téj muzyki, którą Wiedeń słyszał raz tylko, i to podobno jeszcze za życia sławnego mistrza i kompozytora. Pierwszy akt ma, zwłaszcza w częściach tak nazwanych *concertati*, niezwykłe piękności. Styl Mozarta, już ustalony poprzednio w dwóch nieśmiertelnych dziełach, *Don Giovanni* i *Nozze di Figaro*, występuje w nich z nowem bogactwem instrumentacyi i kolorytu. Drugi akt jest trochę zimniejszy. Panie Medori, Hensler i Charton-Demeur i pp. Everardi, Carrion i Angelini wywołali wszakże za każdem wystąpieniem rzęsiste i zasłużone oklaski. W tych dniach usłyszymy operę: „Montecchi e Capuletti.“ W przyszłym i ostatnim miesiącu nowa opera p.

Perelli: „Clarissa Harlow“, i balet, który już się przygotowuje.

W *Carltheater* wystąpi wkrótce w małych sztukach swéj kompozycyi znany baletnik San Leon i panna Fleury, dawniéj tancerka drugiego rzędu w Operze paryzkiéj.

Poznań w maju.

Kiedy w czasach ostatnich wyrabiać się zaczęło w krajach naszych przekonanie, że powołaniem, obowiązkiem epoki i pokolenia obecnego jest zajęcie się sprawą włościańską, ukazały się pisma prawie wszystkie za granicami królestwa polskiego drukowane, mające na celu obznajmienie umysłów z tem żywotnem zadaniem. Z pism tych jedne poprzedziły wypadki lat 1846 i 1848, drugie w skutku ich ogłoszone zostały. Pierwsze brzmiały głosem rozbudzonej myśli i uczucia, a razem przestrogi i przepowiedni, drugie odzywały się napomnieniem doświadczenia i przekonania na niem opartego. Między temi drugiemi najznakomitszem zapewne pod względem starannego obrobienia i rozpatrzenia się szerokiego w zadaniu, było dzieło Adama Krzyżtopora: „O urządzeniu stosunków rolniczych w Polsce“ drukowane w Poznaniu roku 1851. W niem kraj poznał nowego wielkiej wartości pisarza, a w autorze dostrzegł jednego z najcelniejszych umysłów jakim poszczycić się może. Dzieło to z żywem zajęciem, z należytem ocenieniem przyjętem było, lecz że o zadaniu którem się trudniło, z stanowczem odzywało się zdaniem, że rozmiar obszerności i głębokości jego obejmowało, że drobnemi nawet zajmowało się urządzeniami, nie mogło wszystkich przekonaniu i wyobrażeniom dogodzić, więc wywołało spostrzeżenia krytyczne, i drukiem publicznie i wśród poufnych rozmów głoszone. Jest to bowiem właściwem każdemu większego znaczenia słowu, że obudza myśli innych, i do starcia się z sobą przeciwne zdania i wyobrażenia podnieca. Autor chcąc z niektórych uwag korzystać, inne odeprzeć, wygotował i do druku podał uzupełnienie swego pierwszego dzieła, któremu nadał tytuł: „Po-

ranki karlsbadzkie". Użył on formy dialogu, ułatwiającej mu stawianie i zbijanie rozmaitych zarzutów, a na miejsce tego dialogu wybrał Karlsbad, gdzie się rodacy nasi z różnych części kraju w czasie kuracyi zbierają. Forma dialogu, którą sobie starożytność tak upodobała, jest przyznać należy, niezmiernie wdzięczną, powabne ona nadaje kształty najgłębszym i często umysł mordującym dociekaniom, i ozdabia je urokiem dramatyczności. Lecz starożytni pisarze na scenę tych dialogów najznakomitszych czasu swego wprowadzali ludzi, i tym sposobem nadawali słowom swoim pewną powagę. Czytając ich, łudzi się czytelnik że się przysłuchuje rozmowie tych sławnych mężów, i tem chętniej natęża uwagę i często przekonywać się daje. Z resztą, ileż wdzięku jak w Platonie znajdujem w opisie miejscowości, w rysach obyczajowych, w mniej nawet znaczących szczegółach, które nas w owe odległe czasy przenoszą. W wyborze formy obszerna wolność autorowi zostawiona być powinna, przecięż nadmienię, że w pismie, w którem nie chodzi tyle o literackie zalety, jak o użyteczność praktyczną, dialog przedłużając je bez potrzeby utrudza czytelnika, a tego utrudzenia dodatkami od przedmiotu głównego odrębnemi nie wynagradza. Autor nie miał zamiaru wydania nowego dzieła o sprawie włościańskiej, lecz chciał tylko poprzednie uzupełnić i z zarzutów czynionych mu oczyścić; bylibyśmy więc może woleli, aby nam był drugie wydanie swojej szacownej pracy dostarczył, poprawiwszy ją, przerobiwszy, zbogaciwszy tam, gdzieby był tego uznał potrzebę. Chcąc „Poranki karlsbadzkie" z uwagą i z korzyścią czytać, należy mieć rozłożone przed sobą na stole poprzednie jego dzieło: „o urządzeniu stosunków rolniczych w Polsce", i okiem za autorem raz w jednem to znowu w drugiem postępować. Od tej dwojakiej pracy uwolniony byłby czytelnik otrzymawszy pomnożone i poprawione wydanie pierwszego pisma, któremu to drugie jako dodatek i usprawiedliwienie służyć będzie.

W „Porankach karlsbadzkich" znajdujemy te wszystkie znakomite przymioty, któremi się autor dzieła „o urządzeniu stosunków rolniczych w Polsce" odznaczył, poznajemy ten sam umysł szlachetny, bystry, rozległy, poszukujący dokładności matematycznej, przejęty chęcią osią-

gnięcia a przynajmniej zbliżenia się do doskonałości; widzimy przedmiot dobrze pojęty, zgruntowany i dobrze wysłowiony. Wykład jego prosty i jasny.— Co do mnie, głośno wyznaję, że główne myśli i zdania autora zupełnie odpowiadają memu przekonaniu. Wywiesił on w pierwszem swem dziele chorągiew uwłaszczenia włościan, tu jej nie zwija, chętnie więc zaciągam się do jego szeregów; lecz wyborem formy dialogu naraził się on może na zarzut tych, którzy nie podzielają jego zdania, że sam sobie wybrał przeciwników aby ich łatwiej pokonać, i że gdy do nich ostremi strzela ładunkami, im tylko prochem odstrzeliwać się dozwala. Zarzucano i może sprawiedliwie pierwszemu dziełu pana Krzyżtopora, i z tym zarzutem i recenzent *Przeglądu poznańskiego* w roku 1852 odezwał się, że się nieograniczył na przedstawieniu systematu swego w głównych zarysach, lecz że aż do najdrobniejszych zniżył się szczegółów, tak w planie przeprowadzenia uwłaszczenia ludu rolniczego, jak i w urządzeniu stosunków gminnych. *Przegląd* nazwał tę staranność jego „Zabawką umysłową, którą miernym pisarzom, tak skorym u nas do układania praw zostawić był powinien". Otóż ten zarzut i ja pozwolę sobie powtórzyć. Autor zdaje się mniemać, że zadanie takiej ważności pomysłami i wyrozumowaniem jednego człowieka rozwiązane być może, że jeden architekt byłby zdolny ułożyć plan gmachu takiej obszerności, i wszelkie najdrobniejsze dogodności wewnętrznego urządzenia obmyślić.— Pierwsze jego dzieło wyglądało trochę na projekt prawa tak wypracowany jakby miał być zaraz wniesiony na Radę państwa, w „Porankach karlsbadzkich" jest on już zupełnie gotowy do otrzymania sankcyi prawa. — Tam projekt był wymotywowany, tu już jest przedyskutowany.

Te rozprawy nad projektem toczą się w piętnastu porankach. We wstępie dowiadujemy się, że w r. 185.. autor przybywszy do Karlsbadu spotkał się z kilkoma rodakami tak jak on sprawą włościańską zajmującymi się, i że wzajemnie porozumiawszy się, ułożyli sobie po rannym spacerze zbierać się w miejscu ulubionem od gości karlsbadzkich, w „Freundschaftsaal", dla rozprawiania o dziele p. Krzyżtopora, dla czynienia mu zarzutów i wysłuchania jego obrony. Towarzystwo to skła-

dało się z p. Pułkownika wyobrażającego część zacną, oświeconą i praktyczną obywatelstwa polskiego, z p. Radzcy stanu, który był niejako reprezentantem rządu, z p. Marszałka, mieszkańca jednej z prowincyj rosyjsko-polskich, który się jeszcze zupełnie wyobrażeń zakorzenionych w tamtych krajach nie pozbył, z księdza proboszcza, oświeconego, zacnego kapłana, trudniącego się nauką historyczną, i z p. doktora filozofii, ucznia uniwersytetu berlińskiego, heglisty, socyalisty, komunisty. Przyznać należy, że te wszystkie postacie są bardzo blade, i że przeciwnicy p. Krzyżtopora są tylko słabymi obrońcami wyobrażeń i zasad, które wyznają, a wszyscy zawsze przy końcu każdej rozprawy, broń składają i przyznają że są pokonani. Pułkownik zgadza się prawie we wszystkiem z p. Krzyżtoporem, tylko czasem praktycznym rozumem przychodzi w pomoc jego teoryom. Marszałek nie jest bynajmniej wyobrazicielem zatwardziałych przesądów i samolubstwa, tylko z niejakiemi wątpliwościami czasem występuje. Ksiądz proboszcz nigdzie jakby był powinien z stanowiska wyłącznie katolickiego nie zapatruje się na podane zadanie. Pan Radzca nie występuje jako obrońca zasad rządowych, lecz jak ekonomista i angloman polityczny. Jeden tylko Doktor śmiało wyrywa się z postępowemi wyobrażeniami, lecz te tak są niewytrawione, tak na żadnej nie oparte zasadzie, że zawsze łatwo pobity najśmieszniejszą a nawet dziecinną odgrywa rolę.— Na pierwszem zebraniu zajmują się ci panowie ogólnemi uwagami nad kwestyą włościańską i spostrzeżeniami nad kierunkiem i duchem dzieła p. Krzyżtopora. Nadto zgadzają się, że pora obecna jest najwłaściwszą do zajęcia się tą sprawą, i że nie pisma o niej obudzają ją z uśpienia, lecz że one raczej wywołane są potrzebą i poczuciem konieczności zaprowadzenia zmiany w stosunkach włościańskich. W następnych porankach kładzie p. Krzyżtopor w usta swoich współtowarzyszy zarzuty, z któremi szczególniej przeciw organicznej części jego dzieła występują. Kolejno przechodząc wszystkie rozdziały tej części, które on także po kolei zbija, krok w krok postępować za tem rozprawiającem zgromadzeniem nie będę, wspomnę tylko o ustępach, które na szczególniejszą uwagę zasługują, i o tem

co mi się na pierwszy rzut oka błędnem lub niedostatecznem w tym wykładzie wydało.

I tak zaczynając od zarzutów, nie mogę zataić zadziwienia, że autor tak upornie trwa w niedokładnych wyobrażeniach o Anglii. Już go recenzent *Przeglądu* przestrzegł był, że błędnem jest jego zdanie, jakoby równość w obliczu prawa, nie była jednem z praw zasadniczych tego kraju. Jednak w poranku IV to samo twierdzenie powtarza i stara się je udowodnić, a udowadniając je okazuje najprzód, że praw cywilnych nie rozróżnia od politycznych, i powtóre, że mylne powziął wyobrażenie o angielskiej cywilnej i politycznej organizacyi. Równości politycznej niema w Anglii, bo są przywileje, są prawa dziedziczne i wyjątkowe, lecz równość cywilna jest zupełna. Dla tych stanów i osób uprzywilejowanych niema innego kodeksu, innych sądów od tych, którym ogół narodu ulega. W sprawach cywilnych i kryminalnych wszyscy jednym przepisom są poddani. Podług politycznego prawa monarcha jest nieomylny i do odpowiedzialności pociągnionym być nie może; w sporze o własność, lub w każdym innym, rozpoznaniu sądów cywilnych ulegającym, przegrywa on sprawę gdy jest złą, tak jak najbiedniejszy dzierżawca lub wyrobnik, i od tych samych sądów co i oni dopomina się sprawiedliwości. Równość w obliczu prawa nie pociąga za sobą równości niwelacyjnej towarzyskiej, bez pierwszej żadne dobrze i sprawiedliwie urządzone towarzystwo nie istnieje, z nierównością polityczną utrzymuje się i trwa czasem dłużej od innych. Co więcej, nierówność polityczna jest częstokroć rękojmią wszelkiej innej równości, a więc i równości w obliczu prawa. Nie mogę przypuścić, aby tych elementarnych wyobrażeń autor nie podzielał, lecz mniemam, że błąd cały przypisany być winien niedostatecznemu wytłómaczeniu się jego i mylnemu przez czytelnika pojęciu jego myśli. Twierdzenie autora na karcie 89, że posiadanie wieczyste ziemi, jest w ręku tylko jednej klasy mieszkańców to jest arystokracyi, i tylko w formie majoratów, jest zupełnie błędne. Ziemię angielską tylko Anglik ale każdy Anglik posiadać może, a nie wszystka poddana jest prawom majoratów. Co więcej, majoraty nie są wieczyste lecz odnawiane, a nawet rozwiązanemi być mogą za zezwo-

leniem mających prawo do nich. Czyż dawno temu jak jeden z najpierwszych panów angielskich książę Buckingham za pozwoleniem syna rozwiązał majorat a raczej fideikomis, i wyzuł i siebie i ród własny tak z sławnej swojej rezydencyi w Stowe jak i z całego prawie majątku dla zaspokojenia licznych swoich wierzycieli. A z drugiej strony czyż codziennie nie widzimy zbogacających się kupców, fabrykantów, bankierów, przychodzących do własności ziemi. Arystokracyą angielską zowie zapewne autor rody w których najstarszy z członków tytułem barona, hrabiego, margrabiego lub księcia, i razem parostwem jest zaszczycony; wiadomo mu jest niezawodnie że szlachectwa jako stanu uprzywilejowanego, w Anglii niema poza obrębem izby parów. Odwołując się wprawdzie autor do Blackstona, twierdzi, że wszelkie alienacye majątków ziemskich w Anglii tylko za obejściem prawa cywilnego nastąpić mogą — teoretycznie ma poniekąd słuszność, lecz w praktyce rzecz się zupełnie ma inaczej, i to obejście prawa stało się już niejako prawem, jak codzienne okazują przykłady. Najmylniejszem zaś jest mniemanie autora, że posiadacz majoratu jest *de facto* członkiem izby parów. Parostwo bynajmniej nie przywiązane jest do majoratu, lecz jest wypływem woli królewskiej. Parostwo jest wiecznotrwałe w jednym i tym samym rodzie aż do jego wygaśnięcia. Majorat jest wolą prywatną ustanowiony, i może być tylko czasowym. Wielu jest posiadaczów majoratów nie będących parami, tak jak wiele ziemi nie poddanej ustawie majoratu. Równie w błędzie jest autor twierdząc, że jeszcze przed kilku laty kto nie był szlachcicem nie mógł być oficerem. Wiadomo mu jest zapewne, że ranga oficera jest kupną, a przytem pytam, kto jest w Anglii szlachcicem? jaka jest nazwa w angielskiej mowie odpowiednia wyrazowi naszemu szlachcic — *Gentilhomme*, *Edelmann*. — Wszystko więc co autor mówi o Anglii, przejrzenia i poprawy wymaga, a dziwić się czytelnik musi, że pan Radzca, który jak wiemy jest anglomanem, nie starał się sprostować niedokładnych wiadomości p. Krzyżtopora.

Nie mogę się także zgodzić na wywód historyczny, który autor kładzie w usta Proboszcza, i którym on wykazuje, że szlachectwo w początkach Polski wypły-

wało z własności ziemi, że kmiecie byli potomkami rodzin szlacheckich, które własność ziemi utraciwszy, pozbawione zostały praw szlacheckich. Zbijanie tego wywodu za dalekoby nas zawiodło, lecz czyż ksiądz Proboszcz nie wie nic o własności kmiecej za czasów piastowskich, czy nie pa..ięta, że ta za Kazimierza Wielkiego w statucie Wiślickim obwarowaną została w postanowieniu *De bonis derelictis post mortem villanorum et civium, absque prole decedentium*, gdzie mowa o mieniu ruchomem i nieruchomem. Uwagi o prawie Magdeburskiem także nie za zupełnie sprawiedliwe uważam. Twierdząc ks. Proboszcz, że choćby była jednolitość prawodawstwa w Polsce zachowana, byliby cudzoziemcy przybywali do niej w epoce prześladowań religijnych, zapomina, że w 13 wieku za Bolesława Wstydliwego nie było jeszcze prześladowanych różnowierców, a że wtenczas właśnie wyludnienie kraju zmusiło księcia Polskiego do ściągnienia cudzoziemców do osad miejskich i wiejskich.

Obaw jakie autor wyraża z powodu zbytniego rozdrobnienia własności, gdyby moc rozrządzania nią żadnemu nie ulegała ograniczeniu, nie wszyscy ekonomiści podzielać będą. Uczony nasz ziomek i znakomity w ekonomii politycznej mistrz i pisarz Ludwik Wołowski, cyframi statystycznemi okazałby, że złe z rozdrobnienia własności we Francyi wynikające, nie jest tak istotne, ani to rozdrobnienie nie jest tak mnogie jak niektórzy pisarze głoszą.

Brak miejsca nie dozwala mi tu wdawać się w dokładny rozbiór systematu p. Krzyżtopora wyłożonego w pierwszem jego dziele, rozświeconego i uzupełnionego w tem, które mam przed sobą. Znajdując główne jego zasady zgodne z mojem przekonaniem, oceniając zręczność i oględność z jakiemi cały ten systemat zbudował, o szczegóły spierać się nie będę. Wspomnę tylko, że jeden ze środków podanych przez autora do ściągania zaległych czynszów od uwłaszczonych włościan, to jest wydzierżawienia robocizny, uważam za zupełnie niepraktyczny. Gdy bowiem uwłaszczenie nastąpi, wszyscy właściciele dzisiejsi pozbawieni robocizny przymusowej, urządzą parobkowe gospodarstwa, i będą musieli zapewnić sobie na rok cały robociznę, bez oglądania się na ową nieregularność w opłacie czynszów, i idące za nią

wydzierżawienie robocizny. Któż więc zechce tę robociznę najmować, gdy w nią na rok cały zaopatrzony będzie? Wprawdzie w kraju naszym, zawszeby się praca dla rąk znalazła, lecz nie za zawsze znajdzie się możność opłacania tej pracy.

W pierwszem dziele p. Krzyżtopora znajdowało się jedno zdanie, które ludzi zdrowe wyobrażenia towarzyskie wyznających, równie raziło jak dziwiło, zdanie to wyrzeczone zostało jakby mimochodem tam gdzie szło o okazanie, że regulacya włościańska nie nadweręża praw wierzycieli hipotecznych, i tak brzmiało: „z resztą choćbyśmy też cokolwieczek i dotknęli kapitalistów, tobyśmy jeszcze tak wielkiego nie popełnili grzechu“.— Otóż to wyrażenie prostuje p. Krzyżtopor, na k. 148, wyznaje iż było niewłaściwem i tłómaczy myśl swoją.

Jest jeden ustęp w „Porankach karlsbadzkich“, któregobym był wolał nie znaleść. Oto mówiąc o przyczynach upowszechniających nałóg pijaństwa między ludem wiejskim, jako jedną z nich na k. 204 wymienia zły przykład dawany przez duchowieństwo, zwłaszcza na odpustach, i kreśli obraz kaznodziei który już podczas nieszporów chwiejącym postępuje krokiem, a wieczorem wraca nie trzeźwy do domu. To oskarżenie duchowieństwa polskiego nie powinno było znaleść miejsca w piśmie katolickiego pisarza i to jeszcze tak poważnego. Wypadek przedstawiony przez niego mógł się zdarzyć jako wyjątek, ale czyż jako reguła obwiniająca naszych pasterzy ludu może być podany? Pisząc z Poznańskiego zapewnić mogę, że tutejsi kapłani zgorszenia takowego nie stają się winnymi, a i w innych stronach kraju przykłady tego tak są coraz rzadsze, że wspominać o nich nie godziło się.— Czemuż ksiądz proboszcz przytomny temu oskarżeniu nie stanął w obronie stanu, do którego sam należy.

Skończę na wykazaniu drobnej, nic prawie nie znaczącej pomyłki. Autor przytaczając na k. 23 trafne zdanie wojewody Badeniego, mianuje go ministrem spraw wewnętrzych. Znany równie z swej zacności jak z dowcipu Marcin Badeni, nie był nigdy ministrem spraw wewnętrznych, lecz tylko za królestwa konstytucyjnego miał sobie poprzednio powierzone zastępstwo ministra

skarbu, a później został ministrem sprawiedliwości i na tym urzędzie życie zakończył.

Mimo uwag, które tu przedstawić dozwoliłem sobie, i mimo tych z któremi się wstrzymuję, z przyjemnością przyznaję, że w tem dziełku wyszłem z pod pióra pisarza tak znakomitym obdarzonego umysłem, znajdzie czytelnik w znacznej jego części pomysły zręczne, zdania gruntowne, dowodzenia jasne. Niektóre ustępy są tak pięknie skreślone, że z trudnością wstrzymuję się od ich przytoczenia. Takiemi są na karcie 65 i następnych obrona wolności handlu; na k. 82 trafne bardzo uwagi o zastosowaniu do gospodarstw pojedyńczych, prawideł w ekonomii politycznej państwa zalecanych. Na kartach 107 i 108 śliczny ustęp w usta ks. Proboszcza włożony o charakterze narodu. Dalej sprawiedliwa bardzo przestroga, aby włościan uwłaszczonych nie łudzić nadziejami małej opłaty, a potem większą na nich nakładać. — Lecz na baczność szczególniejszą zasługują te rozdziały, które jako dodatkowe do pierwszego dzieła uważać należy. W niem nie długo autor uwagę swoją zatrzymał nad wychowaniem i wykształceniem ludu wiejskiego; tu ostatnie poranki poświęca instytucyom pomocniczym, uzupełniającym regulacyę i zapewniającym polepszenie bytu ludu włościańskiego. Poranek XI i XII zajmuje się szczególniej oświatą włościan. Spostrzeżenia, myśli, rady w nich objęte, taką trafność umysłu badawczego, takie zgłębienie przedmiotu okazują, iż twierdzić można, że o nim w kraju naszym mało kto z taką dokładnością, i w tak właściwy sposób pisał. Te ostatnie rozdziały wysoką zalecające się wartością i zajmujące się przedmiotem dotąd prawie przez niego nie dotkniętym, stanowią obecnéj pracy jego najcelniejniejszą zaletę. Porównywając pisarz wykształcenie ludowe prowadzone przez zgromadzenia duchowne z tém, którém zwykli wiejscy nauczyciele kierują, w przekonywający sposób wyższość i właściwość pierwszego okazuje. Głosząc zasługi *Braci szkół chrześciańskich i braci nauki chrześciańskiéj* we Francyi położone, zachęca do zaprowadzenia tych użytecznych zgromadzeń w naszym kraju. Tymczasem oddać szkoły wiejskie pod wyłączny dozór proboszczów doradza, i użyć organistów na nauczycieli. Podaje nakoniec myśl trafną lecz może nie

łatwą do wykonania, aby organistą był zawsze braciszek sposobiący się do jednego z dwóch zgromadzeń wyż wymienionych. Aby poznać całą wartość tych rozdziałów, trzeba się z niemi w zupełności obeznać. — Kończąc moje sprawozdanie dodam, że żałować należy, iż autor podejmując nowy trud umysłowy w sprawie włościańskiéj, wrócił do tego punktu, z którego w pierwszém dziele swojém wyszedł. Od czasu ukazania się jego pierwszéj pracy, sprawa ta nadzwyczajny, nadspodziewany postęp uczyniła w państwie rosyjskiém, a więc i w prowincjach polskich pod berłem Cesarza rosyjskiego zostających; zastanowienie się nad jej dzisiejszem rozwinięciem jedynie praktycznie użytecznem stać się może. Wszystkie plany wychodzące za obręb ogłoszonych już postanowień i rzuconych zasad, policzone być muszą do sfer teoryi. Uwagi o dzisiejszym stanie sprawy tak jasnego i głębokiego umysłu jakim pan Krzyżtopor celuje, byłyby wielce pożądane. Oczekiwaliśmy ich, i spodziewaliśmy się je znaleść w tem jego pismie. Mimo zawodu doznanego, uwadze wszystkich czytelników których sprawa włościańska obchodzi, a nimi są wszyscy krajów polskich mieszkańcy, tę nową pracę znanego już zaszczytnie autora z największą usilnością zalecić należy.

Nowy, to jest trzeci poszyt naszego czasopisma ukaże się w tych dniach. Obejmuje on raport Teofila Bieczyńskiego kapitana pułku Działyńskiego, który z wezwaniem sejmowem do Szczęsnego Potockiego wysłany był do Jass. Raport ten z oryginału wydrukowany, mało mieści szczegółów mających wartość historyczną, lecz do niego dołączona jest zajmująca wiadomość o dalszem poświęceniu tegoż Teofila Bieczyńskiego, który był komendantem placu na Pradze podczas rzezi 4 listopada roku 1794. Dodane są nadto uwagi o dwóch stronnictwach, które w ostatnich czasach bytu krajowego dzieliły naród, z których jedno utrzymać dawny stan rzeczy, drugie przebudować kraj usiłowało. Pierwszego mimowolnem może, lecz ostatecznem następstwem i płodem była Targowica, drugiego konstytucya 3 maja. A mimo to, od pewnego czasu weszło w zwyczaj, stało się niejako modą literacką, usprawiedliwiać, wynosić, poetyzować to pierwsze stronnictwo, oskarżać i potępiać najznakomitszych ludzi drugiego. Wprawdzie powieścio-

pisarze i poeci nasi, tylko ducha narodowego, tylko piękną stronę obrońców i wyobrazicieli dawnej polskości sławili, a więc szczególniej w konfederacyi barskiej swoich natchnień i obrazów szukali; lecz któż zaprzeczy że Targowica, aby udawać Polskę, odziała się w szaty w Barze ukradzione, i że pisarz któryby chciał się odważyć na usprawiedliwienie konfederacyi targowickiej musiałby zacząć od sławienia barskiej, jakośmy to niedawnemi czasy z oburzeniem ujrzeli.

Drugim artykułem tego pisma jest porównanie Władysława Jagiełły z Zygmuntem III, dość zręcznie w wielu rysach piórem pana Morzyckiego uchwycone. W części krytycznej na baczną uwagę zasługuje recenzya wszystkich ośmiu tomów pamiętników Bartłomieja Michałowskiego (gdyż trzy pierwsze tomy wyszły świeżo z druku w Petersburgu). Recenzya ta napisana z ostrą lecz zasłużoną surowością i dla *twórcy* Michałowskiego, i dla tegoż pamiętników, odznacza się dokładną znajomością dziejów krajowych z ostatniego stulecia. Autor jej, który często oburzenia zacnej duszy powściągnąć nie może, wytyka błędy historyczne popełnione przez pisarza pamiętników, okazujące lub jego nieznajomość czasów, które opowiada, lub też rozmyślne przekręcanie prawdy, a dowodzące jego lekceważenia publiczności. Ocenienie zasług sejmu konstytucyjnego i pogląd krytyka na ten chlubny przeciąg czteroletni czasu, jest trafny i zupełnie zgodny z przekonaniem, które tu wyżej wyraziłem.

W rubryce spraw krajowych umieszczono artykuł o reformach w Rosyi i w krajach polskich do Rosyi należących. W nim redakcya zachowując stanowisko sobie właściwe, wylicza to wszystko, co za nowego panowania zamierzonem i co już dokonanem zostało. Nie wdając się w żaden krytyczny rozbiór, w jednym obrazie przedstawia ogrom zmian i reform przedsięwziętych, których skutkiem będzie gdy przeprowadzone zostaną, zupełne przeobrażenie towarzyskie i polityczne najpotężniejszego państwa w Europie.

Na końcu tego poszytu umieszczona jest wiadomość, o której już przez dzienniki publiczność polska zawiadomioną została, że z ramienia stolicy Apostolskiej na dniu 6 maja wyrok potępiający dzieła drukowane Towiań-

szczyzny wydany został, to jest: „Biesiady“ (Agape) i „o kapłanie gorliwym“. Oby ten wyrok ze skały Piotrowej światu katolickiemu ogłoszony, upamiętał rodaków naszych w małej liczbie trwających jeszcze w zaślepieniu i w błędzie.

Berlin w maju.

Niezrażony, szanowny Redaktorze, wypuszczeniem z ostatniéj mojéj korespondencyi bardzo ważnego ustępu o flagellantyzmie, trudnym do pominięcia, gdy się mówi o skórze ludzkiéj, przez którą przechodziła zawsze i zawsze przechodzić będzie wielka część cywilizacyi społeczeństwa — dowodem obrady sejmów niemieckich nad koniecznością i pożytecznością przywrócenia batoga —; ciągnę daléj kronikę berlińską, kreśloną wedle zmysłu czucia czyli dotykania.

Postanowiłem mówić najprzód o wpływie zewnętrznéj natury, jéj tworów, żywiołów i zjawisk na człowieka, w szczególności na mieszkańca Berlina. Wyobrażasz sobie może, słysząc ciągle jednobrżmiące rozmowy i rozprawy o duchownych, teoretycznych, idealnych, abstrakcyjnych, uczonych, artystycznych, przemysłowych, słowem, myślących i wedle prawideł myślenia żyjących i pracujących Niemcach, że berlińczyk, który, jak wiesz, ma się za ateńczyka śród nowożytnych niemieckich greków, wyuczony na filozofii, jest to istota tak uduchowniona, tak nawskróś myśleniem i myślą przejęta, że zewnętrznéj naturze nie dopuszcza żadnego wpływu na siebie.

Wyobrażenie takie byłoby bardzo mylne. Rzecz się ma owszem całkiem przeciwnie, bo właśnie w skutku tego filozoficznego wykształcenia, berlińczyk czuje więcéj niż każdy inny co tego wykształcenia nie posiada, że stoi w nierozerwanym związku z naturą i ma z wpływem jéj ciągle do czyniania; mówię, czuje więcéj, bo on wié, ma „bewusstein“, to jest świadomość, że taki związek i taki wpływ bezpośrednio z prawa stworzenia istnieją; co się dla niego staje powodem, że się wszędzie i zawsze do nich odnosi, bada je, rozważa, ocenia, wyzyskuje,

unika, słowem, usiłuje zostać nie ich poddanym, lecz panem. Nauczył się on tego wszystkiego jeszcze w szkole. Powiedziano mu, że jest małym światem, który w indywidualności swojéj mieści w najpiękniejszą zjednoczony harmonią cały wielki świat stworzenia.

Zobaczmyż więc praktycznie, jak ten świadomy siebie mikrokosm berliński przedstawia się oczom, dotknięty wpływami niektórych objawów otaczającego go makrokosmu. Patrzymy nań przez zmysł czucia czyli dotykania. O takich też tylko zjawiskach natury mówimy, które głównie na zmysł ten wpływ swój wywierają. Są to zjawiska tak zwanego życia solarnego czyli słonecznego, zjawiska zawisłe od stosunku ziemi do słońca, jej obrotu około niego i obrotu około swej osi, jakiemi są: zmiany powietrza, jego temperatura, ciepło, zimno, pory roku, zmiana dnia i nocy, wiatr, deszcz, susza itd. Są to daléj zjawiska życia lunarnego czyli księżycowego, dla nas mniej ważne, bo wpływ ich, z wyjątkiem niektórych chorób, rozciąga się więcéj na usposobienie duszy i fantazyi, niż na czucie fizyczne. Są to nareszcie zjawiska życia tellurycznego czyli ziemskiego, związane z tak zwanemi żywiołami ognia, wody, ziemi, z jéj miejscowością, formacyą, klimatem, wegetacyą, kulturą itd

Wszystko to wywiera większy lub mniejszy, konieczny lub przypadkowy, stały lub przechodni, pożyteczny lub szkodliwy wpływ na człowieka. Im niższy stopień jestestwa organicznego, tém większa zawisłość jego od wpływu tego kosmicznego życia; im doskonalszy jego organizm, tem mniejsza ta zawisłość. Jedyny jednak człowiek jest w stanie sprowadzić ją do minimum, to jest, do nieodzownych warunków i potrzeb życia.

Pierwsze pomiędzy niemi miejsce zajmuje powietrze. Jest to żywioł, którym się ludzie najmniéj i najwięcéj zajmują: najmniej, ponieważ wszyscy go mają i używają, i nikt im go, ani nawet w lochu i w Kajennie odebrać nie może; najwięcéj, ponieważ od niego zdrowie, żywność, byt, powodzenie, stan duszy i umysłu, słowem, materyalna i moralna cywilizacya w głównéj części zależą. Pod godłem „światła i powietrza“ otworzono niedawno temu w Paryżu bulwar sebastopolski; mniejsza o to, czy były i inne powody.

Najmniej zapewne myślą o powietrzu mieszkańcy z pod biegunów i z pod równika, najwięcéj zaś mieszkańcy stref umiarkowanych. Pod wpływem wiecznéj zimy, przerywanéj krótkiem latem, eskimo równie jest otrętwiałym, obojętnym i bezczynnym, jak murzyn pod wpływem wiecznego lata, przerywanego krótką zimą. Tam kilkomiesięczna noc i kilkotygodniowy dzień, tu równa długość dnia i nocy; tam i tu wieczna regularność i jednostajność tych przemian światła i powietrza, oraz zawisłéj od nich, tam szybkiéj i ubogiéj, tu nagłéj i bujnéj, a zawsze téj saméj wegetacyi, nie pobudzają mieszkańców do czynienia postrzeżeń nad powietrzem. Kalendarz, termometr, barometr im niepotrzebne. Natomiast mieszkańcy stref umiarkowanych na jakież zmiany, wrażenia i wpływy wystawieni! Tu cała skala zjawisk i zmian powietrza i światła gra przez cały rok na najrozmaitszą melodyę, jak arfa Eola, wielką synfonią stworzenia. Cztery pory roku przechodzące zwolna jedna w drugą: wiosna, lato, jesień, zima; cztery stopnie wegetacyi: kiełkującéj, kwitnącéj, dojrzewającéj, upadającéj przez większą część roku; cztery główne wiatry: wschodni, południowy, zachodni, północny, i cztery pośrednie; cztery powolne zmiany światła dziennego: świt z porankiem, południe z dniem, zmierzch z wieczorem, północ z nocą, co do długości trwania w ciągłéj odmianie. Dodajmy do tego różne postacie, zjawiska i twory powietrza, jakoto: mgły, chmury, obłoki, otaczające ziemię i pokrywające niebo i słońce; dodajmy grzmoty, błyskawice, pioruny, deszcz, śnieg, grad, lód — co wszystko przypada na strefę umiarkowaną albo wyłącznie, albo w większéj lub w mniejszéj mierze, regularności i kolei — a będziemy mieli powody tłumaczące nam sposobem bardzo naturalnym i prostym, dla czego mieszkaniec strefy téj nie może żyć jak murzyn lub eskimo w bezczynności i apatyi, lecz czy chce czy niechce musi zostawać w ciągłem natężeniu w obec otaczającéj go natury, musi walczyć z nią nieustannie, aby nie wzięła nad nim góry, musi owszem starać się ją przezwyciężyć i zrobić ją swoją służebnicą. Walka ta natęża i rozwija zarówno siły fizyczne jak umysłowe, skąd poszło, że głównie narody strefy umiarkowa-

néj miały zawsze i mają podziśdzień panowanie nad światem.

Najtrudniéjszą jest walka ta z żywiołami, zwłaszcza z żywiołem powietrza. Człowiek podbił już prawie całą organiczną i nieorganiczną naturę, zwierzęta, rośliny, kruszcze; uporządkował i ujął w system ciała niebieskie, wyciągając stąd wszelakie dla siebie pożytki; wziął nawet poniekąd w moc swą dawne żywioły ognia, wody, ziemi, przydał do nich wielką liczbę nowych, i odkrył i zastósował nieznane dawniéj siły ku swojéj posłudze. Powietrza tylko dotąd nie mógł opanować, tak aby od niego nie zależał. Poznał wprawdzie główne jego zmiany, zmierzył jego temperaturę i ciężkość, przywykł do znoszenia go we wszystkich strefach ziemi, w jéj głębiach i na jéj wysokościach, potrafił zabezpieczyć się w części przed jego skutkami, użył do różnych wynalazków, zastósował do jazdy na ziemi i do żeglugi napowietrznéj, umiarkował je nawet i złagodził przez kulturę ziemi; ale nie zbadał dotąd należycie praw zjawisk jego nad ziemią, nie dociekł przyczyn i warunków jego nagłych lub powolnych przemian, nie wskazał czasu ich nadchodzenia, trwania i przechodzenia, to jest innemi słowy, nie umiał dotąd wyróżnić przypadkowości od konieczności, czyli związać z sobą przyczyn i skutków jako niewzruszonego i raz na zawsze wyrzeczonego prawa natury. Nauka meteorologii jest dopiero w rozwiciu.

W krajach południowych strefy umiarkowanéj, gdzie pory roku i zmiany powietrza są dość stałe i regularne, niewiadomość ta nie jest tak dokuczliwą, jak w krajach daléj na północ leżących, gdzie pod względem zmian powietrza panuje częstokroć zupełna anarchia w naturze. Tu nie cztery, ale sześć, ośm, dwanaście pór roku w niektórych latach naliczyćby można. Rok przeszły był rzadkim wyjątkiem. Pospolicie nie można ani przez jeden miesiąc liczyć na stałą i jednakową pogodę, a na pewne zaręczyć nie można ani za jeden tydzień, a zimą i wiosną zaledwo za jeden dzień. Temperatura co chwilę się zmienia, inna dniem a nocą, inna porankiem i wieczorem. Dni bez wiatru prawie nie istnieją; panowanie mają wiatry wschodnie, zachodnie i północne, walcząc z sobą o nie bezustannie, choćby

je tylko na dzień jeden pozyskać, i swoję zmianę w powietrzu przeprowadzić.

Tak jest i w Berlinie nad Sprewą, mieście na wszystkie świata strony na działanie wszystkich żywiołów otwartem. Trzeba tu żyć, aby się przekonać, ile ta prawie każdodzienna niepewność co do stanu powietrza mieszkańcom tutejszym nie tylko fizycznie ale i moralnie dokucza. Z temperamentu i z szkolnego wychowania swego przywykly zastanawiać się i rozmyślać nad wszystkiem co robi, czy to słucha, czy patrzy, czy wącha, czy jé i pije, berlińczyk czuje się upokorzonym, że ciało jego ulegać musi wpływom, których on nie może przewidzieć ani uniknąć, ponieważ nie ma o nich wiedzy.

Ucieka się do kalendarza, kalendarz mu zapowiada np. wiosnę na 21 marca, ale o wiośnie ani mowy; czeka tydzień, dwa, trzy, cztery, aż do początku lub połowy maja, ale wiosna nie nadchodzi, tylko zamiast niéj rozpościera szeroko panowanie swoje jakaś piąta pora, nadęta zimnym, suchym wichrem całego wschodu, i wykarmiona jakoby piątym żywiołem: piaskiem, kurzem, pyłem całéj Marchii brandenburskiéj. Precz z kalendarzem!

Ale może kalendarz stuletni prawdziwszy? Kłamie bezczelniéj niż Muenchhausen. Precz z nim! No to termometr, który się nigdy nie myli, wskaże przynależną wiośnie temperaturę w miesiącu kwietniu? Tém gorzéj że się nie myli, bo głowy w tym czasie nad zero prawie nie wynurza. Jakiż zresztą z niego w powszedniem życiu użytek, gdy on zawsze tylko obecną temperaturę mierzy? Człowiek i bez niego czuciem własnéj skóry się dowiaduje, kiedy ma przestać palić w piecu, kiedy ma ściągnąć futro, jak gorącą ma brać łaźnią itd.; korzystać zaś z niego może chyba ten i ów fabrykant, lub profesor czyniący dopiero doświadczenia meteorologiczne. Precz z nim!

A więc barometr wskaże nie tylko ciężkość powietrza w każdéj chwili, ale zarazem oznaczy naprzód będące z nią w związku różne odmiany pogody: stałość, zmienność, wiatr, deszcz, burzę? Gdyby tylko je zawsze naprzód, dość wcześnie, regularnie i niewątpliwie oznaczał, byłby to nieoszacowany instrument, bo zba-

wiłby człowieka niejednéj biedy; ale właśnie on tego nie czyni, nie czyni przynajmniej dokładnie. Dobrym jest do mierzenia ciężkości i ciśnienia powietrza, do mierzenia wysokości gór i położeń geograficznych, ale nie do wskazywania odmian pogody, albowiem podnoszenie się i spadanie barometru zawisło głównie, wedle obserwacyj sławnego profesora berlińskiego Leopolda Bucha, od zmiany temperatury w sąsiednich okolicach innego położenia geograficznego. Precz z nim!

Mimo tego pozornego despektu dla kalendarzy, termometrów i barometrów, używanie ich rzadko gdzieindziéj jest tyle upowszechnione co w Berlinie. Kalendarz znajduje się na każdym stole. Wychodzi ich tu co rok przynajmniéj dziesięć, każdego po kilka, kilkanaście tysięcy egzemplarzy. Termometr tak rozpowszechniony jak zegarek: wystawia się publicznie w oknach, zawiesza w pokojach i nosi nawet przy sobie. Cywilizowany berlińczyk radzi go się każdéj chwili. Ogrzewa wedle niego mieszkanie, kąpie się, umywa, odziewa; kochałby, gdyby można, wedle niego. Do barometru mniéj ma wiary, mniéj go też potrzebuje.

Gdy główną dążnością jego jest, odgadnąć naprzód bliższe i dalsze odmiany pogody, a nauka meteorologii ciekawości jego w tym względzie jeszcze nie zaspakaja; rozumowy berlińczyk nie pogardza i innemi prostackiemi sposobami i skazówkami, aby dojść do celu. Nie zna on ich związku z naturą, żyjąc od niéj oderwany; przyjmuje je wszakże z dobrą wiarą, nie mając nad nie nic lepszego. Nie zna on ich także tyle co lud na wsi, który z wschodu i zachodu słońca, z wzrastania i ubywania księżyca, z widoku nieba, z obłoków, chmur, wiatrów, z zachowania się domowego bydła i ptastwa, stawia naprzód częstokroć bardzo prawdziwe prognostyki powietrza.

Berlińczyk śpi kiedy słońce wschodzi, słucha muzyki w ogrodzie kiedy zachodzi; księżyc pobudza go tylko do marzenia, do rozczulania się i do kochania; wiatr jest mu znany tylko z pyłu, którym mu zasypuje prawie przez cały rok oczy i gardło, naprzekór angielskiemu towarzystwu opatrującemu miasto w płynącą wodę, któremu, aby się nie zbogacało, zazdrość szpisbirgierska nie dozwala skrapiania ulic; widzi bydło rogate, bara-

ny i świnie tylko kiedy je pędzą do rzeźnika; widzi gęsi i kaczki tylko w zoologicznym ogrodzie lub na targach około św. Michała; pies jego nie wyje i nie skubie trawy, wróżąc deszcz, bo ma kaganiec na pysku.

Za to berlińczyk zna dobrze chrząszcza, który każdego roku w kwietniu oddaje kartę wizytową w redakcyi *Gazety Vossa*, zwiastując wiosnę; zna bociany powracające co rok do gniazd swoich w Charlottenburgu, o których mu zawsze *Kreuzzeitung* donosi; zna łabędzie, które z wiosną zabierają się do wylęgania jaj w zaroślach Sprewy i Hawli; zna przelatujące ponad Thiergartenem dzikie gęsi i kaczki; zna wreszcie krocie wróbli, które rozpoczynają po dachach świegotać miłostki swoje, zaledwo lody znikną; znać i jaskółki, ale jedna jaskółka nie czyni lata, a cóż dopiero wiosny?

Gdy to wszystko ani ciekawości ani potrzeby niezaspakaja, a zaspokoić nie może, bo odnosi się tylko głównie do oznaczenia terminu, temperatury i pogody pory wiosennéj; ucieka się mieszkaniec artystycznych Aten nad Sprewą do owego domku z dwoma otworami i dwoma różnego koloru chłopczykami, którzy naprzemian to się chowają to pokazują, stósownie do ściągania się lub rozciągania struny flaczanéj skutkiem działania na nią suchego lub wilgotnego powietrza. A gdy i ten prosty wynalazek nie zadowolni, to już nie pozostaje nic innego, jak w ostateczności udać się znów do kalendarza.

Boć kalendarz, bądź jak bądź, niepoślednia to zawsze książeczka — mała encyklopedya wiadomości o stosunkach ziemi do ciał niebieskich i człowieka do natury. Wiekowa nauka i doświadczenie składały się na nią. To też w niéj nie same koncepty z kalendarza. Pewnych prognostyków powietrza, takich zwłaszcza które z postrzeżeń wiejskiego ludu przy pracy gospodarskiéj powstały, więcéj się mieści w niejednym kalendarzu, niż w uczonych meteorologicznych rozprawach i dziełach. Alboż to pośledNie figury, do których lud różne zmiany powietrza odnosi, tacy ŚŚ. Paweł, N. Panna gromniczna, Jerzy, Marek, Wojciech, Medard, Jan, Jakób, Wawrzyniec, Bartłomiéj, Michał, Gaweł, Marcin i inni? Oni nigdy gospodarza nie zawodzą, chyba dla kary za grzechy. Alboż zawiedli w bieżącym miesiącu ŚŚ. Mamert, Pankracy, Serwacy surowego oblicza?

Przed nimi i filozofujący berlińczyk korzy się z wstydem, nie mogąc sobie wytłumaczyć, dlaczego właśnie w dni tych patronów powietrze zawsze bywa surowe, chociaż poprzednie dni nie dają do tego powodu?

Skłonny do przyjmowania całą wyobraźnią każdéj choćby najniedorzeczniejszéj przepowiedni, wraca zawsze, podżegany pychą rozumu, do rozkładowego jéj badania. Proroka zmian powietrza, któregoby dziś posadził na tronie, zrzuciłby jutro, gdyby się przekonał, że przepowiednie jego niezmają poświadczenia rozumu. On chce mieć nie przypadkowy i przechodni instynkt, dar, gieniusz, jasnowidzenie osoby, lecz niewywrócony, trwały, konieczny czyn, fakt, fenomen, prawo, zasadę wiedzy; chce być nie popychanym na wszystkie strony sługą, lecz świadomym panem zjawisk stworzenia. Zobaczysz, szanowny mój Redaktorze, że jak krakowianin Kopernik przywiódł do wiecznotrwałego porządku rewolucye ciał niebieskich, tak samo z czasem przywiedzie jaki uczony berlińczyk do takiegoż stałego porządku rewolucye zjawisk atmosferycznych.

Jeograf Ritter uważa Kraków za środek ziemi; Berlin można uważać za najosobliwszy punkt odmian pogody w strefie umiarkowanéj. W Krakowie tylko powstać mógł Kopernik — *argumentum ad hominem teutonicum* co do narodowości naszego astronoma —; w Berlinie tylko może powstać przyszły meteorolog, wskazujący prawa atmosfery. Czyliż ci niewiadomo, że w Berlinie żyją i żyli najsławniejsi meteorologowie: Humboldt, Dove i Leopold Buch, który umarł.

Ze wszystkich nauk przyrodzonych nauka meteorologii jest najmniéj jeszcze rozwiniętą, chociaż stan i zmiany powietrza zawsze ludzi po wszystkie wieki zajmowały. Starożytne narody przypisywały je potężnym bogom. Mieli takich i dawni Słowianie. Grecy i Rzymianie traktowali już meteorologią naukowo, i wiele ciekawych zrobili odkryć, ale nie mając stósownych narzędzi, nie mogli dojść do wielkich rezultatów. Badania średnich wieków zmierzały głównie do przepowiadania odmian powietrza. Dopiero wynalazek barometru i termometru posunął naukę tę na wyższy stopień. Badania były liczne i ważne, ale robione pojedynczo, miejscowo, bez związku z sobą, nie doszły do

rezultatów ogólnych i zasadniczych. W Manheim powstało pierwsze towarzystwo meteorologiczne. Humboldt i Buch byli pierwsi, którzy wykazali różnice i stosunki powietrza w różnych strefach i położeniach globu, a zarazem rozjaśnili powstawanie i kierunki wiatrów, oraz wpływ ich na klimat i stan powietrza. Z tych badań przekonano się, że przepowiadanie odmian pogody dziś jeszcze jest niepodobieństwem, bo do tego potrzebaby znać w każdéj chwili stan całéj atmosfery. W tym celu zatem urządzono w Europie i w Ameryce bardzo znaczną liczbę tak zwanych stacyj meteorologicznych, które zostają z sobą w ciągłéj komunikacyi. Telegrafy ułatwiają takową, i staną się z czasem, gdy okrążą glob cały, najważniejszym środkiem téj nader zajmującéj i niezmierne korzyści obiecującéj nauki. Koryfeuszem jéj w Prusiech jest Dove, profesor fizyki przy tutejszym uniwersytecie, zarazem dyrektor stacyj meteorologicznych w całym kraju.

Dove jest nietylko wielkim badaczem, ale w pożyciu towarzyskiém jest bardzo dowcipnym, humorystycznym i wesołym człowiekiem. Gdyby chciał, jak to niekiedy czyni w kole przyjaciół lub uczniów swoich, mógłby w oczach gawiedzi berlińskiéj zostać prorokiem odmian powietrza, zwłaszcza, że jest rodem z Szląska, a zatem nie prorokowałby w Berlinie w rodzinném miejscu. Ale gdzie chodzi o położenie gruntu do nowéj nauki, tam nie można, dopóki gmach nie jest pod dachem, zatykać na nim chorągiewki.

Dalsza gawęda o świecie zmysłu czucia w następnym liście.

Paryż w maju.

Paryż w maju! Dla zziębłego to obraz miły — zawołasz przeczytawszy datę — obaczmyż go czem prędzéj! We Francyi przecież maj musiał dotrzymać obietnicy; w kraju gdzie wino dojrzewa, już pewnie namiętnym oddechem zarumienił róże, wywołał z murawy stokrotki i fijołki, łąki ustroił w kwietne gobeliny, wylał czarę rajskich pachnideł na ogrody, a w rozkwitłe bzu krzaki zamknąwszy słowika, upojonemu wonią na-

tchnął miłosne koncerta..... tam nie tak jak u nas, gdzie macocha natura zaledwie w czerwcu łaskawszem wejrzeniem topi lody, a cierpliwszym pocałunkiem rozgrzewa pocierpłe od zimna członki — Paryż w maju ciepły i wesoły jak trzaskający ogień na kominku, ogrzejmy się jego prom eniem....

I przez imaginacyę poczuwszy zapach bzów Luxemburskich, Tuileryjskich pomarańcz i konwalij Bulońskich, trzymając przed oczyma ten list majowy, zagłębisz się w krześle chcąc czytać sprawozdania wiosny — aż tu wcale inne napotkasz rzeczy. Żal mi cię, ale nie może być inaczéj. Cóż powiesz, jeżeli w takiem usposobieniu, wyczytasz doniesienie, że tegoroczny maj paryzki nieróżni się od lutego, — cóż powiesz, jeżeli zamiast wiosennych podmuchów których łakniesz, zawieją cię znowu literackie chłody?.... Rzucisz list, tak jak ja rzuciłem pióro, mając pisać w maju o literaturze, i szczęśliwszy odemnie, nie podniesiesz go, tak jak ja podniosłem pióro, mając wzgląd na cierpliwszych od ciebie czytelników, którzy może jeszcze zimnem więzieni w domach, w braku róż, Guizota skubać zechcą, a zamiast motylków, łapać mądre jego spostrzeżenia.

„*Mémoires pour servir à l'histoire de mon temps*“ są niezawodnie najpoważniejszą książką w natłoku nowych publikacyj. Pierwszy tom (będzie ich sześć) obejmuje peryod dziejów od roku trzynastego do trzydziestego. Rząd Restauracyi którego nieoględne postępowanie wywołało rewolucyę lipcową, professura autora, i stan Francyi w wilię rewolucyi, stanowią treść pierwszéj księgi, napisanéj z powagą niedozwalającą wątpić o prawdzie relacyi.

Dotąd w Pamiętnikach byłego ministra, najwięcéj zajęły mnie portrety, chociaż autor ostrzega na wstępie, że zupełnie szczerym nie był. „Mówię co myślę, powiada, ale nie poczytuję sobie za obowiązek mówienia o ludziach wszystkiego co o nich myślę.“

Oto w jaki sposób pół-szczery historyk maluje Talleyranda:

...„Wyjąwszy w katastrofie lub na kongresie, niebył on ani zręczny ani możny. Dworak i dyplomata niezdolny do rządów, a mianowicie też do rządów wolnych, posiadał sztukę pozyskiwania sobie jednostek

przyjemną rozmową i zręcznem zawiązywaniem stosunków towarzyskich; wyższych darów człowieka politycznego nie posiadał wcale: moc charakteru, płodność umysłu, szybkość decyzyi, potęga słowa, sympatyczne odgadywanie idei powszechnych i namiętności publicznych, wszystkie te wielkie środki działania na massy, nie były mu dane. Nie miał także zamiłowania ani zwyczaju ciągłéj i regularnéj pracy, tego może najważniéjszego przymiotu narodowego sternika. Ambitny i niedołężny (*indolent*) schlebiający i pogardliwy zarazem, był on mistrzem w sztuce podobania się i służenia bez uniżoności, gotów do wszystkiego, giętki jak trzcina ilekroć szło o niego, zachowywał starannie pozory niezawisłości; był to polityk bez skrupułów, obojętny na środki i na cel, byle tylko znalazł w nim swoje powodzenie osobiste; więcéj śmiały niż głęboki w swych widokach, zimno odważny w niebezpieczeństwie, zdolny do prowadzenia interesów rządu absolutnego, na jasnem polu i na wolném powietrzu czuł się nie swój i działać nie umiał“.

O Chateaubriandzie tak znów mówi Guizot:

....„Rzucony w wielki świat bardzo młodo, Chateaubriand przebiegł wszystkie idee, próbował wszystkich zawodów, wzdychał do wszelakiéj sławy — wyczerpał jedne, dotknął drugich — ale nic go nie zaspokoiło. „Moją główną wadą, mówi on sam, jest nuda... zniechęcenie do wszystkiego i zupełne zwątpienie.“ Zaprawdę, dziwne usposobienia w człowieku poświęcającym się restauracyi religii i monarchii. To też życie Chateaubrianda było w ciągłéj sprzeczności i walce z jego przedsięwzięciami i skłonnościami — jego pozycyą i jego naturą. Był on ambitny jak naczelnik stronnictwa, samowolny jak popsute dziecko; każda rzecz wielka zachwycała go, każda drobnostka dręczyła; niedbały bez miary w powszednich sprawach życia, na scenie życia bez miary był zajęty swoją osobą i swoją sławą, — zawsze więcéj dotknięty najdrobniejszem niepowodzeniem niż zadowolony największym tryumfem. W życiu publicznem więcéj zazdrościł powodzenia niż władzy; zdolny w ważnéj okoliczności począć i rzucić na rozhukany odmęt jakiś plan wielki; stojąc u

steru nie umiał przeprowadzić z energiczną cierpliwością i logiką powziętéj myśli. Pojmował on sympatycznie moralne wrażenia swego kraju i swego czasu — ale odgadłszy je, schlebiał im, a nie kierował do trwałych poważnych kresów. Był to wielki i szlachetny umysł, który tak w pismach jak w polityce znał i umiał poruszyć wysokie struny ludzkiego ducha; zdolniejszy do zachwycania imaginacyi niż do rządzenia ludźmi, zbyt chciwy pochwał i hałasu, któremi karmił dumę, zbyt łaknący wzruszeń, któremi odganiał nudę".

Mówiąc o wojnie, którą za ministerstwa Villéla część kościoła katolickiego we Francyi wydała spółeczności francuzkiéj, jej zasadom, jak niemniéj organizacyi politycznéj i cywilnéj — jéj początkom i tendencyom, Guizot w ten sposób ocenia tak zwanych *réveilleurów* 1826 roku: (tłomaczę dosłownie)

...„Nigdy podobna walka niebyła niezręczniejszą i niestósowniejszą; zatrzymała ona reakcyę, która za konsulatu na korzyść wiary i uczuć religijnych się objawiła. Nie przesadzam ważności téj reakcyi; mam zbyt wiele uszanowania dla wiary i rzeczywistéj pobożności, ażebym je mógł pomięszać z powierzchownemi nawrotami opinii i duszy ludzkiéj — jednakowoż zdaje mi się, że ruch który zwracał Francyę do katolicyzmu, był szczery i poważniejszy niż się wydawał; była to zarazem potrzeba publiczna i gust intellektualny; spółeczność zmęczona wstrząśnieniami i zmianami, szukała punktu stałego na którymby mogła się oprzeć i odpocząć; umysły materyalne czuły potrzebę podniesienia się do sfer wyższych; skłonności moralne współzawodniczyły z instynktami interesu spółecznego. Zostawiony swemu naturalnemu biegowi, utrzymywany wpływem duchowieństwa wyłącznie zajętego przywróceniem wiary i życia chrześciańskiego, ruch ten mógł był się rozszerzyć i powrócić religii jéj prawą władzę. Ale zamiast pozostać w téj wysokiéj sferze, wielu członków i ślepych stronników katolickiego duchowieństwa zeszło do kwestyj światowych, i okazało się gorliwszymi do odpychania spółeczności francuzkiéj w dawną formę, żeby w niéj kościół swe dawne miejsce odzyskał, niż reformowania i prowadzenia moralnego dusz. Błąd był głęboki i ko-

ściół katolicki nie jest jak pogański Anteusz, który nabiera sił dotknąwszy ziemi — przeciwnie, tylko odrywając go od niéj i podnosząc ku niebu, w chwilach niebezpiecznych kościół moc swoją odzyskuje. — Skoro go ujrzano zapominającego swéj wzniosłéj missyi a dopominającego się o prawa karne i przewodniczenie rozdawnictwa urzędów — skoro ujrzano jego chęci i usiłowania skierowane przeciw zasadom i ustawom, które są dziś treścią spółeczności francuzkiéj; kiedy wolność sumienia, wolność druku, legalny rozdział życia cywilnego i religijnego, charakter świecki Państwa wydał się być zaczepiony i zagrożony — wnet przypływ reakcyi religijnéj zatrzymał się i uległ przeciwnemu prądowi; zamiast ruchu, który przerzedził szeregi partyi niewiernéj na korzyść stronnictwa religijnego, oba obozy ścisnęły swe zastępy i znow wiek XVIII stanął pod bronią; Voltaire, Rousseau, Diderot, i najwierniejsi ich uczniowie rozbiegli się znów na wszystkie strony i zebrali liczne pułki. W imie kościoła wypowiedziano wojnę spółeczeństwu — spółeczeństwo oddało kościołowi wojnę za wojnę; i powstał opłakany chaos, w którym dobre i złe, prawda i fałsz, słuszność i niesłuszność, pomięszały się z sobą i gryzły zapamiętale!..“

Ale dość cytacyj — bo i tak książka Guizota już przeważa w zwykłéj miarce mego listu i mało mi dorzucić wypada do wypełnienia ram, a tu jeszcze stos książek przedemną doprasza się choćby o wymienienie tytułu — rozsądnie nie mogąc wymagać obszerniejszéj wzmianki od korespondenta leniwego, albo może sumienniejszego od tych, co to wszystko słyszą i widzą na własne oczy. Gdyby kto chciał przeczytać, a nawet tylko przejrzeć wszystko co przez miesiąc wydano w Paryżu, musiałby mieć „jako Regulus obcięte powieki, i wiecznie bezsenny“ na druk patrzeć — łżący... a gdyby i tak było, to czy zawsze można czytać, to jest rozumieć cudze myśli? Nie sądzę. Pisać, to co innego; pisać sprawozdania można zawsze: jestto toż samo co położyć się gdzieś przy drodze, zamknąć oczy i skupiać doznane uczucia — śpiewać myśl wywołaną zewnętrznem wrażeniem, jak ptak śpiewa pod wpływem majowéj nocy, wschodzącéj zorzy, lub nadciągającéj burzy. Czytać, jestto wstać i iść tam, gdzie drudzy ze-

chcą, i to jeszcze trzymając krok z nimi, patrząc gdzie oni patrzą — to przymus nielada dla nie amatora wojskowéj komendy. Cóż więc za fatyga, jeżeli taki włóczęga znajdzie się na raz w obec dwudziestu rozjeżdżających się podróżników, z których jeden w prawo, drugi w lewo ciągnie — ten pod bieguny, a ów do równika zmierza — ten idzie poważnie, a ten biegnie — ten pędzi na przełaj przez pole łapiąc motylki i strzelając jaskółki, a ów wlecze się ubitym przez trzodę gościńcem. Co wtedy począć? Jak się rozerwać? Zwykle idzie się z jednem, z dwoma, a o reszcie wie się od drugich. Oto tajemnice korespondentów.

Wyspowiadawszy się, wymieniam najprzód publikacye majowe, których nie czytałem; regiestr będzie długi: *Histoire et Religion* par Peyrat; *Etudes et Aspirations*, par Heussey; *Etudes littéraires et historiques*, par Barante; *La Tableaumanie*, Duporta; *Dictionnaire universel du Commerce et de la Navigation*; *Education antèrieure*, par Frarière; *Portraits intimes du dix-huitième siécle*, par Goncourt; drugi tom Pamiętników księcia Eugeniusza, itd. itd. Teraz słów parę o przeczytanych: *Encore les Femmes*, par Alphonse Karr; *La Justice dans la Revolution et dans l'Eglise*, par Proudhon.

O téj ostatniéj książce tyle już mówiono tak z powodu jej anti-katolickiéj treści, jak konfiskaty dzieła i procesu, który prokurator cesarski wytoczył autorowi — że mówić o niéj nie mam ochoty, tem więcéj, iż czuję żal do autora z powodu krzywdy jaką pięknéj połowie naszéj wyrządził. Nie wyobrazisz sobie, jak nieobyczajnie obszedł się z literatkami tak zwany w Paryżu, *Le Franc-Gaulois du Danube*, a którego jeszcze właściwiéj socyalistycznym Veuillotem nazwać by można. Biedaczki! Musiałeś tam słyszeć jak krzyczały. Nagadawszy im co niemiara rzeczy nieprzyjemnych, Proudhon dowodzi w końcu przez A + B × C, że mężczyzna jako siła, jako zdolność i moralność, ma się do kobiety jak 27 do 8miu. Czy kto kiedy słyszał coś podobnego?!

Alfons Karr w swéj powabnéj książeczce mówi także prawdę kobietom, ale łagodnie i delikatnie jak człowiek który je kocha, tylko nienawidzi próżności i kłamstw toaletowych, to jest rogówek i waty. Wydaje więc wojnę zażartą śmiesznemu zbytkowi nadającemu kobiecie

dziesięć łokci obwodu — błaga o prostotę, jako artysta woli kwiaty niż brylanty — szydzi wytwornie z literatek i sawantek — słowem chce, żeby kobiety były kobietami.

Zdaniem mojem, niemożna lepiéj, dowcipniéj i serdeczniéj mówić o kobietach, a zarazem moralniejsze i zdrowsze dawać im rady, jak to czyni Nicejski Ogrodnik, zawsze miłéj pamięci były redaktor *Osy*.

W ogóle pisarze francuzcy, *en leurs qualité de Français*, ciemiężeni przez kobiety, mszczą się zaocznie; na piśmie uważać je zwykli jako ładne zwierzątka z jedwabną sierścią, błyszczące jak robaczki świętojańskie blaskiem klejnotów — jak poczwarki, którym trzeba dogadzać bo ładne i przyjemne; o istnieniu ich duszy zdają się wątpić jak Mahomet.

Tym sposobem ci panowie rosną we własnych óczach. a mianowicie w oczach patrzącéj z daleka zagranicy, Widząc tak postawioną kwestyę kobiet w literaturze francuzkiéj, miło spotkać autora, który nie wątpi, że kobieta ma duszę, wyzywa do pracy tę intelligencyę bliźnią bez któréj mężczyzna na pół tylko żyje — przyznaje, że niema większego szczęścia na ziemi jak znaleść jedną z tych istót, w których sercu człowiek milsze znajdzie kwiaty niż w raju, a w pożyciu z niemi więcéj lubego spokoju i ukojenia, niż w głębi szumiącego lasu.

Cóż to za szczęście dla mężczyzny dojrzałego, a miewającego jeszcze wizye młodości, spotkać kobietę, która szare pasmo życia powszedniego umie przeplatać wdziękiem wykształconego umysłu, klejnotami bujnéj wyobraźni i życiodajnemi promieniami czucia. Przy takiéj towarzyszce, nawet wtedy kiedy pierwsza miłość uleci, żyć można błogo. Pod wejrzeniem, które wszystko widzi, przy duszy w któréj nic nie ginie, człek myśli głośno, egzaltuje się, jest poetą — bez obawy szyderstwa oddaje się śmiało rozkosznéj szczerości. Wpadłszy tak swobodnie w tę ciepłą atmosferę gdzie ich przyciąga łagodny i łaskawy umysł, ludzie poważni doznają rozkoszy podobnéj do téj jaką czują dzieci igrające półnago na słońcu.

Takiego szczęścia któryż mężczyzna nie pożąda, nie zrobiwszy nic pierwéj żeby na nie zasłużyć?

Mało, zbyt mało zajmujemy się chodowaniem tych drogocennych kwiatków, od których wychowania przyszłość świata i nasze szczęście zawisło, które, wedle tego jak się z niemi postępuje, będą nas kłóć kolcami lub poić najsłodszą wonią miłości, któréj skarbnicą Stwórca ich serca uczynił.

Oto mniéj więcéj co Karr powiada mężczyznom, wytknąwszy pierwéj kobietom ich wady z właściwym sobie rozsądkiem i wesołością. „*Jeszcze kobiety*,“ zajmują bardzo — „*Zawsze kobiety*“ byłyby nawet miłe, gdyby chciały usłuchać rad Karra i do jego ideału się dociągnąć.

W *Palais-Royal* grają teraz arcy-przedziwną komedyjkę w dwóch aktach, pod tytułem: *L'avare en gants jaunes.* Jestto wyborny dagierotyp naszéj epoki obfitującéj w starych młodzieńców niemających innego zajęcia prócz pieniędzy, a dopuszczających się co chwila sknerstw, któreby zarumieniły każdego z Harpagonów dawnego repertoaru.

Dwudziestoletni skąpiec w *Palais Royal*, Oktawiusz, ma ojca marnotrawnego. Pot-Fleuri, *bon vivant* staréj daty, *membre du Caveau*, i mnóstwa towarzystw śpiewających, człowiek poczciwy i sympatyczny, patrzy na swego syna jak na potwór jakiś, którego natura budzi w nim razem wstręt i ciekawość; śledzi go więc jak naturalista nieznany sobie owad, a za każdém charakterystyczném słowem sknery, woła: „*Il est fort, mon fils — il est très fort! C'est décidement une grande canaille!!*

Dwa te charaktery najzabawniejsze tworzą kontrasta.

Obrachowawszy, że życie kawalerskie przy największéj oszczędności, zawsze więcéj kosztuje niż życie żonatego człowieka, bo małżonkę można trzymać o chlebie i wodzie, a najmniéj wymagającéj kochance trzeba koniecznie kupić obiad, Oktawiusz postanawia się ożenić. Parę razy zerwawszy zaręczyny dla większego posagu, w końcu ma zaślubić ostatecznie nastręczoną sobie przez swego intendenta pannę, któréj hipotekę, pola, łąki, lasy, owczarnie i obory zwiedził pierw osobiście, i przekonał się, że prócz ośmiu krów chorych na folwarku, całe mienie przyszłéj żony w pożądanym znajduje się stanie. Ale panna ma matkę, któréj jeszcze

się himen uśmiecha; chcąc zatem niewypuścić z rodziny mamy z trzema wsiami, Oktawiusz swata z nią swego ojca. Stary zakochuje się naprawdę we wdówce — i na dwa wesela już dzień naznaczony, kiedy niespodziana okoliczność miesza plany młodego skąpca. Ojciec dowiaduje się przypadkiem, że syn pod cudzem imieniem pożyczał mu pieniądze po 15%. Po takiem odkryciu Pot-Fleuri z komiczną zgrozą woła: „*C'est bien assez* „*de t' avoir pour fils, sans encore t'avoir pour gendre!*“ i przez litość nad przyszłą synową, zrywa małżeństwo syna, a sam żeni się z wdową, obiecując swemu jedynakowi cały tuzin rodzeństwa.

Ravel gra po mistrzowsku rolę młodego sknery, przez co cała sztuka podnosi się do rzędu owych komicznych arcydzieł, na jakie już dawno nie zdobył się dowcip francuski.

Pani Ristori występuje obecnie w *Fedrze* Racina, przełożonéj na język włoski przez pana Dall' Ongaro. Tłomaczenie to jest doskonałe: prawie dosłowne, a silne i błyszczące. Dall' Ongaro znający dobrze język grecki i łaciński, tłómacząc tragedyę Racina miał ciągle przed oczyma jego wzory: *Fedrę* Eurypidesa i *Fedrę* Seneki; dla tego duch dzieła pozostał zupełnie jednaki, sceny zaś które Racine wziął żywcem z Seneki, Włoch piękniéj i wierniéj na ojczysty język przetłumaczył.

Cały Paryż zbiega się na włoskie przedstawienia *Fedry*, szukając cienia swéj Racheli, a więcéj jeszcze porównań, jakby porównanie było podobne. Czyż można porównywać obraz z posągiem? Ristori maluje — maluje żywo, jaskrawo, zbyt namiętnie może. Rachel żłobiła greckiem dłutem Fidiasza. Kto ją widział w Fedrze, niech nieszuka porównań, bo w całym estetycznym świecie ich nie znajdzie.

A propos téj najpiękniejszéj perły, którą śmierć z dyademu sztuki wydarła, przychodzi mi na myśl jéj portret. Pani O'Connell znana portrecistka Racheli, wyrysowała ją po śmierci. Obraz czarną kredą zrobiony, jest wielkości naturalnéj: Rachel leży na śmiertelnem łożu, grobowa lampa starożytna paląca się na obok stojącym trójnogu, oświeca tę piękną twarz skamieniałą.. widno, że duch wyłamał już kraty swego więzienia

ale ostatnie westchnienie błąka się jeszcze na ustach Hermiony; rysunek tak złudnie jest żywy, iż zdaje się że draperya okrywająca zimną pierś zmarłéj, podniesie się lada chwila i chłód poranku zbudzi tę uśpioną Juliettę.

Jest to mojem zdaniem najlepszy z portretów Racheli; głowa naszkicowana ołówkiem pani O'Connell, daje najdokładniejsze pojęcie rysów wielkiéj artystki — taką a nie inną w perspektywie wieków widzieć ją będzie potomność.

Idealny ten portret przez parę dni tylko ściągał tłumy przechodniów do sklepu Goupila, gdzie był wystawiony. Nieubłagana rodzina Felixów, która jeszcze po śmierci chce ciągnąć zyski ze swéj sławnéj odrośli, pod pozorem że ów portret jest kopią fotografii będącéj wyłączną własnością familii, wytoczyła proces malarce. Schowany obraz czeka na wyrok sądu, wedle którego albo na widok publiczny powróci, albo utonie w ciemnym labiryncie Felixów.

Wedle ostatniego obrachunku, w ciągu ubiegłych dwóch miesięcy, wielkich koncertów mieliśmy tu dwieście. Straszna cyfra! a tem straszniejsza, że we wszystkich tych koncertach — wyjąwszy koncertów *Konserwatoryum*, które w tę rubrykę nie wchodzą — przeważa powstała w Niemczech tak zwana *musique de l'avenir*. Nie wiedząc czy ten rodzaj kompozycyi doszedł już nad Wisłę, wedle paryzkiego wzoru załączam przepis na *muzykę przyszłości*.

1. Wystrzegać się pilnie wszelkich nut mogących utworzyć harmonijną całość, w razie gdyby takowa przypadkiem nastręczała się kompozytorowi.

2. Ułożywszy parę taktów z nic nieznaczących dźwięków, poprzeć je akordami starannie unikając wymownych.

3. Takową kombinacyę prowadzić dwie godziny przez wszystkie tony.

4. Sztukę zakończyć głośnym dyssonansem, lub pasażem wiodącym gdzie się podoba.

5. Wszystko razem naszpikować instrumentacyą pełną odgłosów niespodzianych, stuku, siekaniny, czkawki, fagotów i t. d. słowem wszystkiego, czem mistrze orkie-

stracyi Haydn, Mozart i Beethoven gardzili, lub czego używali tylko w rzadkich razach.

Pozbawiona tym sposobem granic i punktu oparcia, muzyka staje się rozczynem tonów nieopisanie rozkosznym dla ucha, a mianowicie też, dającym szerokie pole do rozbiorów.

Jest to świeża recepta którą racz niezwłocznie naszym muzykom i krytykom zakomunikować.

Warszawa w maju.

Spodziewajcie się u siebie odwiedzin grona literatów. Twórca „Halki“ zacny Stanisław Moniuszko już wasze miasto odwiedził; Kraszewski od dawna zapowiedział przyjazd swój do Krakowa — miał on w kwietniu jeszcze przybyć tutaj, a ztąd wyruszyć do was i w Karpaty. Domyślamy się, że pożar siedziby jego ojca w Romanowie, a głównie starego dworca, wstrzymały jego przybycie. Nie mały to smutek i dla naszego powieściopisarza: najmłodsze lata i najmilsze, najswobodniejsze chwile życia w tym dworcu przepędził pod opieką i czułem okiem swéj szanownej babki pani Malskiéj, matrony, która chociaż brzemieniem wieku przyciśniona, zachowała dotąd w całéj czerstwości umysł, i sąd o rzeczach dojrzały i zadziwiający. Spieszy również do waszego miasta Teofil Lenartowicz, w liście do jednego ze swych przyjaciół, pisze ten poeta:

„Zdrowie moje wciąż gorzéj, zupełnie straciłem głos, z domu nie wychodzę. W maju koło 15go pojadę do Galicyi do wód Szczawnickich, może mi to jaką ulgę sprawi. Mój drogi! Pismo powiada, że dni nasze mijają jako cienie, i jako łodzie napełnione jabłkami: to wyrażenie przypomina mi nasze statki na Wiśle napełnione jabłkami:

Lecz niepamiętam już jako je zową,
Coś mi po głowie kręci się nazwisko,
Czy nie dubasy, albo tego blisko.
A chłopi na nich z pochyloną głową

Siedzą, jak tylko chłop słowiański siada,
Co całym sobą zawdy się pokłada,
W jakiejś rodziméj zażyłości z światem,
Z powietrzem, z ziemią, ze zwierzem wszelakiem.
Więc i z drzewami i z zielem i z kwiatem,
I z gadem w ziemi siedzącym i z ptakiem.
Z duchami także i ludźmi po trosze.
Tacy siadają tam na tych dubasach,
W czapczyskach z wełny i w skórzanych pasach.
W których chowają zarobione grosze.
Siadają, fajki kurzący niedbale
Drzemiący, — inni na wiślane fale
Poglądający po całych godzinach,
Jak by tam było niebo w tych głębinach.
Tak ich pamiętam od warszawskiéj strony,
Nawet popiołu ognisko wytlałe,
Niedopalone wici, prochy białe,
Powróz na brzeżnym palu okręcony.
I tak zazdroszczę każdemu kto może,
Kupować jabłka na Wiślanych statkach,
Dzieciom najbardziéj biegnącym przy matkach,
Jak ja biegałem w dzieciństwie. Mój Boże
Zazdroszczę bowiem że mi już nie błyśnie,
Zorza nad Wisłą szeroko rozlana,
Ni się nademną schylą polskie wiśnie,
Ni gawiedź jabłek pachnących rumiana,
Ani mi człowiek (na to wielkie imie
Czyż tylko jeden kmieć sobie zasłużył?)
Z kapoty swojéj garść orzechów wyjmie,
Żeby to dzieciak coś na świecie użył
Łakoci... równo z pierzchliwą wiewiórką;
Hej! ptaku! ptaku! oddaj złote piórko.
Przepadło, zniknął mój ptaszek w błękicie,
I nie dokończyć mnie o mojéj Wiśle,
O téj kochanéj, cóż bo ja nie myślę...
Com nienamyślał się przez całe życie?“

Tęsknota trapi coraz bardziéj śpiewaka „*Zachwyconéj* i „*Błogosławionéj*“, zwiększa się ona chorobą, rozdrażnieniem nerwowem. Każde wspomnienie stron rodzinnych — najmniejszy przedmiot przypominający ojczystą ziemię, czasem sprawia wielką mu radość a czę-

ściéj niewypowiedzianą boleść. Józef Korzeniowski odwiedził go w Rzymie parę razy, i wielką mu przyjemność zrobił przypomnieniem lat dawniejszych, i téj Warszawy, w któréj lat tyle przepędził, gdzie pierwsze prace rozpoczął, gdzie zdobył zasoby nauki, i zyskał chlubny rozgłos dla swego imienia.

Syrokomla miał wraz z Chęcińskim, młodym literatem i artystą dramatycznym w towarzystwie obywatela Wisłockiego, jednego z gorliwych członków komitetu Wystawy Starożytności w Warszawie, którego zbiory z podróży na Wschód oglądaliśmy na pomienionéj Wystawie, odwiedzić wasz Kraków, w przejeździe do Włoch. Tymczasem gdy w oznaczonym czasie Syrokomla nie przybył do Warszawy, Wisłocki z Chęcińskim wyjechali w zamierzoną podróż. — Niezaniechał Syrokomla zamiaru odwiedzenia Krakowa, tego grodu pełnego pamiątek, do którego wzdycha każde serce polskie. Kiedy wszakże spełni ten zamiar, teraz z pewnością niewiemy. Dramat jego „Kasper Karliński“ już wiecie z jakim zapałem był przyjęty w Wilnie. To entuzyastyczne przyjęcie i owe tysiące bukietów, zawdzięcza kilku ustępom rzewnym, sercowym: całość bowiem niewytrzyma krytyki. Znane to dobrze zdarzenie: *Obrona Olsztyna* pod Częstochową; dotąd niebrakuje ciekawych podróżników którzy gruzy Olsztyna ze czcią zwiedzają, opromienione wielkiem wspomnieniem poświęcenia Karlińskiego. Zdarzenie to w ślicznéj scenie dramatycznéj, skreślonéj wierszem pięknym, zastósowanéj ściśle do podania dziejowego, oddał Aleks. Fredro nasz jedyny komedjo-pisarz p. n. *Obrona Olsztyna*, którą J. N. Kamiński w swoim *Haliczaninie* 1830 r. ogłosił. Utwór ten stawia wymowny dowód, że Fredro i w poważnym historycznym dramacie mógłby zająć jedno z miejsc pierwszego rzędu. Syrokomla z przedmiotu, który aby w całéj sile uderzył wrażeniem czytelnika i widza, wystarczył Fredrze na jedną scenę, rozwlókł podanie na trzy długie akty, i przez to fakt historyczny skrzywił, rzecz samą osłabił. Wiadomo z dziejów, że nieprzyjaciel schwytawszy niańkę z jedynakiem, niemowlęciem Karlińskiego, wystawił je na cel strzałów oblężonych, że ten ojciec niewahał się poświęcić krwi dziecięcia swego, dla obrony powierzonego mu grodu. Syrokomla z dziecięcia

robi już wyrostka rezonującego bardzo wymownie na scenie; niedosyć na tem: wprowadza do swego dramatu Stadnickiego, zwanego *diabłem*, jako dawniejszego kochanka saméj Karlińskiéj i na niego ciężar zbrodni porwania dziecka tego składa. Nierozumiemy tego, ażeby niepojmował Syrokomla, jak ciężko zawinił dziejom, i jak boleśnie zranił takim fałszem pamięć tego dziwaka. Niebronimy Stadnickiego: znane dobrze jego życie, jego szalone wybryki, które mu dały imie *djabła*; ale od tych wybryków i wybuchów namiętności niehamowanych niczem, ogromny jeszcze przedział do czynu tak haniebnego. Niemasz w dziejach naszych całych, tak nikczemnego szlachcica, żeby zdradziecko dom przeciwnika napadłszy, zabierał mu dziatwę, i w niewolę wrogom oddawał: protestujemy uroczyście przeciw wprowadzeniu charakteru takiego, jaki wprowadził Syrokomla do swego dramatu. Ten błąd, że nieużyjemy mocniejszego wyrazu, niczem się nie da wytłumaczyć ani osłonić: i przyznajemy otwarcie, że wolelibyśmy całego dramatu nie znać, jak czytać tak haniebnie spodlony charakter, a fałszywy na deskach teatru polskiego oglądać. — Syrokomla może się cieszyć z zapału jaki wzbudził w publiczności Wileńskiéj — my czujemy powód onego dokładnie: oklaski i kwiaty sypały się pobudzone kilku scenami rzewnemi, porwane pięknym wierszem, których nigdy temu poecie nie braknie, a wreszcie ogół publiczności mniéj dba o prawdę historyczną. Są rzeczywiście w tym dramacie ustępy mogące łzy wycisnąć ludziom szlachetnego serca: pomimo tego, nic nieupoważniało Syrokomlę, ażeby w postaci szlachcica polskiego najwyższą podłość i nikczemność uosobił. —

Korzeniowski powrócił z Włoch, gdzie pod ciepłym klimatem szukał wzmocnienia sił i zdrowia. Półroczny pobyt w Nicei, nie przyniósł mu spodziewanéj ulgi. Za przybyciem do Warszawy zaziębił się i zapadł na nowo: teraz mu lepiéj, ale tak osłabiony, że nierychło ujmie pióro do ręki. Powieści „Fortunat“, któréj pieśń pierwszą ogłosił w *Gazecie Warszawskiéj*, więcéj nie ma napisanéj: zamyślał dawno o poważnéj z dziejów naszych tragedyi „Jan z Tęczyna,“ zbierał potemu materyały, i zaczął studya w tym przedmiocie przed wyjazdem do Włoch: ale stan zdrowia obecny, niedozwala

mu żadnéj pracy umysłowéj: czytaniem zapełnia sobie te godziny które dawniéj z piórem w ręku przepędzał.

Gdy u was i w Galicyi niesłychać o kobietach piszących, u nas, niepośledne zajmują stanowisko w ruchu obecnym literatury naszej. Z najdawniéj znanych wam literatek Eleonora Ziemięcka, nieustaje w pracy — znacie kierunek i dążności jéj pism, mówić o nich nie będę. Seweryna z Żochowskich Pruszakowa po wydaniu kilku tomów powieści prozą i kilku powieści poetycznych, jak „Domowa Zagroda,“ „Dwa dwory,“ „Powiśle,“ drukowane w *Bibliotece Warszawskiéj* „Elżbieta Drużbacka“ ogłoszona w *Gazecie codziennéj*, w których wiele ustępów odznaczało się prawdziwym talentem poetycznym, bezimiennie w *Bibliotece Warszawskiéj* wydrukowała poemat: „Sebastian Klonowicz“ który wszyscy, wraz z *Gazetą Warszawską*, wzięli za utwór Syrokomli: a w temże piśmie wydrukowany obraz dramatyczny p. n. „Dwie drogi,“ przypisywano żyjącym pierwszorzędnym poetom. To da wam miarę talentu téj pisarki. W roku przeszłym zaczęła wydawać zeszytowe pismo p. n. „Rozrywki dla młodocianego wieku“. Pismo to doborem artykułów, dążnością religijną i moralną, pięknym i czystym językiem, zasługuje ażeby w każdéj polskiéj rodzinie służyło za książkę podręczną w domowem wychowaniu Znajdzie tam i poważniejszy czytelnik naukę i rozrywkę odpowiednią sobie. W roku bieżącym trzy tomy ogłoszono drukiem. Publikacya ta, wielkiego użytku dla młodego pokolenia, wychodzi oddzielnemi seryami: każda obejmuje po pięć tomów czyli piętnaście zeszytów. —

Niedawno na pole literackie wystąpiła młoda polka Marya z Mańkowskich Ilnicka. Jest to córka pułkownika Mańkowskiego z batalionu Saperów b. wojsk polskich, który w r. 1831 padł pierwszy ofiarą cholery. — Znająca dokładnie obce języki, zaczęła prace literackie od przekładów, przeplatając je utworami oryginalnemi. W każdym, najmniejszym jéj utworze, znać wyższy talent, prawdziwe natchnienie poetyczne, styl pełen wdzięku, język czysty, nacechowany urokiem prostoty. Niema on wprawdzie téj siły i czerstwości, téj składni staropolskiéj, jakim włada S. Pruszakowa, co wystudiowała sumiennie całą literaturę z czasów ostatnich Jagiellonów,

ale ma powab właściwy, odpowiedni treści przedmiotu. *Biblioteka Warszawska* w ostatnim zeszycie r. b. ogłosiła dwa pierwsze ustępy z obrazu dramatycznego p. Ilnickiéj p. n. „Alchemik“. Jest to pierwszy jéj utwór oryginalny większych rozmiarów. Obecnie zajmuje się przekładem Ossyana z angielskich najlepszych zbiorów tych pieśni. O Deotymie nic nie piszę, utwory jéj tylokrotnie były już rozbierane i oceniane rozmaicie. O innych polkach piszących powiem późniéj; talenta ich bowiem i zasługi z wyliczonemi powyżéj równać się wcale nie mogą.

GAZETKA LITERACKA

Kraków. Z nowości księgarskich niewiele można zapisać. Wydawnictwo katolickie W. Wielogłowskiego wydaje Kazania księdza Łukaszewicza w pięciu tomach. Pierwszy tom już wyszedł z druku. — P. Radwański Jan ogłosił w druk. Czasu dziełko zbiorowe: *Część mądrości ksiąg polskich*. Są to wypisy zdań moralnych i filozoficznych z dawnych i nowych pisarzy polskich tak wierszem jak prozą. Praca ta bardzo pożyteczna, lecz do praktycznego pożytku lepiéj byłaby zastósowaną, gdyby autor sentencye był poklassyfikował podług przedmiotów. — *Album Szczawnickie* podług rysunków J. Szalaja wykonanych piękną litografią, z textem historycznym S. Morawskiego wyszło dotąd w trzech zeszytach. Ogólnie będzie zeszytów sześć, każdy mieści w sobie cztery w wielkim formacie widoki najromantyczniejszych okolic naddunajcowych. Cena tej publikacyi nadzwyczaj niska, wynosi 10 złr. w sr. za 24 widoki z textem ozdobnie drukowanym. — Niebawem zacznie wychodzić w Litografii Czasu wspaniałe dzieło X. Biskupa Łętowskiego: *Opis katedry na Wawelu*. Najznamienitszy belgijski Artysta: Stroobant, sprowadzony umyślnie zdejmie widoki wnętrza katedry i wykona je na kamieniu. Niemożna było w lepsze ręce powierzyć uwiecznienia i rozpowszechnienia rysunkiem nieocenionych zabytków téj świątyni, któréj dzieje rozświeci jeszcze pióro dostojnego męża, mającego pod ręką wiele nieznanych dotąd historycznych źródeł. — P. J. Łepkowski zamierza wydawać w dr. Czasu pismo poświęcone Archeologii z drzeworytami i rysunkami Jeden zeszyt wychodzić będzie co miesiąc. Do podobnych wydań niezbędną pomocą byłby zakład xylograficzny, którego niemamy. Jest jednak nadzieja, że skoro poznamy ważność książek illustrowanych, mianowicie do popularnego użytku, zakład taki stanie się koniecznością. Wiadomo, że w Zjednoczonych prowincyach Ameryki wszystkie książki popularne

wychodzą z illustracyami, co niezmiernie dopomaga do łatwego i prędkiego rozszerzania oświaty, jak się o tem przekonano praktycznie — wyobrażenie jakiego przedmiot uderzając zmysły, pociąga ku sobie uwagę prostaczka, że dotąd usiłuje lepiéj poznać się z przedmiotem i studiuje text. — Przeciwnie sama drukowana książka, nieobudza tego pociągu.

Bochnia. Nakładem i drukiem Wąwrzyńca Pisza wyszły: *Przysłowia i mowy potoczne ludu polskiego w Szląsku, zebrał Józef Lompa,* w 8ce str. 36. Mała ta książeczka byłaby nierównie większą miała wartość, gdyby był zbieracz, idąc za nie zbyt chwalebnym przykładem Ignacego Łyskowskiego (który wydane przez siebie Pieśni gminne ludu polskiego w Prusach zachodnich popoprawiał co do języka, sądząc opacznie, że tem ziobi ja kowąś przysługę) nie pościerał z przysłów barwy językowéj malującéj narzecze szląskie. Przysłowia wydane przez p. Lompę znane są już po większej części z innych dzieł i niczém się prawie od dawniéj ogłoszonych nie różnią. Wiele tu zdań i przypowieści, których wcale do rzędu przysłów policzyć nie można jak np. Gada sam nie wie co; Dziecińskie lata mu się wracają; jeden ma nadto a drugi za mało; Ubóstwo nie jest ohydą itp. Przy układzie alfabetycznym niepodobna też było wydawcy uniknąć powtarzań mniej przydatnych. Aczkolwiek p. Lompa w przedmowie utrzymuje, iż zbior jego powinienby służyć za dopełnienie Przysłów i mów potocznych Maksymiliana Fredra: musimy temu zaprzeczyć z téj prostéj przyczyny, ponieważ Fredro wcale przysłów nie zbierał, tylko ułożone przez siebie wyborne zdania moralne i aforyzmy ogłosił, które do ust ludu wcale nie przeszły.

Lwów. W drukarni Zakładu Ossolińskich wyszedł przekład z łacińskiego Mikołaja Kopernika: *Siedm Gwiazd.* Są to ody tego Astronoma przełożone na polskie przez Narbrzana Bętkowskiego. Wierność wielce sumienna odznacza tę pracę — jednakże szyk słów często nienaturalny, zaciemnia myśl, która w prostocie swojéj powinna spływać jak jasna kropla w kielich kwiatu. — Mimo tego oddać należy słuszność tłumaczowi, że umiał utrzymać ton prosty i poważnie głęboki religijnego hymnu.

Wiedeń. Koleje żelazne w Galicyi i stosunek tychże do kolei w Polsce i Rosyi napisał J. Osiecki c. inżynier z mappą topograficzną kolei europejskich. Wiedeń 1858 z zakładu typograficzno-literacko-artystycznego L. K. Zamarskiego 8 k. 4 st. 83 i mappa. przyp księciu Leonowi Sapieże — (Treść). Rzut oka historyczny na budowę kolei galicyjskich — kierunek i stacie główne kolei. — Ziemiopłody i produkta krajowe. — Dochody przewozu Kolei — O procentowaniu kapitału wkładowego — Koleje żelazne w Polsce i Rosyi tudzież ich wpływ na koleje galic. — Korzyści z powtórnéj koncessyi i przyszłość kolei — Akt koncessyi z d 3 marca 1857 — Statuta towarzystwa galicyjskiego — Koncessya dodatkowa z d. 21 marca 1858.

Poznań. Powitaliśmy wreszcie dawniéj zapowiedzianą książkę: *Wiadomości historyczne o mieście Kłecku* zebrał X. Józef Dydyński, dziekan faralny i proboszcz Kłecki. (Na dochód ochronki w Gnieźnie) Gniezno, drukiem J.B. Langiego 1858. — Wy-

danie staranne z sześcią tablicami. Spis rzeczy: Wstęp. Przypomnienie o kolonizacyi niemieckiéj w Wielkopolsce. — Oddział I. Wiadomości historyczne o mieście Kłecku: 1) Założenie Kłecka. 2) Przywilej lokacyjny. 3) Prawa miejskie późniéj nabyte. 4) Historya miasta Kłecka od r. 1255—1557. 5) Dalszy ciąg od r. 1557—1793. 6) O szkole. 7) Szereg wójtów i starostów. — Oddział II; Wiadomości o kościołach w Kłecku. 8) Kościł farny ś. Jadwigi i ś. Jerzego. 9) Kościół szpitalny ś. Ducha. 10) Kościół ś. krzyża i ś. Marcina. 11) Kościołek ś. Barbary. 12) Kościół filialny w Kamieńcu. 13) Szereg mędrców kościoła farnego. — Dodatek: 1) O starożytnych monetach wykopanych w Kłecku. 2) Przywilej lokacyjny miasta Kłecka z r. 1255. — 3) Przywilej króla Władysława IV z r. 1646. 4) Nadanie dla miłostanów w Kamieńcu z r. 1271. Dekret sądu Kiszkowskiego z r. 1761.

Praca X. Dydyńskiego z wielką wykonana zestała sumiennością bo widać, że sprawdzajac materyały jakie miał przed sobą, różne wertował źródła i żadnego nie szczędził trudu. Oby więcej poszło za jego przykładem! Wiemy przecież że we wielu miejscach znajdują się księgi kościelne, zawierające rodzaj kroniki, leżące dotąd bezużytecznie a mogące niepospolity przynieść niekiedy pożytek. Gdyby nawet i nauka nic na tem nie skorzystała, to wszakżeż taki przyczynek do literatury krajowéj zawsze drogą stanowi pamiątkę

Berlin. W zakładzie pp. Storcha i Kramera w Berlinie wyszedł poszyt chromolitografowanych scen ludowych z życia wieśniaków morawskich i szlązkich (*Aus dem Volksleben in Mähren und Schlesien*). Poszyt ten składa się z 8 tablic przedstawiających: 1 scenę karczemną wieśniaków mieszkających nad Beczwą. 2. Kostiumy włościan od Luhaczowic i Łukowa na Morawie. 3. Scenę wieczorną w chacie wiejskiej morawskiej. 4. Pielgrzymkę świętą Hanaków. 5. Wesele Hanackie. 6 Ubiory Słowackich włościan z okolic Berna. Stroje Szlązaków z okolic Jabłunkowa (scena targowa). 8. Kostiumy Wałachów czyli Górali szlązkich.

Lipsk. Nakładem księgarni T. O. Weigla wyszło historyczne dzieło w języku niemieckim pod tytułem: Św. Anno II arcybiskup Koloński i *trzykrotnie* prymas niemiecki, jego żywot, dzieła i obraz wieku w którym *żył*, podług źródeł skreślony przez Idziego Müller. (*Anno II der heilige Erzbischof von Köln und dreimal-ger Reichsverweser von Deutschland; sein Leben, sein Wirken und seine Zeit nach Quellen bearbeitet von Aegidius Müller*) w 8ce str VIII 200 i z tabl. litogr. —

Książka ta już dla wspomnień historycznych o polskiej królowéj Ryksie, któréj grób niedawno znakomity badacz starożytności ojczystych Aleksander hr. Przezdziecki odkrył w Kolonii zasługuje na uwagę. — Ryksa czyli Rycheza córka Ezzona lub Ezzenfrieda hrabi palatyna reńskiego a wnuczka cesarza Ottona II opuściwszy po śmierci męża swego króla Mieczysława II gnuśnego Polskę, żyła w Kolonii na dworze brata swego arcybiskupa Hermana II wiodąc żywot pobożny i świadcząc różne dobrodziejstwa klasztorom. I tak między innemi r. 1051 d. 7 września klasztorowi benedyktyńskiemu w Brauweiller darowała dobra Klot-

ten położone nad Mozelą, którą to darowiznę później r. 1056 w marcu na wyspie św. Swiberta (Keiserswerth) w obec cesarza Henryka III uroczyście potwierdziła wymówiwszy sobie tylko miejsce wiecznego spoczynku w klasztorze brauweillerskim. Następca Hermanna II arcybiskupa kolońskiego, święty Anno II (syn saskiego hrabi Waltera z Dassel) znany z pobożności, nauki i cnót obywatelskich zajmował się gorliwie losem żyjącéj na wygnaniu królowej polskiéj Ryksy i gdy takowa d. 21 marca r. 1057 żywot swój zakończyła, zwłoki jej uroczyście d. 12 kwietnia tegoż samego roku w kollegiacie kolońskiej P. Maryi *ad gradum* pochował, skąd dopiero r. 1816 do katedry kościoła przeniesione zostały. Z tego też powodu arcybiskup Anno II odebrał dobra Klotten klasztorowi Brauweillerskiemu i do kollegiaty wyż wspomnionej przyłączył, twierdząc iż takie było życzenie królowej Ryksy przed śmiercią. W ośmnaście lat po Ryksie, t. j. r. 1075 arcybiskup Anno II w podeszłym już wieku świątobliwy swój żywot zakończył.

Warszawa. Majowy zeszyt Bibl. Warszawskiéj składa się z artykułów następującéj treści:

Obrazy Dagestanu przez Juliana S.

O dramacie niemieckim w XIX wieku a w szczególności o Halmie przez Bolesława Wiktora.

Rys historyczny opery polskiéj z końca epoki panowania Stanisława Augusta aż do dni naszych, przez Maurycego Karasowskiego.

Krótki rys historyi naturalnéj Kamieńca Podolskiego skreślił Gustaw Belke.

Kronika paryzka literacka naukowa i artystyczna, Życie Rozalii siostry Miłosierdzia przez wice-hrabiego de Melun. Czarodziejka opera Halevego w pięciu aktach Don Desiderio opera buffa ks. Poniatowskiego. Marta opera semi-seria we czterech aktach Fryderyka Flottow. Wiadomości literackie.

Pamiętnik rzezi indyjskiéj 1857.

Wiadomość bibliograficzna przez A. W.

Poezye: Alchemik. Obraz dramatyczny. Przez Maryę Ilnicką. Pieśni Berangéra 1 Stary grajek. 2. Początek podróży. 3. Gwiazdy spadające.

Kronika literacka. Księga świata. Wiadomości z dziedziny nauk przyrodzonych historyi krajów i ludów. Rok 1854, 1855, 1856, 1857: przez K. Kalinkę. Dziś i wczoraj rysy biograficzne obyczajowe i bajki, przez Onegdajskiego, wydał Antoni Sowa przez ZZ. Monografia polska przez K. Skrzyńskiego. Warszawa przez Ludwikę Jenikę. Starościna Bełzka (Gertruda z hr. Komorowskich hr. Potocka). Opowiadanie historyczne 1770-1774 przez Ign. Kraszewskiego. Warszawa 1858. Przez K. Wł. Wojcickiego.

Wiadomości na drodze nauk przyrodzonych:

Chemia przez J. B. ę. .

Korrespondencye Posiedzenia oddziału archeologicznego i sztuk w c. k. Towarzystwie naukowem w Krakowie odbyte dnia 10 marca r. b. Posiedzenia wileńskiéj archeologicznéj komissyi dnia 11 stycznia 11 lutego i 11 marca r. b. Do redakcyi Biblioteki Warszawskiéj „Etudes historiques sur la revolution Française de 1789 Paris etc 3 tomy.

W doniesieniach literackich tejże Biblioteki znajdujemy następujące szczegóły: Pism Adama Mickiewicza tom V już jest pod prasą i wkrótce ogłoszonym zostanie. Tom ten obejmie drobniej-

sze utwory poetyczne tak oryginalne, jak tłumaczenia, a między temi przekład Giaura. Na czele wydawca daje popiersie Mickiewicza wedle rzeźby Dawida, sztychowane przez Oleszczyńskiego, a spowodowane żądaniem przyjaciela zmarłego wieszcza A. E. Odyńca, który w imieniu braci Litwinów prosił listownie, aby do tego wydania mógł być dołączony wizerunek przypominający więcéj twórcę Grażyny, Wallenroda i Pana Tadeusza z owéj chwili, kiedy na zawsze opuścił rodzinne strony.

— Album lubelskiego, nakładem zakładu litograficznego A. Pecq'a wyszły zeszyty 7 i 8. Obejmują widoki wraz z tekstem: 1. Kościoła parafialnego w miasteczku Chodlu. 2 i 3. Zamku w Krupem od strony zewnętrznéj i z wnętrza. 4. Zamku Gardzieniec. 5. Zamku w Zawieprzycach. 6 i 7. Ruin zamku w Dąbrowicy od strony południowéj i od strony Lublina. 8. Baszty zamkowéj w Kryłowie. Prospekt pierwotny zapowiadał, że całość tego Album składać się będzie z 8 zeszytów. Wydawca dla uzupełnienia go dodaje IX, który obejmować będzie: 1. Widok dawnego pałacu w Puławach. 2. Widok zamku Różonki w blizkości miasta Włodawy. Widok miasta Włodawy. 4. Okładkę allegoryczną przedstawiającą starożytności miasta Lublina jako tytuł do całego dzieła.

— Tymoteusz Rodziszewski, znany z wydanych bajek dla dzieci, wydał książeczkę p. n. „Przyjaciel dzieci. Szczegóły z życia Stanisława Jachowicza dla pożytku młodocianego wieku.“ W niéj skreślił nam w krótkim zarysie bieg życia zgasłego męża, który niezapomniane w kraju położył zasługi.

— Konstanty hrabia Tyszkiewicz wydał własnym nakładem: Pomniki rytowniotwa krajowego. Oddział 1. Odciski z blach mniejszych znajdujących się w bibliotece łohojskiéj. Dzieło to obejmuje 173 tablic, oprócz textu. Czcigodny wydawca, bezzwłocznie zabiera się do ogłoszenia drugiego oddziału tegoż dzieła: „którego publikacya (jak sam wyraża) o wiele trudniéj niżeli obecna pójść musi, z powodu iż wytłaczanie blach wielkiego formatu potrzebuje większego zachodu. W niéj przedstawię publiczności utwory naszych rytowników większego rozmiaru, głębszych i śmielszych pomysłów: znajdą się między niemi i historycznéj wartości przedmioty.“ Tenże sam wydawca, który odbył świeżo podróż wzdłuż brzegów Wilii, starając się ją zbadać pilnie pod względem topograficznym, malarskim i starożytniczym, zamierza owoc téj pracy wydać z rycinami i planami w Paryżu, dokąd się udaje wczesną wiosną, dla dopilnowania edycyi téj, któréj illustracye robione będą na drzewie. „Mamy (pisze w liście J. I. Kraszewski) jednéj tylko Wisły opis brzegów, z rycinami i widokami miejsc, które przepływa, ale dzieło to w pokoju, między czterema ścianami wykonane, wcale nie daje pojęcia tego co dla Wilii hr. Tyszkiewicz uczynił. Tu wszystko opiera się na zbadaniu rzeki i okolicy: nowém, i wszystko dla nas nowém będzie.“

— „Alexander Tyszyński, który po opuszczeniu Warszawy osiadł w powiecie wilejskim, i ożeniwszy się, zajął gospodarstwem: zamierza w obszernéj rozprawie skreślić obraz piśmiennictwa polskiego z lat ostatnich.

— Tom 3ci Dyplomataryusza pod redakcyą Juliana Bartoszewicza, obejmujący do 70 arkuszy w 4ce. wkrótce wyjdzie z pod prasy drukarskiéj.

— Professor uniwersytetu wrocławskiego Reppel, znany autor który pióro swoje poświęca dziejom polskim, bawi w Warszawie wyszukując w głównym archiwum Królestwa źródeł do dalszych badań swoich. W archiwum królewieckim odkrył on i przepisał początek procesu z Krzyżakami, którego nie znał Tytus hr. Działyński. Ta część pierwsza właściwie tego procesu ma być wkrótce przez hr. Działyńskiego ogłoszona drukiem.

— W drukarni Gazety Codziennéj ukończono w ozdobnéj edycyi druk dzieła Kazimierza hr. Wodzickiego: „O sokołach i sokolnictwie„. Ryciny kolorowane przyozdobią to wydanie. Spodziewamy się prędkiego rozkupu tego dzieła, bo napisane jest w sposobie tak zajmującym i przystępnym, że każdy odczyta je z największém upodobaniem.

— Rozrywek dla młodocianego wieku pod redakcyą S. z Ż. Pruszakowéj kończy się tom III w druku. Oprócz zajmujących a wymienionych już dawniéj przedmiotów, czytamy teraz ciekawy opis Indyj wschodnich.

— Zakład litograficzny M. Fajansa, wykończył do 6ciu zeszytów, kończących 2gą serya„ Wzorów sztuki średniowiecznéj“ chromolitografie, odznaczające się jak zawsze, wybornėm wykonaniem i odbiciem. Są w nich relikwiarze i kielichy: ale są przedmioty żywo starożytności krajowe obchodzące, jak miecz Zygmunta Augusta, skruszony na jego pogrzebie w Krakowie; rękojeść miecza Stefana Batorego; popiersie Władysława Warneńczyka na talerzyku srebrnym, zachowanym w rodzinie Krasińskich: talerzyk srebrny, dar króla Jana Kazimierza. Z radością donosimy, że serya trzecia téj szacownéj publikacyi (wzorów) będzie wychodzić. Czcigodni wydawcy wytrwałością swoją zasługują na szczerą wdzięczność. Oglądaliśmy w tymże zakładzie piękny portret Tomasza Zana, przyjaciela pierwszych lat młodości Adama Mickiewicza. Postać to wielce szlachetna obudzająca poszanowanie. Nakładem tegoż zakładu wyjdzie zajmujące Album dawnéj małopolski: serya pierwsza obejmuje pięć widoków następnych, które już są, ze zwykłą starannością odbite. 1) Zamek na Wawelu od strony Zwierzyńca. 2) Kościół Maryacki w Krakowie. 3) Rynek w Radomiu. 4) Jasna Góra. 5) Czorsztyn nad Dunajcem. Rysował z natury A. Misurowicz. Po dodaniu textu serya ta wyjdzie na widok publiczny.

— Pamiętnika Religijno-Moralnego zeszyt 4 na r. b. obejmuje: 1) Rysy życia ks. proboszczów przy kościele św. Stanisława w Żułkowie pod Żerkowem, p. Wł. Łukaszewicza. 2) Wspomnienie z roku katolickiego 1857 w Petersburgu A. Muchlińskiego. 3) Izaak ks. Serwatowskiego. 4) Misya w Chinach. 5) List pasterski ks. Pieńkowskiego biskupa dyecezyi lubelskiéj. 6) Wiadomości naukowe i bibliografia duchowna. 7) Kronika kościelna i rozmaitości.

Arcybiskupi gnieźnieńscy i prymasi wizerunki z galeryi łowickiéj objaśnione tekstem historycznym przez Juliana Bartoszewicza. W Warszawie nakładem litografii A. Pecq. 1857. fol. 4 zeszyty od Wilibalda † 970 (pierwszy).

Nro. 15 Zdzisław Kozłoróg † 1599 (ostatni) rys. A. Małuszkiewicz biografie chude dla braku źródeł historycznych portrety same fikcya dowolna z XVII wieku a zatem nie wielka z nich aż do XVI w. będzie przysługa.

Wilno. Znany a zasłużony tyle w literaturze naszéj Michał Baliński, przygotował do druku Pamiętniki historyczne do wyjaśnienia spraw publicznych w Polsce w XVII wieku. Wład. Syrokomla wykończył tom 2 „Wycieczek po Litwie“ w promieniach od Wilna. Oba te dzieła wyjdą w krótce nakładem księgarza A. Assa.

Antoni Kłobukowski Redaktor odpowied. Czapliński Ant. Prowizor drukarni